

Zbrodnia Katyńska jest nadal jednym z kluczowych punktów współczesnej polskiej tożsamości historycznej - pamięć o niej w czasach dyktatury komunistycznej pomagała tę tożsamość podtrzymywać przeciwko wszechobecnemu kłamstwu. Pamięć o niej obecnie służy budowaniu społecznego przekonania, iż służba Ojczyźnie ma niekiedy swoją wielką cenę, zaś obowiązkiem państwa jest pamiętać o tych, którzy w imię tej służby oddali życie.

Prof. Janusz Kurtyka,

ze wstępu do ostatniej książki „Zbrodnia Katyńska”, IPN

SPIS TREŚCI

KATYŃ 1940-2010

Słowo Redaktora	2
Modlitwa za Ojczyznę Piotra Skargi	4
Eugeniusz Lickiewicz, <i>Polacy z Polesia o tragedii</i>	5
Hanna Paniszewa, <i>Katyńskie notatki</i>	6
Jarosław Książek, <i>Pamięci zmarłych Przyjaciół</i>	9
Ks. Józef Dziekoński, <i>Repetitorium serc</i>	12

MYŚL POLSKA

ks. Czesław Stanisław Bartnik, <i>Duch polskości</i>	15
--	----

ROCZNICE

Józef Szaniawski, <i>W 75 rocznicę Śmierci J. Piłsudskiego</i>	18
--	----

RELIGIA

Wiktor Szukielowicz, <i>Święta Urszula Ledóchowska i jej misja na Polesiu</i>	20
---	----

OŚWIATA

Helena Kaczan, <i>Gimnazjum Państwowe im. M. Rodziewiczówny w Kobryniu</i>	23
--	----

AKTUALNOŚCI

26

FORUM CZYTELNIKÓW

Zbigniew Drela, <i>Nie pierwsza to rana</i>	31
Georgij Musiewicz, <i>Biblioteki rejonu kamienieckiego</i>	32
Agnieszka Grędzik-Radziak, <i>Biblioteki w Brześciu, Kobryniu i Łunińcu przed i po 19 września 1939 r.</i>	35
Aleksander Łazowski, <i>Wspomnienia wojenne mojego dziadka</i>	40

NOWE KSIĄŻKI

o. Łucjan Królikowski OFMConv., <i>Skradzione dzieciństwo</i>	45
---	----

LEKTURA DLA CIEBIE

Henryka Paśnik, <i>Wojny nie kończą się nigdy</i>	52
---	----

PIEŚNI PATRIOTYCZNE

<i>Obraz Matki Bożej Katyńskiej</i>	79
-------------------------------------	----

'ECHA POLESIA'

Kwartalnik Zjednoczenia Społecznego „Związek Polaków na Białorusi”

Założyciel:

ODDZIAŁ BRZESKI
ZS „Związek Polaków na Białorusi”

Adres Redakcji:

Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:

Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
współudziale Senatu RP,
Fundacji „Pomoc Polakom
na Wschodzie” i Fundacji
Pomocy Szkołom Polskim
na Wschodzie im. T. Goniewicza
oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:

Fundacja im. T. Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 747-6163
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@gmail.com.pl

Skład i łamanie:
Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne
POLIHYMNIA

SŁOWO REDAKTORA

Patrząc na rozmiary tej tragedii, jakoś nie mogę uwierzyć, że kiedyś będzie dobrze, że kiedyś będzie Wielka Niedziela. Nie tylko nie mogę uwierzyć, ale chce mi się krzyczeć i myślę, że nie tylko mnie. Panie Jezu! Czy naprawdę uważasz, że to już nie jest za dużo, czy Ty nie widzisz, że w tej mojej, w tej naszej Ojczyźnie, ciągle jest Wielki Piątek?! Siedemdziesiąt lat temu i teraz, i tyle jeszcze innych razy w ciągu wieków naszej historii. Naszej historii, którą można byłoby streścić w tym jednym wersecie pieśni, którą śpiewaliśmy w czasie stanu wojennego: „Ojczyźno ma, tyle razy we krwi skąpana”. (O. Wojciech Ziółtek SJ, 11.04.2010, Kaplica Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach).

10 kwietnia 2010 r., w drodze na uroczystość oddania hołdu najlepszym synom naszej Ojczyzny, zamordowanym 70 lat temu w lesie Katyńskim przez NKWD, ziemia Katyńska ponownie zabrała Narodowi Polskiemu naszą elitę, sól polskiej ziemi. Lecieli razem, ramię przy ramieniu: politycy, duchowni, generałowie, rodziny katyńskie, Pan Prezydent z Małżonką i najlepsi współpracownicy Prezydenta. Uroczystość katyńska zamieniła się w kilka sekund w ofiarę. Do Katynia sprzed 70 lat dołączył Katyń Anno Domini 2010. Odeszli najlepsi z najlepszych – ci, których wspólnym powołaniem była troska o dobro naszej Ojczyzny.

Wciąż nie możemy pogodzić się z Ich odejściem, zrozumieć, że błyskotliwi, dzielni, młodzi, pełni sił i zapału, ci co zawsze byli na pierwszej linii ognia, męczennicy prawdy i sprawiedliwości – są już daleko. Nie uściśniemy Ich dłoni, nie usłyszymy głosów, nie odpowiedzą na nasze maile, cisza na drugim końcu telefonu... Nie ma już z nami obrońców Polaków na Białorusi, najwierniejszych Przyjaciół – pana Prezydenta, prof. Janusza Kurtyki, ministra Janusza Krupskiego, ministra Mariusza Handzlika, marszałków Putry i Płażyńskiego, biskupa generała Tadeusza Płoskiego, „Matki Solidarności” Anny Walentynowicz... Jeszcze niedawno gościliśmy Was na naszej ziemi brzeskiej, na naszym Polesiu... Przez te cztery lata wiedzieliśmy: kiedy Lech Kaczyński w Pałacu Prezydenckim, prof. Janusz Kurtyka w IPN, a poseł Zbigniew Wasserman są w Sejmie – jest nadzieja, że nie wszystko dla naszej Polski stracone, że nie dopuszczą do re-imperializacji naszej Ojczyzny. Stwarzaliście nam poczucie bezpieczeństwa. Byliście architektami polityki historycznej, męczennikami prawdy. Wierzyliśmy Wam bezgranicznie, kochaliśmy Was, modliliśmy się za Was, z bólem patrzyliśmy z Białorusi na codzienne szargania i drwiny ze strony prominentnych dziennikarzy i polityków. Patrzymy dziś na nich ze zgrozaniem, gdyż są małostkowi i nikczemni. A Wy byliście wielcy za życia, za życia mieliście odwagę w naszej fasadowej demokracji być sobą, żyć ofiarnie i błyskotliwie, wpisaliście złotymi zgłoskami Wasze szlachetne czyny, Waszą służebność wobec Narodu i Ojczyzny naszej do wielkiej księgi wydarzeń na ziemi i tam, w niebie. Zrobiliście dla Polski wszystko, co było możliwe. Oddaliście życie, aby dać świadectwo prawdzie.

Nasz Prezydent pozostanie w naszej pamięci jako Człowiek, który nadał nowy bieg naszej historii, zawsze służący zwykłym, prostym ludziom. Przez całe 4 lata szargano osobę Prezydenta i pomniejszano rangę sprawowanego przez niego urzędu, tym samym nie szanując tych, którzy go wybrali, ani – majestatu Rzeczypospolitej. Żył dla Polski niepodległej, ten najwybitniejszy polski mąż stanu od czasów Józefa Piłsudskiego, czy Romana Dmowskiego. W polityce państwowej odznaczył się całkowitym poświęceniem własnego życia w budowie niepodległego pań-

stwa polskiego, zarówno w wymiarze międzynarodowym jak i społeczno-prawnym Rzeczypospolitej. Jego działalność dla ojczyzny była szczególnie zaznaczona pracą naukowca – prawnika, działacza politycznego podziemnej opozycji antykomunistycznej, profesora prawa pracy. Wiele wysiłków włożył w budowę wolnych związków zawodowych, ucząc działaczy związkowych działalności związkowej, oraz udzielając im pomocy prawnej. Był człowiekiem znanym ze swej skromności, ciepła, delikatności i dyskrecji. Bez niego nie byłoby wolnych niezależnych związków zawodowych, które ukształtowały niepodległą rzeczywistość. Na pewno nie należał do osób demonstrujących swoje uczucia, swoją wiarę. Należał do osób głęboko wierzących i praktykujących, dla których wiara chrześcijańska była nie tylko najważniejszym przesłaniem, ale też integralną cechą polskości.

Lech Kaczyński internowany stanu wojennego, poseł III RP, prezydent Warszawy, senator III RP, herbu Pomian wywodzi się z rodziny patriotycznej – ojciec Rajmund Kaczyński herbu Pomian, uczestnik Powstania Warszawskiego, odznaczony Krzyżem Walecznych i Orderem Virtuti Militari, członek AK. Matka Jadwiga Jasiewicz herbu Rawicz była żołnierką AK, sanitariuszką Powstania Warszawskiego.

Lech Kaczyński szczególnie umiłował Królową Polski, Matkę Łaskawą i Bolesciwą.

To właśnie on jedyny prezydent Rzeczypospolitej po 1989 roku odnowił w Katedrze Lwowskiej „Śluby lwowskie” złożone przed obrazem Matki Boskiej Łaskawej przez króla Polski Jana Kazimierza 1 kwietnia 1656 roku w obliczu „potopu szwedzkiego”. Potrzebował Jej wsparcia w obliczu nowych, o wiele groźniejszych „potopów”.

Lech Kaczyński w lipcu 2009 roku objął swoim patronatem XV Kongres Kresowian obradujący na Jasnej Górze, miejscu szczególnym dla narodu polskiego. Kongres poświęcony był ofiarom mordów na Wołyniu, a prezydent RP nazwał te zbrodnie ludobójstwem.

Czy w ramach dbałości o naszą zbiorową, obywatelską pamięć nie powinniśmy poważnie potraktować wniosków zawartych w przemówieniu, które miało być wygłoszone przez Pana Prezydenta w Katyniu? Brzmiały one tak: „Wszystkie okoliczności zbrodni katyńskiej muszą zostać do końca zbadane i wyjaśnione. Ważne jest, by została potwierdzona prawnie niewinność ofiar, by ujawnione zostały wszystkie dokumenty dotyczące tej zbrodni. Aby kłamstwo katyńskie zniknęło na zawsze z przestrzeni publicznej”. Wszystkie okoliczności Katynia II też muszą być do końca zbadane i wyjaśnione, a zlecniodawcy i wykonawcy powinni zostać ukarani, tylko czy nie będziemy musieli czekać na prawdę kolejne 70 lat? Tu na Białorusi z przerażeniem patrzyliśmy, jak przez 2 tygodnie po katastrofie „wolna” prasa polska, „demokratyczni” politycy bali się słowa „zamach”, jak nie śmieli go użyć – to było straszne tabu, a „sługusy” i „salonowcy” – i jedni i drudzy jakże oderwani od naszego Narodu, w święte i tragiczne dni śmieli mówić o pojednaniu! Czy może być pojednanie bez prawdy? Bez przeprosin i szczerej pokuty? Bez odkłamania historii? Katyń pod Smoleńskiem i setki mniejszych i większych Katyni czekają ... Setki cmentarzy polskich w Syberii, Kazachstanie, nad kręgiem polarnym... Kto przeprosił setki tysięcy deportowanych dzieci polskich, króym odebrano Dom i Ojczyznę, kroczyły samotnie przez życie po tułaczach szlakach, po dalekich kontynentach, bez prawa powrotu ... A my na Polesiu, po 70 latach, nie mamy prawa upamiętnić Ich cierpień! Każdy kto myśli i analizuje, kto choć trochę zna historię i obecną sytuację, rozumie kogo było stać technicznie, etycznie i politycznie na Katyń II...

Drogi Czytelniku, tak naprawdę, wojna nigdy nie skończyła się dla nas, Polaków – przez te wszystkie lata trwa ukryta wojna o strefy wpływów, o polskie dusze – by nie dopuścić do wolnej, silnej i niezależnej Polski. „Wojna o polską duszę, której po wyjściu z antykomunistycznego podziemia się wyrzekliśmy. Wojna z własnym lenistwem, niechęcią do podejmowania wielkich wyzwań, minimalizmem oczekiwań i wyobraźni. Wojna, którą w pierwszej połowie lat 90. ubiegłego wieku próbował rozpętać Zbigniew Herbert, wzywając Polaków do powrotu na ubitą ziemię. *Pan Cogito ma kłopot z demokracją* – tak mu na to wówczas odpowiedziano. Smoleńska tragedia daje nam szansę na nowy romantyzm, ukazujący dzieje Polski w perspektywie duchowej. Czas wreszcie przestać wstydzić się żarliwego patriotyzmu i katolicyzmu, który przez wieki stanowił o naszej tożsamości i sile. Pora przywrócić na-

szej kulturze wykpięte przez cyników wielkie słowa, takie jak Bóg, prawda, dobro, honor, ojczyzna. Odzyskać pasję, odwagę, zdolność do ponoszenia krwawych ofiar, eschatologiczną wyobraźnię. I zacząć naprawdę kochać Polskę, a nie traktować ją jak miejsce do mieszkania”. (Wojciech Wieniec)

Premier Tusk, bez wątplenia ponoszący odpowiedzialność moralną za Katyń II, powiedział o patriotach polskich, że niedługo powymierają jak dinozaury. Pan premier tego się nie doczeka. My, Polacy w Polsce, na Białorusi, w całym świecie stanowimy jeden Naród Polski, za nami – stulecia bohaterskich walk i ofiarności, za nami – wszyscy nasi przodkowie, którzy o Polskę walczyli i za Polskę ginęli. Za nami – prawda. Z nami są i nowe święte ofiary, które złożyły swoje życie na ołtarzu Ojczyzny 10 kwietnia 2010 r., będą z Nieba o Polskę się modlić i Polsce patronować. Jesteśmy siłą. Optymizmem napawa fakt, że wtedy pod Pałacem Prezydenckim widzieliśmy elitę Narodu: młodych ludzi zaangażowanych, ludzi mówiących o patriotyzmie, o odrodzonej Solidarności, o wartościach, które były deptane i wyśmiewane. Teraz kolej na was, musicie im dorównać, być tacy wielcy jak oni, aby ich zastąpić na dużych i większych posterunkach naszej Ojczyzny. A rodzice i dziadkowie powinni dokonać wyboru, jak wychowywać dzieci i wnuki – by w przyszłości w naszym kraju żyło się uczciwie i godnie, by to ONI byli gospodarzami w naszym Polskim Domu, by nie doszło nigdy więcej do polskich Wielkich Piątków !

„Tylko przestańmy mówić: ten kraj, w tym kraju, tutaj, ci ludzie. Zaczniemy mówić tak, jak Pan Bóg przykazał, jak o matce: Ojczyzno ma, moja, kochana, poraniona, więc tym bardziej kochana. Moja, to znaczy taka, którą się kocha, którą się po rękach całuje, przed którą się klęka, której się służy, o której się z cziłą opowiada, której się nie okrada, dla której się pracuje, dla której się cierpi i umiera, jak trzeba. To nie inni mają tak zrobić, to nie oni, tam na górze, ale my. Inaczej na nic wszystko. Na nic ta rana i na nic te ofiary” (o. Wojciech Ziółek SJ).

Nasza Ojczyzna mocno krwawi i ból nie ustaje w naszych sercach, ale zapewniamy pachołków Moskwy i Berlina, i tych, co służą „mamonie” – jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy. Póki pracujemy dla dobra naszej Ojczyzny. Póki kochamy i pamiętamy. Póki będą trwały nasze narodowe rekolekcje.

AJ



Modlitwa za Ojczyznę ks. Piotra Skargi

Boże, Rządco i Panie narodów, z ręki i karności Twojej racz nas nie wypuszczać, a za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Królowej naszej, błogosław Ojczyźnie naszej, by Tobie zawsze wierna - chwałę przynosiła imieniowi Twemu, a syny swe wiodła ku szczęśliwości.

Wszchemogący, wieczny Boże, wzbudź w nas szeroką i głęboką miłość ku braciom i najmiłszej matce, Ojczyźnie naszej, byśmy jej i ludowi Twemu, swoich pożytków zapomniawszy, mogli służyć uczciwie.

Ześlij Ducha Świętego na sługi Twoje, rządy naszego kraju sprawujące, by wedle woli Twojej ludem sobie powierzonym mądrze i sprawiedliwie zdołali kierować.

Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen

POLACY Z POLESIA O TRAGEDII KATYŃ II



Są takie chwile w dziejach Polski, kiedy wieści o wydarzeniach szczególnych i niecodziennych niesie przez kraj Dzwon Zygmunta... Pamiętamy o tych dzwonach. Zapamiętamy też i 10 kwietnia 2010 roku, 70-tą rocznicę zbrodni katyńskiej.

Katyń... - Czarna Perła w Koronie Białego Orła, jakże bolesna, opłacona krwią dziesiątek tysięcy jego lepszych synów, zapomniana już prawie w teraźniejszości - nagle zabłysła na nowo, blaskiem niepojętym i dziwnym... Po co? Dlaczego? - nad właściwą treścią Bożego przesłania tej tragedii zastanawiają się teraz nieobojętne umysły i serca. Tylko jedno słowo prawdy... Słowa prawdy o niezwykłych prawach i godności osoby ludzkiej, wypowiedziane kilkadziesiąt lat temu przez naszego Papieża Jana Pawła II wywołali Ducha Solidarności w swojej Ojczyźnie, wyzwalając następnie z niewoli całe europejskie narody... Obecnie już niby wolna Polska i wolna Rosja, ale z nierozliczonej ostatecznie przeszłości - na jednym biegu nie prawdy o Katyniu „twardzi” przywódcy na Kremlu, na drugim - „niemedialny” prezydent Rzeczypospolitej Polskiej... Tym razem to Słowo zabrzmiało gdzieś z góry, okrywając śmiertelnym „całunem białej mgły” miejsce katastrofy prezydenckiego TU. Słowo tak mocne, że prawda o Katyniu dotarła do najdalszych zakątków świata, a wciąż jeszcze wątpię, czy syła się na głowy czarny proch z wnętrza Ziemi...

Śp. Pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego będę pamiętać przede wszystkim jako

człowieka bardzo skromnego. W życiu tylko raz byłem blisko - na uroczystościach beatyfikacyjnych bl. ks. Michała Sopočki w Białymstoku, u schyłku lata 2008 roku. Pamiętam, jak po drodze z Dworca PKP do miejsca uroczystości na bardzo krótki czas przejście przez drogę zostało zakłócone przejeżdżającą limuzyną w eskorcie kilku motocykli policyjnych. „O, Prezydent pojechał...” - stwierdził któryś z oczekujących obok mnie przechodniów. Poza tym nic więcej - tylko krótka wzmianka o obecności Pana Prezydenta na uroczystościach przez kogoś z organizatorów - widocznie chciał uczestniczyć w tym i przeżywać jako zwykły katolik, na równi z innymi wiernymi - i tak było. I tak też było podczas ostatniej podróży do Katynia, bo leciał tam jako osoba prywatna, jako Polak, jako Katolik - oddać hołd poległym bohaterom Narodu Polskiego.

Panu Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu jestem winien też wdzięczność za to, że właśnie za jego kadencji Polska w sposób skuteczny i czynny przypominała również o nas - potomkach obywateli oraz obywatelach II RP, umożliwiając przez Kartę Polaka m.in. nie tylko nieograniczony dostęp do dóbr kultury i dziedzictwa narodowego, lecz także możliwość uczestnictwa przez własną pracę w budowaniu nowej Polski - określanej przez Pana Prezydenta mianem IV RP. Przyznam, że kiedyś nie od razu zrozumiałem - po co jeszcze IV RP, przecież, wydawało się, że Polska już wtedy była wolna i niepodległa. Teraz, tak myślę, że chodziło o Polskę marzeń wielu pokoleń Polaków, o Polskę lepszą - nie tylko europejską, ale bardziej polską, nie tylko zamożniejszą, ale bardziej sprawiedliwą i solidarną... Niezależną od sąsiednich mocarstw. Pełniącą swoją szlachetną misję w Europie i świecie.

Tak się wydaje, że Pan Prezydent Lech Kaczyński tę swoją część walki o Polskę przyszłości już wygrał - zwyciężając w walce o Pamięć. Przed majestatem tej Pamięci my, Polacy na Białorusi, pochylamy czoła.

Eugeniusz Lickiewicz
Prużana

W polityce nic nie zdarza się przypadkowo. Jeśli jednak się zdarzy, bądźcie pewni, że tak zostało zaplanowane.

Prezydent F.D.Roosevelt, 1935

Nigdy nie uwierzę, że to zrobili Rosjanie (Prezydent F.D. Roosevelt w 1942 r., w reakcji na doniesienia o zbrodni NKWD w Katyniu.

KATYŃSKIE NOTATKI

Mało jest zalet, których by Polacy nie mieli, i mało błędów, których udałoby im się uniknąć.

Winston Churchill

Polacy są przede wszystkim patriotami. Wiele razy dowodzili, że są gotowi umierać za ojczyznę; tylko nieliczni są jednak gotowi dla niej pracować.

Norman Davies

Polacy, mimo męstwa, naród płochy, wytrwałości nie ma, zabawę woli niż pracę... Fantazji dużo, ale gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i siły brak.

Stefan Batory

Polacy są wspaniałym narodem i bezwartościowym społeczeństwem.

Cyprian Kamil Norwid

Umiemy się tylko kłócić albo kochać, ale nie umiemy się różnić pięknie i mocno.

Cyprian Kamil Norwid

U nas energia wyprzedza zawsze inteligencję – i co pokolenie jest rzeź.

Cyprian Kamil Norwid

9 kwietnia 2010 roku sześciuosobowa delegacja ZPB z Brześcia wyjechała do Katynia na uroczystości upamiętniające uczczenie ofiar polskiej Golgoty w 70-tą rocznicę Zbrodni Katyńskiej. Panował podniosły nastrój. Do Katynia przybędzie liczna rządowa delegacja z Polski, przedstawiciele Rodzin Katyńskich, będą Polacy z Rosji, Białorusi, innych państw. Przede wszystkim każdy czekał na przemówienie Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który stale troszczył się i sprawował opiekę nad dalszym odkryciem dokumentów katyńskich, nad utrwaleniem pamięci o polskich oficerach, zamordowanych bez sądu w Katyniu, nad poszukiwaniem brakujących dokumentów o zabitych Polakach na Ukrainie i Białorusi, (ostatnio mówią o poszukiwanej Białoruskiej Liście Katyńskiej liczącej 3780 osób), innych dotąd jeszcze nieznanymi miejscach zbrodni nad Polakami. Mam także osobistą intencję: po rodzinnej naradzie wiozę do Katynia znicz, żeby zapalić jego na tej obficie polanej polską krwią ziemi dla uczczenia pamięci Feliksa Michnowicza i Gabrieli Michnowicz, mojego dziadka stryjecznego

(sędziego grodzkiego w Stolinie na Polesiu w latach 1935-39) i jego żony-wilnianki, których dalszy los nadal pozostaje dla nas nieznanym. Przez całe życie pamięć o nich przekazywała mi moja babcia Adela, która mówiła, że „Felka pognano do Katynia...” Wiem już od brata stryjecznego Franka, że jednak w Katyniu jego nazwiska nie ma. Odpowiedź z archiwum KBP w Brześciu jest negatywna – nie ma dokumentów o jego losie. Znicz w Lesie Katyńskim ma zaspokoić pierwszą potrzebę mojej rodziny upamiętnienia tych moich krewnych, których mogiły pozostają jeszcze nieznanne.

Nocujemy w Orszy.

10 kwietnia 2010 roku. Pobudka i zbiórka przed samochodem o wpół do siódmej rano według czasu białoruskiego. Granicę z Rosją przekraczam po raz pierwszy w życiu. Nawet nie sprawdzono paszportów. Szybko dojeżdżamy do Katyńskiego kompleksu pamiątkowego. Do początku uroczystości mamy ze dwie godziny. Transport już stoi obok drogi, zaparkować blisko wejścia nie dało się.

Powietrze pachniało wilgocią i było nieoczekiwanie bardzo zimno. Ubieramy się we wszystko, co mamy z sobą, bierzemy znicze, wieniec i ruszamy do memoriału.

Ścisła kontrola przed wejściem i zadziwiające słowa po niej: „Priwietstwujem na katyńskiej ziemi!” Odpowiedziałam, że te słowa nie są dla mnie odpowiednie, czekałam na nieco inne ... Uśmiechnęli się tylko, a mój humor, jednak, się pogorszył. Na pewno, nigdy nie przeproszą za zbrod-



nię... A może nie czują się winni? Nie wiem, jedynie czułam mocny niepokój z powodu rozdzwienku między moimi oczekiwaniami i pierwszymi słowami Rosjan spotkanych w tym miejscu...

Idę do grobów, które straszą mnie i paraliżują swoją wielkością. Kole-dzy pomagają zapalić znicz. Chwila ciszy... Odmawiam Anioł Pański, roją się myśli o nigdy nie widzianym dziadku Feliksie i jego żonie, o dziadku Michale, o babci Adeli, o męczeństwie i o Polsce, powstałej z kolan i godnie niosącej dzisiaj swoją flagę wśród innych państw Europy. Odeszłam z zamiarem zrobienia tablicy pamiątkowej po dziadku wraz z małżonką i umieszczenia jej na rodzinnym cmentarzu na Białorusi. Obchodzimy cmentarz, gdzie na tablicach ściany katyńskiej, która ogarnia mogiły, znajdują się nazwiska i imiona zamordowanych. Jeszcze raz zwracam uwagę na nazwiska, które zaczynają się na literę „m”. Leżą kwiaty i wieńce, cisza i spokój w lesie. Przyroda jeszcze nie obudziła się, tam i ówdzie leży śnieg, tylko śpiew ptaków wskazuje na zbliżającą się wiosnę i ciepło. A jak było 10 kwietnia dalekiego 1940 roku? Czy te brzozy mogą coś powiedzieć? Są wielkie, duże, mają, może, więcej niż 70 lat. Chcę wyobrazić sobie straszliwy obraz tego dnia w tym lesie. Zrobić to łatwo po obejrzeniu filmu „Katyń” A. Wajdy. Łzy zaczynają szukać swojej drogi na twarzy, ale nie poddaję się, wiem, że muszę się wstrzymać. Oko wylapuje stary porośnięty mchem drewniany krzyż obok starego drzewa za chodnikiem. Jakim cudem tutaj pozostał? Kogo upamiętnia? Zbliżam się, robię zdjęcia, widzę, że mnie śledzi osoba z telefonem radiowym, wracam na chodnik.

W sercu kompleksu pamiątkowego znajduje się wielki dzwon, który dzwoni podczas uroczystości. Zwiedzamy muzeum. Ekspozycja pamiątek z mogił zabitych, dużo guzików, są rzeczy osobiste z metalu i szkła. Syn straconego tu rotmistrza Zygmunta Dobrowolskiego wyhaftował obraz Matki Bożej Katyńskiej trzymającej głowę jeńca z przebitą czaszką i przekazał ten obraz jako dar dla muzeum. Przed budynkiem muzeum stoi wagon, podobny do tych, którymi transportowano Polaków do miejsca ich mordu. Liczni pielgrzymi robią zdjęcia na tle wagonu.

Spotkaliśmy się z wielką grupą Polaków z Grodna, którzy już czekają na cmentarzu. Wśród nich poznaję dużo znajomych. Witamy się ze znanym fotografem prof. Krzysztofem Hejke, naszym wiernym przyjacielem. Wśród przybyłych są również harcerze z Baranowicz, grupa młodzieży polskiej z Moskwy, z Petersburga, jest grupa Polaków z Berezowicza około Głębokiego na Białorusi, gdzie w czasie drugiej wojny światowej w niemieckim obozie koncentracyjnym zamordowano dużo Polaków, wśród których znajdował się i ks. Mieczysław Bohatkiewicz, beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II w 1999 roku. Wieńce i znicze w rękach, a także nadpis na płótnie „Od Berezowicza do Katynia”. Obiecuję przekazać od nich pozdrowienie dla Polaków w Brześciu.

Dwie godziny na takim chłdzie zmuszają poszukać coś gorącego do picia. Wracamy do bramy memoriału. Przed nami duża kolejka pielgrzymów z Polski, którzy przyjechali pociągiem z Warszawy. Na uboczu znajduje się kuchnia wojskowa. Tam można zjeść kaszy gryczanej z wołowiną i napić się



Jeden Polak to istny czar, dwóch Polaków – to awantura, trzech Polaków – och, to już jest Polski problem.

François-Marie Arouet (Volter)



Foto z Muzeum w Katyniu

gorącej herbaty. Posiłek jemy szybko i ze smakiem, bo wyjechaliśmy bez śniadania.

Czas na uroczystości, ruszamy do miejsca.

Godzina 10.56 czasu rosyjskiego w Katyniu. Widzimy jakiś niepokój i zmiany wśród obecnych przedstawicieli rosyjskich służb specjalnych, potem polskich z BOR-u. Z głębi cmentarza biegną kamerzyści z TVP. Pierwsza myśl, że chyba zbliża się rządowa delegacja z Prezydentem na czele! Jednak po paru minutach słychać pogłoski o katastrofie prezydenckiego samolotu. Mówią, że są ranni, zaginieni, ale nic nie wiadomo o losie Prezydenta. U wszystkich obecnych rośnie niepokój i napięcie. Dzwonią komórki, coraz więcej osób potwierdza tragiczną wieść. Czekamy na ambasadora RP w Moskwie Jerzego Bahr, który ma wrócić z lotniska. Odmawiamy różaniec, wielu ludzi płacze.

Przybył ambasador Jerzy Bahr, bardzo poruszony. Stan jego ubrania wskazywał na to, że był na miejscu katastrofy. Minister Jacek Sasin z kancelarii Prezydenta podaje komunikat o katastrofie samolotu przy lądowaniu, o zabitych. Nie wiadomo, czy ktoś przeżył. Rozpoczyna się Msza święta za zaginionych w Katyniu 70 lat temu i za nowe ofiary, które były w drodze, żeby wspólnie modlić się, a zginęły tak nieoczekiwanie. Wielka ilość pustych krzeseł, a na miejscu Prezydenta – wieniec i flaga biało-czerwona. Chór Wojska Polskiego porywa ludzi hymnem. Modlimy się, a rozum nadal nie chce uwierzyć w tragedię. Wspominam, że jeszcze trwa tydzień Miłosierdzia Bożego, więc zaginięni od razu

trafią do nieba, ale w tak zrozpaczo-nym sercu nie staje się lżej, zaczyna ją rodzić się pytania: dlaczego, jak do tego doszło, kto jest winien?

Po Mszy świętej składamy wieńce i jak najprędzej wracamy do Brześcia w głębokim smutku.

Po dwóch tygodniach od tragedii i uroczystościach pogrzebowych, serce nadal boli z powodu tych, którzy zginęli i oczekuje prawdy o przyczynach tej szokującej katastrofy.

Hanna Paniszewa

Brześć, kwiecień 2010



OSTATNI DZIEŃ

Jest pod Smoleńskiem sosnowy las
Z nazwa i wino - ciężka jak głaz
Tam mokrym kwietniem żołnierze szli
W ostatnim dniu jenieckich dni.
I może czuli, że sił już brak...
Pytali może, - dlaczego tak?!
A może... z wbitym bagnietem w bok
Szli coraz wolniej, za krokiem krok.
Jeszcze wierzyli, - pomoże Bóg...
Czy już wiedzieli, że koniec dróg?
Dostrzegli może ten krwawy dół -
Gaśla nadzieja, narastał ból...
Jeszcze marzyli, - mieć by tu broń
Może prosili, - nie strzelaj w skroń!
Ściskali może dłonie do krwi
Może najśmielszym nie drgnęły brwi...
Być może nawet myśleli, że....
Że jeszcze....

nie zginęła!

NIE

Ryszard Snarski, 1946/47

członek Związku Obrońców Wolności, Brześć
(Drużyna harcerska w Brześciu nosi Jego imię)

Pamięci zmarłych Przyjaciół

Od 10 kwietnia 2010 r., która to data zapisała się jako najtragiczniejsza w powojennej historii Polski, nasz Kraj pozostaje w głębokim szoku i żałobie. W jednej chwili Kraj nasz utracił głowę państwa, prezydenta, a wraz z nim kilkadziesiąt wybitnych osobistości – wysokich urzędników państwowych, parlamentarzystów i senatorów, najwyższych dowódców wojskowych, ludzi kultury, dostojników duchowych kilku wyznań. Wśród ofiar tej katastrofy znajduje się tyle wspaniałych osób, tak wiele wybitnych osobowości, że trudno z ich grona wybrać te, które należałoby w tych dniach opłakiwać w sposób szczególny. Ale kilkoro z nich losy, praca i zainteresowania zawodowe, kierowały nieraz na ziemię brzeską, którą dobrze poznali, z wieloma ludźmi tutaj zaprzyjaźnili się i także tu zostawili pustkę, którą trudno będzie wypełnić. Na pewno wielu Czytelników, szczególnie tych interesujących się sprawami polskimi, a przede wszystkim środowiskiem mniejszości polskiej w Brześciu, nieobce są te nazwiska. Wymieńmy kilka z nich: Janusz Krupski, szef Urzędu ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych, Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Janusz Kurtyka prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Maciej Płażyński prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Janusz Krupski (miał 61 lat, pozostawił żonę i siedmioro dzieci, z których najmłodsze ma zaledwie 10 lat). Postać niezwykła. Mimo sprawowania wysokich urzędów pozostał zawsze człowiekiem bardzo bezpośrednim i skromnym, który do stawianych mu zadań zawsze podchodził tak, jak do spraw osobistych – z pełnym oddaniem, zaangażowaniem i przekonaniem. Na ostatnim z zajmowanych stanowisk, jako szef UdsKiOR, zajmował się współpracą ze środowiskami szczególnie za-

służonymi dla naszego Kraju – polskimi kombatanami – tymi, którzy za Polskę walczyli i cierpieli, uczestnikami walk na wszystkich frontach II wojny światowej oraz osobami represjonowanymi przez system stalinowski po wojnie. Kombatanów tych otaczał specjalną troską. Traktował ich nie jako grupę anonimowych ludzi, wielu znał osobiście, kiedy tylko mógł odwiedzał ich tak, jak się odwiedza swoich dobrych znajomych. Często przyjeżdżał do „swoich” kombatanów, żyjących na ziemi brzeskiej. Był częstym gościem spotkań z nimi w naszym Konsulacie, podczas których starał się poznać ich problemy i próbował tym problemom zaradzić.

Wielkim sukcesem były organizowane przez Niego uroczystości w 70-lecie wybuchu II wojny światowej (1 września 1939 r.). Utworzony wówczas Komitet Honorowy Obchodów składał się z wielu osób, reprezentatywnych dla całego środowiska kombatanckiego. Na wniosek śp. Krupskiego znalazła się w nim osoba skromna i wyjątkowa, mieszkanka Kobrynia, 94-letnia p. Ariadna Teleman. Na organizowane obchody, z uwagi na wiek i stan zdrowia, przybyć już nie była w stanie, ale umieszczenie jej w Komitecie Honorowym i wielu

Janusz Krupski w Brześciu
razem z kombatanami,
żołnierzami AK z obwodu
brzeskiego, konsulem
generalnym RP w Brześciu
Jarosławem Książkiem
i jego Małżonką Elżbietą,
z działaczkami Związku
Polaków na Białorusi



Janusz Kurtyka 7 X 2008 r.
podczas otwarcia wystawy
„Z największą brutalnością”
w Twierdzy Brzeskiej
prezentuje nowe wydawnictwa
IPN.



Janusz Kurtyka podczas
spotkania 6 października
2008 r. w Polskiej Szkole
Społecznej im. I. Domeyki
w Brześciu. Obok – Jarosław
Książek, konsul generalny RP
w Brześciu i Alina Jaroszewicz.

innych jej podobnych, było gestem świadczącym o niezwyklej otwartości i wrażliwości śp. Janusza Krupskiego. Kiedy tylko przyjeżdżał na Białoruś, zawsze odwiedzał bardzo skromny dom p. Telemana w Kobryniu z ogromnym bukietem kwiatów, kłaniając się jej nisko z ogromnym szacunkiem.

W zeszłym roku śp. Krupski spotkał się kombatantami i Sybirakami także w Baranowiczach, złożył kwiaty w licznych miejscach polskiej pamięci narodowej, rozsianych po drodze z Brześcia do Baranowicz. Był w Brześciu także na Boże Narodzenie, obiecując jak zwykle, że będzie o swoich „podopiecznych” pamiętał i ich odwiedzał...

Andrzej Przewoźnik (miał 47 lat, pozostawił żonę i dwie córki). Od 1992 r. – nieprzerwanie od 18 lat pełnił funkcję sekretarza ROPWiM. Zadaniem Rady jest troska o polskie miejsca pamięci narodowej, szczególnie te z okresu II wojny światowej, rozsiane po całym świecie. Po okresie tzw. Polski Ludowej (1944-1989) większość tych miejsc pozostawała w zapomnieniu, wiele także w celowo skrywanej tajemnicy. To dzięki m.in. Jego pracy, wysiłkom i zaangażowaniu powstały polskie cmentarze wojenne w Katyniu, Miednoje i Charkowie, upamiętniające zbrodnię katyńską z 1940 r. Toczył wieloletnie boje o rekonstrukcję Cmentarza Orląt we Lwowie. Budował i remontował wiele polskich mogił, kwater i cmentarzy – na Ukrainie, Białorusi, Litwie, na Węgrzech, we Włoszech, Belgii, Francji i Libanie. Nawet w najdalszych zakątkach – jak Uzbekistan i Kazachstan – dzięki Jego działaniom wybudowano cmentarze upamiętniające szlak Armii Polskiej gen. Władysława Andersa.

I z Brześciem i ziemią brzeską związana była także praca śp. Przewoźnika i tutaj na

długie lata pozostaną ślady Jego działalności: uporządkowanie i budowa obelisków na Cmentarzu Garnizonowym w Brześciu, na cmentarzu z 1920 r. na tzw. Reczycy, płyty „akowskie” w Żabinie i Wierchowiczach, pomnik floty pińskiej w Mokranach i wiele, wiele innych. Jeszcze nie tak dawno, bo latem 2008 r., wspólnie ze stroną białoruską i z pomocą białoruskiego Specjalistycznego Batalionu Saperów prowadził poszukiwania miejsc pochówku ofiar z września 1939 r. Ekshumowano wówczas i pogrzebano uroczyscie na terenie parafii katolickiej w Kobryniu 57 znalezionych wówczas żołnierskich (a także osób cywilnych) szczątków. Jakże mistycznie losy tej ekshumacji wiążą się z losami ofiar tragicznego lotu Tu-154. Uroczystą mszę św., podczas której zostały w Kobryniu pogrzebane szczątki koncelebrował biskup połowy gen. Tadeusz Płoski... On również zginął w tragicznej katastrofie – razem ze śp. Przewoźnikiem (w uroczystościach uczestniczył także minister Krupski...).

Janusz Kurtyka (miał 50 lat, pozostawił żonę i dwóch synów). Człowiek niesłychanej wiedzy, erudyta o niezwykle ujmującym obejściu. Od 2005 r. sprawował bardzo trudną funkcję – prezesa jednej z ważniejszych instytucji polskiego życia społecznego – tj. Instytutu Pamięci Narodowej. Instytut realizuje bardzo istotne zadania – od gromadzenia akt komunistycznej służby bezpieczeństwa, prowadzenia czynności śledczych z zakresu ścigania zbrodni przeciwko narodowi polskiemu, po prowadzenie działalności naukowej i edukacyjnej na temat najnowszej historii Polski. Prowadzone tutaj sprawy dotyczą często delikatnej materii – oceny nie tak dawnej historii i odpowiedzialności



za okres rządów komunistycznych w Polsce i braku demokracji. Z racji tej trudnej problematyki często dosięgała Go nieuzasadniona krytyka, choć prezes Kurtyka starał się uczciwie i otwarcie podchodzić do tych trudnych spraw. Dzięki Jego pracy i pracy Jego współpracowników Polacy odzyskali swoją tożsamość historyczną, a Polsce zostały przywrócone biografie jej Wielkich Synów, odrzuconych lub zapomnianych w czasach PRL.

Praca śp. Kurtyki dotyczyła bardzo różnych obszarów historycznych. Jeden z jej efektów mieszkańcy Brześcia mieli okazję zobaczyć w listopadzie 2008 r. Była to pokazana w pomieszczeniach Muzeum Twierdzy Brzeskiej wystawa „Z największą brutalnością...” Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień – październik 1939 r. Przygotowana we współpracy z historykami niemieckimi, zadawała kłam popularnej, a nieprawdziwej tezie, że frontowe wojska III Rzeszy nie mordowały cywilów. Prezes Kurtyka otwierał osobiście tę wystawę w Brześciu. W czasie swego pobytu na Białorusi spotkał się z władzami Brześcia, w Pińsku został przyjęty przez ks. Kard. Świątko. Odjeżdżając zapowiadał, że to dopiero początek współpracy z Muzeum Twierdzy...

Cała trójka, ludzie o szerokich horyzontach umysłowych, nie ograniczali swoich zainteresowań tylko do swojego, polskiego „podwórka”. Będąc w Brześciu, interesowali się np. historią Twierdzy Brzeskiej, zapoznali się też dokładnie z samym Muzeum. Minister A. Przewoźnik, który bywał tu wielokrotnie, snuł plany, że kiedyś Twierdza przypomni sobie również i o jej bohaterskiej obronie we wrześniu 1939 r., a na jej terenie znajdzie się tablica upamiętniająca i te wydarzenia. O postulatach tych wielokrotnie informował swoich białoruskich partnerów... To pozostawiony teraz przez Niego testament dla Jego następców.

Maciej Płażyński (miał 52 lata, pozostawił żonę i trójkę dzieci). Piastował w Polsce najwyższe urzędy. Był także współzałożycielem i pierwszym przewodniczącym rządzącej obecnie Platformy Obywatelskiej. Dla mieszkających na Białorusi Polaków najważniejsza była ostatnia jego funkcja,



łączona z mandatem poselskim – prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Stowarzyszenie zajmuje się współpracą i pomocą naszym Rodakom, których koleje losu rozrzuciły po całym świecie. Stojąc na jego czele, starał się pomagać Polonii. Wspierał organizacje polonijne, dostarczał pomysłów do realizacji różnorodnych pomysłów, mających na celu krzewienie polskiej kultury i rozwój polskiego szkolnictwa.

W zeszłym roku, dzięki Jego pomysłowi, aby do współpracy wciągnąć samorządy z różnych regionów Polski oraz wykazanej determinacji w realizacji, zdecydowanie zwiększył liczbę dzieci polskich z Białorusi, które rokrocznie zapraszane były do naszego Kraju na odpoczynek. Tylko z obwodu brzeskiego z takiego wypoczynku skorzystało ponad 700 dzieci. W tym roku planował liczbę tę zwielokrotnić...

Jakże ciężko jest pisać o tych wspaniałych ludziach, którzy pozostawili pustkę nie do ogarnięcia. Jak tu nie wspomnieć również o Tomasz Mercie, wiceministrze kultury i dziedzictwa narodowego, który od 2005 r. wspólnie ze stroną białoruską realizował ambitne plany restauracji zabytków na Białorusi (m.in. katedry w Nieświeżu, czy kościoła w Wołczynie) – wspólnego dziedzictwa kulturowego dwojga narodów – polskiego i białoruskiego.

Część Ich Pamięci! Nie zapomnimy o Was nigdy! Na zawsze pozostaniecie w naszych sercach i w naszej pamięci!

Dr Jarosław Książek

Marszałek Płażyński w Grodnie z działaczami Związku Polaków na Białorusi, obok Andżelika Borys i Helena Miziniak.

Jesteście głupi i zepsuci. Nie chcieliście słuchać słów, teraz będziecie słuchać uczynków i znaków.

Św. Brygida, XIV w.

Repetytorium serc

Katastrofa lotnicza, w oktawie Wielkanocy, poruszyła cały świat. Wyzwoliła też spontaniczne gesty solidarności, pośród wielu pytań. Jedni pytali: „dlaczego?”, podczas gdy inni chcieliby wiedzieć, jakie dobro Bóg wyprowadzi z tego zła. Jego skali nie można bowiem sprowadzić do liczby 96, tragicznie zmarłych osób. Należałoby raczej znaleźć jakiś dobry społeczny przebieg, który pomnożony przez 96, dałby właściwy obraz straty. Ów



„dzień klęski” kwiatu naszego społeczeństwa, może dałoby się porównać z owymi 300 Spartanami, którzy, co prawda przegrali, lecz chlubnie spisalili się w obronie swojej ojczyzny. Nasi zaś gwałtownie zmarli, jechali na zbiorową mogiłę bez grobów, tra-

gicznie pomordowanych oficerów, którzy, także jak oni, stanowili kwiat polskiej inteligencji przedwojennej. Przymusił ich historyczny moment, okrągła data mordy. Jechali duchowni i świeccy. Na pogrzeb tych, którzy ongiś pospiesznie przysypiani wapnem, nie mieli pogrzebu. Na pogrzebie ludzie spowiadają się i modlą, aby wziąć udział w liturgii ofiary czystej, Najświętszej Ofiary Pana. Jechali z prezydentem narodu, także i w celu pojednania dwu narodów, które dotąd nie były pojednane. Pan dopuścił ich ofiarę życia i krwi, by spontanicznie popłynęły ofiary innych, solidarnych z tą ofiarą, serc. Do tych „żywych kwiatów” narodu, złożonych w ofierze pod zbiorową mogiłą katyńską, naród dołączył spontaniczne kwiaty i łzy, pogrążając się w żałobie i zadumie nad swoją historią. Przypomnił sobie tę podstawową prawdę, że „człowiek nie żyje dla siebie i nie umiera dla siebie”. Wspomnił sobie bohaterów czasów świetności, jak i czasów heroicznej walki o jedność, czy wolność, którzy orężem, czynem, lub słowem „ku pokrzepieniu serc”, w kraju czy na obczyźnie, wywalczyli nam Najjaśniejszą, wolną Ojczyznę. W tym narodowym repetytorium serc chciałby też mieć udział, autor poniższych strof.

ks. Józef Dziekoński
Baranowicze

**„O Matko Polsko!
Ty tak świeżo w grobie”**
(A.Mickiewicz)

To pokolenie od żałoby czarne
(Że krew niewinna nam się znów wylała)
Myślą zwaśnione sercem solidarne
Oby na próżno łez nie darowało

Smoleńskim ofiarom rapsod żałobny

(Norwidowy pastisz)

Czemu Lechu odjeżdżasz krew swą mieszając
z żelazem
Maria żona u boku z tobą na wieki już razem

Dudnią werble miarowo z nimi łopocą sztandary
Echo kroków wtóruje nad lawetami tej pary

Łza się z oka odrywa stygnąc w kamieniu na wieki
Bo kto prawdy heroldem staje się dobrym
człowiekiem

On na sądny dzień katów głosem zagrobnym
zawołał
Z ziemi obcej do nieba wzięły go skrzydła anioła

18.04.2010, Baranowicze

Rogatywka Pana Prezydenta

Szła na długie wygnanie
Z sercem na rozstrzelanie

Przeszła piekło Kołomy
Maki z Monte Casino

Zna cudzego smak chleba
Żebrać umie gdy trzeba

Smoleńsk witała dumnie
Żeby spocząć na trumnie

18.04.2010, Baranowicze



Najjaśniejsza

Nie bądź głupi narodzie któryś jak plastelina
Bywasz mądry po szkodzie w prób dziejowych
godzinach
Tobie poklask symbole sojuszników cacanki
Nie chcesz oddać guzika chcesz na szable na szklanki
Toć nasz Duch na Wawelu patrzeć każe nam w serce
Kiedy głów jest zbyt wiele kto da serce w rozterce
Patrz gdzie twoje korzenie na Chrystusowe rany
Bacz czy wódz ma sumienie w czynach czy
próbowany

Nie bądź mądry po szkodzie
Najjaśniejszy narodzie

19.04.2010, Baranowicze

Obrońcom księstwa smoleńskiego

Król Jan Kazimierz nie wziął w boju męstwa
Nie zdobył żadnej szwedzkiej kolubryny
Lecz w najtrudniejsze dla kraju godziny
Śluby Maryjne złożył dla zwycięstwa

Gdy się krzyżami ziemię naszą mierzy
Ty nie zapomnij katyńskich rubieży
Ja nie zapomnę smoleńskiego lasu
Tam krew też nasza i do końca czasów

3.05.2010



„Naród pierwszy”

(C.K.Norwid)

Sarmato nie patrz nazbyt dumnie
Póki nie złożą ciebie w trumnie
Tyś - prawda - pierwszy w świecie naród
Acz gubi ciebie ogień swarów

Nie wąż nie kontusz karabele
Wpierw ZGODE kupić ci w kościele
Ty „pokój” czyń jak czynią „szalem”
Żyj w zgodzie byś nie był wasalem

5.05.2010

W tym szaleństwie brak metody

Młodzi szaleją starzy za nos wodzą
Jedni się żenią drudzy się rozwodzą

Kraj by okradać znajdą czas i sposób
Ile ojczyzna ma uczciwych osób?

Czy dziś sprzedajne narodowe cnoty?
Jak nam przywrócić dawny blask prostoty?

Jak będąc wolnym nie pogrzebać wiary?
Bez względu na to młody ktoś czy stary

Stąd - by nikczemnej nie dzielić rozpacz
Weźmy się bracia do rzetelnej pracy

DUCH POLSKOŚCI

Po moim referacie na Kongresie Kultury Polskiej 2000 (10 grudnia 2000 r. w Warszawie) na temat „Spór o istotę i przyszłość polskości” odkryłem z wielkim zdziwieniem, że dla wielu zgromadzonych tam wybitnych Polaków pojęcie Polski i polskości należy już do przeszłości. Wspierał mnie jedynie Polonus z Kanady. W ogóle takie pojęcia, jak Polska, naród, ojczyzna, polskość, nawet kultura polska, miały być przebrzmiałymi mitami, czymś jedynie nostalgicznym i czysto emocjonalnym, niepodpadającym pod kryteria naukowe, a nawet intelektualne. Byłem zaskoczony, że inteligencja polska nawet po roku 1989 przesiąkła tak bardzo marksizmem, socjalizmem już liberalną ideologią zachodnią, niezwykle płytką, nonszalancką i zrywającą niemal całkowicie z wielką tradycją tysięcy lat najwyższych kultur świata.

Spór o charakter i psyche narodu

Obok kierunków mityczno-narodowych, beznarodowych i bezpaństwowych wystąpiła bardzo wyraźnie w wieku XIX określona psychologia, socjologia i charakterologia, zajmująca się całym narodem. Według tych nowych ujęć, człowiekiem jest nie tylko jednostka, ale i społeczność, naród i w narodzie można odkryć swoistą psyche, charakter, specyfikę i niejako określoną osobowość, choć dla nauk jest to trudniej uchwytne. Gdyby to odrzucić, to trzeba by naród i każdą społeczność organiczną, także rodzinę, uznać za bardzo luźny zlepek, gdzie jednostki przypominałyby osobne ziarenka piasku na pustyni społecznej. Tymczasem społeczność organiczna przypomina raczej jakiegoś megaczłowieka, jak słusznie uczyli stoicy. Możemy zatem pod powierzchnią pozornie niezbornych i beładnych zjawisk i działań odkrywać głębinową wielkość ludzką o charakterze społecznym, w tym i narodowym. Toteż pytanie o polskość to pytanie o realną wielką gałąź drzewa ludzkości, o określonych ludziach znaczących społecznie, o historii, kulturze, czasoprzestrzeni życiowej i o określonym głębinowym profilu. Oczywiście, żeby to dojrzeć, Polska musi być percypowana i realizowana przez całą osobę ludzką. **A zatem polskość to wyższa tożsamość polska, samoświadomość i afirmacja bycia Polakiem bez względu na pochodzenie biologiczne i etniczne, to uczestnictwo w losach Polski i cały wymiar działań społecznych.** Jest to więc coś więcej niż jakaś warstwa kurzu przeszłości lub potok zdarzeń, zjawisk zewnętrznych i układów materialnych. Jest to wielka kategoria także osobowa, w której nasz świat osobowy się rodzi, rozwija i który nas kształtuje. W ten sposób realnościami są również rosyjskość, niemieckość, ukraińskość, litewskość itd. I tak osobowość jednostkowa i osobowość społeczna, także narodowa, wzajemnie się warunkują, kształtują i realizują.

Jakie są cechy idealne polskości?

Polska i polskość to nie są tylko jakieś nierozumne emocje. Dowodem na to są niezliczeni polscy władcy, politycy, żołnierze, pisarze, artyści, poeci, powstańcy, partyzanci, solidarnościowcy, a także prości robotnicy, chłopci, mieszczenie i ludzie młodzi wszystkich stanów, którzy mieli – i mają – w swoich duszach ikonę Polski, choćby na co dzień była ona trochę przesłonięta przez bieżące życie. Szczególnie jasna idea polskości jawiła się w czasach trudnych: w czasach rozkładu państwa, tracenia suwerenności, rozbiorów, powstań, okupacji niemieckiej, Powstania Warszawskiego, ciężkich walk podziemia, okupacji sowieckiej, niedocenionych trudów Polonii dla Ojczyzny aż do zmagani solidarnościowych. Nie znaczy to, że każdy z tych ludzi musiał realizować polskość w całej pełni i doskonale, ale dla każdego była ona mniej lub bardziej idealnością, światłem życia i marzeniem o lepszym społeczeństwie. Ale i w codziennym, i normalnym życiu Polaków pojawiały się – i pojawiają częściowo do dziś – jakieś cechy charakterystyczne, składające się na konkretny i niezwykle profil ikony polskiej. Są to:

- nastawienie Polaków ostatecznie raczej na życie osobowe niż materialne;
- otwarcie się na życie wyższe, doskonalsze i ideowe;
- zmysł ściślej wspólnoty narodowej, gdzie Naród jest rozumiany nie tyle jako wielkość biologiczna, utylitarna i materialna, ile raczej jako zespół międzyosobowy, realizujący wysokie wartości;
- zrozumienie dla unijności z narodami, państwami i kulturami, jak tworzenie w swoim czasie Rzeczypospolitej Trojga Narodów: polskiego, litewskiego i ruskiego;
- rozwijanie pokoju i tolerancji między wszystkimi wyznaniem, chrześcijańskimi i niechrześcijańskimi, i to w czasie, gdy gdzie indziej toczyły się krwawe i długolet-

nie wojny religijne; u nas też katolicyzm doprowadził do częściowej unii z prawosławiem i z Ormianami.

U nas nie było też palenia heretyków na stosie ani innych krwawych prześladowań religijnych, tak że spotkany kiedyś profesor holenderski z podziwem dla Polski pochwalił się przytoczeniem po polsku pracy J. Tazbira „Państwo bez stosów”.

Mimo wezwań Papieży nie uczestniczyliśmy też w wyprawach krzyżowych.

Obce kraje mówiły o Polsce, że jest ona „rajem dla Żydów”, którzy masowo przybywali do nas prześladowani w krajach Europy, zresztą ciągnęły do Polski także liczne inne nacje ze Wschodu i z Zachodu, i osiedlały się u nas.

W Polsce nie było królobójstwa. Król Przemysław II został zamordowany z polecenia margrabiów brandenburskich, a prezydent Gabriel Narutowicz został zastrzelony przez chorego psychicznie. Był rokosz Zebrzydowskiego († 1620), ale był on zwrócony przeciwko nietolerancji religijnej.

Kładziono wielki nacisk na wolność osobistą i suwerenność państwową tak, że mówiono o Polsce, iż jest „państwem niezhołdowanym”. Chłopi wprawdzie w pewnym czasie mieli poddaństwo, jak w całym świecie, ale nie byli nigdy w podobnej sytuacji, jak w XIV wieku chłopi francuscy i angielscy, których w buntach mordowano jak bydło.

Bywały akty wielkiego altruizmu międzynarodowego, jak np. odsiecz wiedeńska, choć Niemcy dziś głoszą, że to oni sami pokonali Turków pod Wiedniem w roku 1683. Nasza postawa wyrażała się wspaniałą w hasło „za wolność naszą i waszą”.

Polska poczuwała się do posłannictwa międzynarodowego: w obronie Europy przed Tatarami, Turkami, bolszewikami, a oficerowie z polskich powstań byli zapraszani przez liczne ruchy wyzwolenicze, jak choćby Pułaski i Kościuszko. Dziś z kolei stanęliśmy wobec zadania powstrzymywania barbarzyństwa liberalistycznego, postmodernistycznego i mafijnego.

Polska nie prowadziła wojen zaborczych, jak np. Rosja, a nasza dwuletnia obecność na Kremlu była spowodowana prośbą Moskali, by w czasie wojny domowej, tzw. wielkiej smuty, tron carski objął syn Zygmunta III Wazy, królewicz Władysław. W ten sposób zresztą bronili się przed inwazją szwedzką.

W ogóle rozwijał się wielki patriotyzm i idealizm społeczny i polityczny, jak choćby w narodowej walce z okupantem niemieckim i sowieckim oraz w pierwszej „Solidarności”.

Polacy, bynajmniej nie fanatycy, bronili zdecydowanie Kościoła, i wiązali się duchowo z Rzymem Piotrowym jako centrum duchowego świata, co stało się szczytowe w osobie Jana Pawła II.

Od czasów Chrobrego aż po wiek XX nie brakło koncepcji stworzenia unii Europy Wschodniej i Środkowej, zwłaszcza Słowiańszczyzny (np. Wincenty Lutosławski).

Wysoko stawiano w ideologii miłość Ojczyzny i służbę dla niej, zwłaszcza w wielkiej potrzebie.

Było wielkie zrozumienie dla życia rodzinnego, a także dla kobiety matki.

Był duży zmysł historii i życia praktycznego zamiast pograżania się w abstrakcjach, systemach i utopiach.

Górował ideał postawy „ludzkiej” bez fanatyzmu, formalizmu i biurokracji, co dziś szerzy się epidemicznie w UE, najwyżej była kłótniowość szlachty.

Nie było u nas w swoim czasie feudalizmu w ścisłym znaczeniu, bo szlachta, stanowiąca razem społeczność „panów braci”, nie podlegała całej drabinie feudalnej, gdzie gradacyjnie jedni podlegali drugim, jak gdzie indziej, lecz podlegała jedynie królowi Rzeczypospolitej.

Polaka cechowała łagodność, życzliwość, towarzyskość i otwartość na drugiego człowieka, w tym szczególnie na obcokrajowców.

Polaka cechują na ogół żywa i subtelna inteligencja i różnorodne uzdolnienia.

Polak miał i ma wysokie poczucie godności osobistej, dumy i honoru.

Jest naszą cechą także duża emocjonalność, porywczność, wielka fantazja, optymizm, a wreszcie poczucie humoru, żartobliwość i talent zabawowy.

Niezwykłym zjawiskiem w Polsce XVII- i XVIII-wiecznej była polonizacja chrześcijaństwa, według której – mówiąc krótko – historia Jezusa i początków chrześcijaństwa działa się jakby w Polsce, np. jasełka.

W poszukiwaniu cechy podstawowej

Zgodnie z psychologią narodu możemy pytać o jedną czy drugą cechę główną polskości. Według Hegla, Polskę znamionowało „umiłowanie wolności indywidualnej aż do chaosu państwowego”. Przyjazny Polsce niemiecki historyk kultury z Królewca Ferdynand Gregorovius († 1891) pisał w czasie Wiosny Ludów, że natura polskości to uparta indywidualność, duch emocjonalnej naturalności i mocne trzymanie się narodowości, i że powinna ona być wolna w „Europie jako kongresie narodów” (*Idea polskości. Dwie księgi martyrologii polskiej*. Tł. F. Jeziołowicz, Olsztyn 1991). Aleksander Brückner, wybitny historyk kultury polskiej, widział w Polsce przede wszystkim „gościnność i towarzyskość”. Artur Górski uważał za wybijające się cechy Polaka „łagodność i pokojowe nastawienie”. Józef Unschlicht († 1938), Polak i zarazem rewolucjonista rosyjski i jeden z organizatorów Armii Czerwonej wymienia jako szczególną cechę polską „szlachetność”.

Współcześnie Ryszard Przybylski i Jerzy Robert Nowak wskazują na „inność”. Stanisław Wójcik z KUL

podkreśla znamioną „podmiotowość wolnościową i niezależną”. Donald Tusk pisał niedawno, że dla niego polskość to „nienormalność”, bronił się chyba przed postawą ciągłej martyrologii polskiej. Według Jarosława Rymkiewicza, ostatnio „polskość to śmierć na ołtarzu ojczyzny”. Jeszcze inni wskazują na pogodność towarzyską, silne poczucie wspólnotowości, niezwykle humor, ofiarność dla Ojczyzny w trudnych czasach, prymat indywidualizmu itp. Wielu dziś stawia jako naczelne zadanie pozytywistyczne hasło pracowitości dla wszelakiego dobra Polski. Ja myślę, że gdyby streścić specyfikę człowieka polskiego, to – biorąc pod uwagę całą naszą tradycję aż po „Solidarność” – należy zwrócić uwagę przede wszystkim na ufną wiarę w człowieka i dobroć miłosiernego Boga, a także na żywą nadzieję, że życie społeczne i narodowe da się doskonalić. Wiarę w miłosierdzie Boże wyrazili np. szczególnie św. Faustyna, bł. Michał Sopoćko i Jan Paweł II. I właśnie tą wiarą w człowieka i w łaskawość Boga Polacy powinni natchnąć na nowo germańsko-romańską Europę Zachodnią, popadającą coraz głębiej w ateistyczny nihilizm i pesymizm.

To nic, że wielu ludzi u nas i na świecie taka polskość, zwłaszcza męczeńska i posłannicza, bardzo irytuje. Dobry człowiek zawsze złości siły demoniczne. **I taka polskość, sama w sobie autentyczna i tożsama, a jednocześnie uniwersalistyczna, ponadpartyjna, ponadnarodowa i ponadpolityczna zdaje się tkwić w Polakach, w ich głębi duchowej, mimo słabości, błędów i zawężeń występujących często w codziennym, zwykłym życiu. Polskość wreszcie to ciągle wchodzenie w głębię własnego świata osobowego, jednocześnie po to, żeby wychodzić do drugiego na sposób człowieczy.**

Czasy próby i pokuszenia

Każda historia jest zawsze jednocześnie poligonem doświadczenia zarówno dobra, jak i zła. Każdy prorok dobra musi dostrzegać wyraźnie wszystkie groźby zła. W rezultacie historia jest takim młynkowaniem ludzi i rzeczy. Chrystus – mówi św. Jan chrzciciel – „ma wiejadło w rękę i oczyści swój omlot; pszenicę zbierze do spichrza, a plewy spali w ogniu nieugaszonym” (Mt 3, 12; por. Łk 3, 17). Teraz chyba jesteśmy szczególnie na silnym wietrze przesiewania i próby naszej wartości.

Kiedy zatem spojrzymy na zjawiska zewnętrzne, to coraz bardziej trwoży nas, że polskość dziś, nawet solidarnościowa, szarżeje i karleje, że i u nas pogłębia się kryzys nie tyle gospodarczy, ile ideowy i duchowy. Nasza indywidualna i społeczna moralność jest wystawiona na ciężką próbę. Zawęża się suwerenność naszego państwa, gdy Bruksela zaczyna nam dyktować nie tylko kroki gospodarcze i polityczne, ale nawet to, co mamy myśleć, mówić, pisać, w co mamy wierzyć i jaką możemy przyjmować

moralność. Różne mniejszości wystawiają na ciężką próbę naszą łagodność i tolerancję, jak choćby w przypadku prof. J. T. Grossa. Słabnie nasza wiara i godność, kiedy pozwalamy różnym degeneratom płuć Polakom i katolikom w twarz, a także płuć na Chrystusa i na Kościół. Jakby słabnie nasz intelekt, wyobraźnia i fantazja, a rozwija się chciwość, nastawienie na liczenie tylko zysku oraz niszcząca złość i nienawiść. Dziczeją nieraz nasze urzędy i instytucje. Postępuje szybko choroba unijnej skrajnej biurokracji. Tracą zaufanie sądy i prokuratury. Szkodnicy Polski są w zasadzie bezkarni.

Ogólnie wkrada się jakiś niepokój w Dom Polski. Wyludniają się nadal wsie, a nawet częściowo i miasta, głównie z powodu emigracji zarobkowej. Rozbijają się rodziny i brutalizuje się życie w nich. Inteligencja jest w dużej mierze jakaś zdeorientowana ideowo, społecznie i politycznie, a niekiedy i jakby zamroczona. Wybitne jednostki nie mają oparcia ani szans działania. Literatura patriotyczna, zwłaszcza katolicka, jest wyrzucana z listy lektur obowiązkowych, co podważa patriotyzm pokoleń. Liczni politycy i rząd robią różne kroki antypatriotyczne i narażają Polskę dziś znowu na germanizację. Szerzą się i w wyższych sferach chamstwo, egoizm, brutalność, pustka duchowa i samoubóstwianie się możliwych. W wielu dziedzinach lęgnie się marazm, bezdusność, bezideowość i jakby jakiś antyświat. Zaczyna brakować sił duchowych, natchnień, wyższych uczuć, ofiarności i wielkich czynów. A szerzący się po trochu ateizm powoduje podświadomy lęk życia.

Jak to wszystko potoczy się dalej? Trudno liczyć na zbiorową wolę odrodzeniową ogółu społeczeństwa, które jest teraz jakieś odrętwiałe i anonimowe, nie sposób go poruszyć. Trudno też liczyć na polityków, którzy w większości są nierealistyczni, a tylko robią się gladiatorami, walczącymi jedynie o władzę własną i o całkowite zniszczenie przeciwników, choćby wbrew Konstytucji. Wygrywają wcale nie najlepsi i najmądrzejsi. **Musi zatem nastąpić jakiś wielki wstrząs w Polsce i w Europie i muszą ujawnić się wielkie osobowości wodzowskie, które wezmą wiejadło historii w swoje ręce.**

Ks. prof. Czesław Stanisław Bartnik
KUL, Lublin



(Przedruk za pozwoleniem Autora z: *Trud i czar myśli*, W: „Dzieła zebrane”, Tom LVI, Lublin, 2009, ss. 244-249).

W 75 Rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego



75 lat temu - 12 maja 1935 r. - zmarł „ojciec polskiej wolności” Józef Piłsudski, twórca i obrońca II Rzeczypospolitej, Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny Wojska Polskiego. Prymas Polski ks. kard. August Hlond w specjalnie opublikowanym oświadczeniu stwierdzał wtedy: „Marszałek Piłsudski poza wielu innymi zasługami zapisał się w dziejach wskrzeszonej Polski jako pogromca zbrojnego bolszewizmu, co chciał podbić Polskę i wcielić ją we wszechświatową Republikę Sowiecką. Zwycięstwami dni 15 i 16 sierpnia 1920 roku stanął Marszałek Piłsudski w szeregu dziejowych obrońców wiary. Za to należy się Józefowi Piłsudskiemu wieczna wdzięczność nie tylko obywateli polskich, lecz całego chrześcijaństwa”.

Zaś św. Maksymilian Kolbe, nawiązując do niezwykłego życia Marszałka, zaświadczał: „Bogurodzica towarzyszyła Mu w bojowym marszu ku Polsce Niepodległej. Józef Piłsudski miłość ku Matce Niebieskiej wyssał z piersi swej ziemskiej matki, którą bardzo miłował. Od swojej matki nauczył się też kochać wspólną wszystkich ludzi Matkę i ukochał Ją, w postaci Ostrobramskiej Maryi Panny. I ta miłość towarzyszyła mu przez całe życie (...). Teraz może łatwiej także zrozumiemy, dlaczego Matka Boża dała mu złamać hordy bolszewickie w dzień swego Wniebowzięcia”.

Ojciec Święty Jan Paweł II pod koniec XX wieku przypominał: „Wiedzę, że urodziłem się w roku 1920, w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę. I dlatego noszę w sobie od urodzenia wielki dług w stosunku do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeźdźcą. Już wtedy wydawało się, że komuniści podbijają Polskę i pójdą dalej do Europy Zachodniej, że podbiją świat. W rzeczywistości wówczas do tego nie doszło. Cud nad Wisłą i zwycięstwo Marszałka Piłsudskiego zatrzymało te sowieckie zakusy”.

Zasługi Piłsudskiego dla Polski, ale także dla Europy są istotnie wiekopomne. Ale równie ważne i ponadczasowe są jego sentencje, niezmiennie aktualne, także teraz w XXI wie-

ku w zupełnie innej epoce. Zestawienie tych złotych myśli tworzy wyjątkowy testament polityczny i przesłanie Józefa Piłsudskiego dla kolejnych pokoleń Polaków.

✓ „W życiu bywają rzeczy ważniejsze niż samo życie.”

✓ „Być zwyciężonymi i nie ulec - to zwycięstwo. Zwyciężyć i spocząć na laurach - to klęska”.

✓ „Zginać możemy, ale hańby imieniu naszemu nie przyniesiemy. Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi. A niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale bardzo kosztownym”.

✓ „Mamy Orła Białego, szumiącego nad głowami, mamy tysiące powodów, którymi serca nasze cieszyć możemy. Lecz uderzmy się w piersi! Czy mamy dość wewnętrznej siły? Czy mamy dość tej potęgi duszy? Czy mamy dość tej potęgi materialnej, aby wytrzymać jeszcze próby, które nas czekają? Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie: czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych?”

✓ „Niegdyś spotykaliśmy w Polsce ludzi twierdzących, że służba dla Rosji jest równoznaczną ze służbą Ojczyźnie”.

✓ „Podczas kryzysów strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym”.

✓ „Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki”.

✓ „My wam wywalczyliśmy niepodległość Ojczyzny, a wy będziecie w niej żyć, pracować i rządzić. Zapamiętajcie: jeżeli zwróćcie się na Wschód, to minimum o jeden wiek cofnięcie się z kulturą, ekonomią itp. Jeżeli zwróćcie się na Zachód, minimum o jeden wiek szybciej Polska będzie się rozwijać”.

✓ „Nie może być litości dla złodziejów dobra publicznego w Polsce. Żadne zdrowe społeczeństwo nie będzie bez zdobycia się na opór czynny, aby znosić gospodarkę bandytów, podtrzymywanych przez władze, i władz, podtrzymywanych przez bandytów”.

✓ „Sąsiedzi nasi, z którymi pragnęlibyśmy żyć w pokoju i zgodzie, nie chcą zapomnieć o wiekowej słabości Polski, która tak długo stała otworem dla najazdów i była ofiarą narzucania jej obcej woli przemocą i siłą”.

✓ „Ja nikomu prawie nie ufam, a cóż dopiero Niemcom. Muszę jednak grać, bo Zachód jest obecnie parszywieńki. Wzajemne popieranie się Niemiec i Rosji może być tylko straszeniem Europy, demonstracją. Ale o ile jest bluffem - nie wiadomo”.

✓ „Narody europejskie, bardziej oddalone od ogniska bolszewickiego, mogą jeszcze wierzyć w piękno ustroju. My zaś, jako sąsiedzi Rosji Sowieckiej, mogliśmy bardzo dokładnie zdać sobie sprawę z wyników doświadczeń komunistycznych”.

✓ „Nie ma Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie. Polska jest stale oskarżana w innych państwach. Jest w tym wyraźna i niedwuznaczna chęć posiadania w środku Europy państwa, którego kosztem można byłoby załatwić wszystkie porachunki europejskie”.

✓ „Nie chcemy mieszać się do życia wewnętrznego któregośkolwiek z naszych sąsiadów, lecz pozwolić nie możemy, by pod jakimkolwiek bądź pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia”.

✓ „Bez względu na to, jaki będzie jej rząd, Rosja jest zaciekle imperialistyczna. Jest to nawet zasadniczy rys jej charakteru politycznego. Mielśmy imperializm carski, widzimy dzisiaj imperializm czerwony - sowiecki. Polska stanowi zaporę przeciwko imperializmowi Rosji”.

✓ „Konstytucja nasza zredagowana jest w ten sposób, że wszystkie trzy sprężyny główne państwa nie mogą działać harmonijnie, a muszą stale być z sobą w sporze. Zamiast wyznaczyć możliwie ściśle, co robi prezydent, co robi rząd, co robi sejm, zostawiono wszystko, wszystko w najlitolniejszym tego słowa znaczeniu - zarówno prezydentowi, jak i rządowi, jak i sej-

mowi. Niejasność ta tak się rzuca w oczy. Naturalnie, że ścisłość określeń prawnych w dziedzinie politycznej jest ideałem nieosiągniętym. Im bardziej jednak do ścisłości się dochodzi, tym jest lepiej”.

✓ „Czy Polska chce, aby jej sejmy były podobne do dawnych i miały cechę suwerenności partii i «wychodków» partyjnych, rozzuchwalających się stale w nadużyciach, czy też chce z tym zerwać tak, aby śladu z tej przeszłości nie zostało?”

✓ „Spotykam świat agentury, idący przeciwko nam całą siłą, całą parą, starający się nas zbrukać. Zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo, idą dalej bok w bok i krok w krok”.

prof. Józef Szaniawski

Uroczystości pogrzebowe
J. Piłsudskiego w Krakowie



„Rosa niebios na poleskiej ziemi”:

Święta Urszula Ledóchowska i jej misja na Polesiu



Matka Urszula Ledóchowska była niezwyczajną kobietą. Urodzona w 1865 roku w arystokratycznej rodzinie hrabiów zrezygnowała z tytułu, z przysługujących jej zaszczytów i pozycji w społeczeństwie, aby stając się oblubienicą Chrystusową przyodziać się w niepozorny habit, w skromności i pokorze zostać „szarą myszką”.

W wieku 21 lat wstąpiła do klasztoru Sióstr Urszulanek w Krakowie i rozpoczęła życie zakonne. W 1907 r. wyruszyła do Petersburga. Zostając w konspiracji w stroju świeckim ewangelizowała tam Rosjan, jednocześnie pełniąc obowiązki kierowniczkę internatu. Nauczyła się doskonale rosyjskiego i zdała w tym języku egzamin państwowy ze wszystkich wymaganych przedmiotów, uzyskując dyplom nauczycielski. Kształcąc i troszcząc się o młodzież była odważną misjonarką Rosji. Po latach zaś wygnanką, tułaczką po Skandynawii, ambasadorką polskości, bezgranicznie oddaną pracy na rzecz ofiar I wojny światowej, współpracowniczką Henryka Sienkiewicza. Pisała i wygłaszała odczyty, spotykała się z wielkimi tego świata, by zdobyć środki i moc wesprzeć duchowo, i materialnie walczących Polaków. Załatwiała wiele spraw, przemierzała setki kilometrów, ale zawsze odnajdywała czas na modlitwę i adorację Najświętszego Sakramentu. Posiadała ogromne doświadczenie życiowe, znała kilkanaście języków, zetknęła się osobiście z wieloma wybitnymi postaciami tamtej epoki i to nie tylko z kręgów kościelnych, lecz także ze sfer politycznych. Została założycielką **Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego**, mającego żyć duchowością urszulańską oraz tradycją pracy wychowawczej. Jest przykładem świętości zaangażowanej w historię.

Niewielu jednak wie, że los Matki Urszuli był związany również z Polesiem. Matka Urszula była oczarowana Polesiem i bardzo lubiła tę ziemię. Tutejszy krajobraz, ale też ludzie, ich zwyczaje, pieśni miały w sobie jakiś przyciągający urok, któremu poddała się Urszula.

Wielokrotnie pisała i mówiła o swoich wizytach na Polesiu, na którym – odwiedzając poszczególne wspólnoty – była dość często. Na zaproszenie z jednej strony biskupa pińskiego Zygmunta Łozińskiego, a z drugiej strony – pisarki Marii Rodziewiczówny **urszulanki w latach trzydziestych zakładają na Kresach dziesięć placówek**. W 1933 roku powstaje pierwsza placówka urszulańska w Horodcu pod Kobryniem, gdzie siostry po kilku miesiącach otworzyły przedszkole i szwalnię dla dziewcząt. Roztoczono opiekę nad chorymi w miasteczku i okolicy. Z czasem powstawały małe placówki apostołskie w najbardziej zaniedbanych zakątkach Polesia.

Bliski współpracownik sióstr urszulanek, ich kapłan i opiekun **ks. Jan Zieja**, będący oprócz tego proboszczem w Łahiszynie, profesorem w Seminarium Duchownym w Pińsku, dyrektorem diecezjalnym Akcji Katolickiej, animatorem akcji charytatywnych Caritas w parafiach i diecezji, zadeklarował siostronom wszelką pomoc, a nawet przeniesienie do Horodca. W r. 1934 pisał do Matki Urszuli: „Choćbym do Horodca przenieść się nie mógł, to o specjalne zlecenie mi przez Księdza Biskupa tych planów misyjnych poproszę”.

Matka Andrzej Górska wspomina tamtą rzeczywistość: „Ksiądz Zieja dojeżdżał kolejno do wszystkich tych małych placówek z posługą kapłańską, z której korzystały nie tylko siostry, ale i okoliczna ludność przybywająca nieraz z odległych stron”.

Praca na Polesiu nie należała do najłatwiejszych. Brakowało tu infrastruktury, rozwiniętej gospodarki, edukacji. Siostry spotkały się ze swoistą duchową i kulturową izolacją. Ówczesny kurator brzeskiego okręgu szkolnego pisał o Polesiu: „Było to środowisko z natury nieufne. Praca prowadzona w nim była w osamotnieniu i oddaleniu od środowisk kulturalnych i bez widoków na pomoc od innych instytucji, a w świadomości liczenia tylko na własne siły, niezrażania się trudnościami, zadowalania się najmnijszymi osiągnięciami”.

Matka Ledóchowska tak relacjonowała pracę sióstr w Polskim Radiu w 1938 roku: „Jak wygląda praca szarych sióstr urszulanek na Polesiu? Do doktora daleko, do kościoła daleko, do stacji kolejowej daleko! Właśnie takie biedne wioski wybierają sobie nasze siostry, by tam (...) za przykładem Chrystusa Pana przechodzić «czyniąc

dobrze». (...) Zaczynają swą pracę od zakładania przedszkola lub dziecińca. (...) Dziecko z przedszkola staje się wnet wychowawcą rodziców. (...) Siostra pielęgniarka ma szerokie pole do działania. W oznaczonych godzinach przychodzą chorzy, a po skończonym przyjęciu przed domem stają fary, by zawieźć siostrę do obłożnie chorych. Tu trzeba postawić bańki, tam zrobić zastrzyk, tam kompres, tam znów ranę obandażować. (...)

I Boga pragną ci ludzie – choć nie zawsze znają i rozumieją prawdy wiary. Na lekcjach religii (...) gromadzą się i prawosławni i katolicy, by modlić się wspólnie; wszyscy wsłuchani są w tłumaczenie nauki Chrystusowej, Chrystusowej miłości. Tam, gdzie nie ma kościoła, w niedzielę siostry zbierają lud w sali szkolnej, razem modlą się i śpiewają. (...) Najwięcej działają siostry w małych domkach na zupełnie opuszczonych wsiach. Zajmują się tam kołami gospodyń, mają czytelnice, biblioteki, uczą śpiewu (...).

Mogę z radością powiedzieć, że siostry wszędzie spotykają się z życzliwością, zarówno ze strony katolików, jak i prawosławnych. Wszyscy przychodzą z zaufaniem, gdy potrzebują pomocy w chorobie lub w innych biedach życiowych. I tego pragną siostry. Żyć w zgodzie ze wszystkimi, by stać się wedle słów Apostoła «wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich do Chrystusa prowadzić».

Przy innej okazji tłumaczyła: „Zwracam uwagę na to, żeby na takie placówki – o ile możliwości – wysyłać siostry z uniwersyteckim wykształceniem. Podkreślam to, gdyż naszej uniwersyteckiej młodzieży żeńskiej, mającej powołanie zakonne, nieraz się zdaje, że tej ich wysokiej wiedzy nie warto trwonić w tak niskiej pracy misyjnej (...). Nie rozumiem, że właśnie w pracy misyjnej potrzebne są osoby wykształcone, dobrze wychowane, które by się w potrzebach ludności orientowały i potrafiły nią pokierować”.

Od spraw wschodnich Urszula stała się specjalistką. Nie bez przyczyny nuncjusz papieski w Polsce Filippo Cortesi nazwał ją „apostolką Wschodu”. Latem 1938 roku przyjmowała nuncjusza na Polesiu, zatrzymała go na kilka dni w Mołodowie, towarzyszyła mu w drodze powrotnej do Warszawy. W „Kronice Zgromadzenia” zanotowała: „Miłe to były dni. Gość był bezpośredni i serdeczny. Raz zawieźliśmy go do mostu na Jasiołdzie, skąd roztacza się śliczny widok na łąki poleskie. Innym razem zaśpiewali mu fornale swoje pieśni z przeciągłym poleskim zawrotem. Na zakończenie zapytał ich, czy chcą, aby w imieniu Ojca świętego udzielił im błogosławieństwa (są prawosławni). «Czemu nie» - odpowiedzieli i przyklękli, aby ksiądz nuncjusz im pobłogosławił. Potem dołączył do nich i dziewczęta”.



Św. Urszula kilka razy odwiedzała placówki poleskie w towarzystwie biskupa pińskiego Kazimierza Bukraby, który nazywał ją „królową Polesia” i w czasie odwiedzin występował również w charakterze kierowcy. Z tym, jak wyglądało przyjęcie gości w odwiedzanych wioskach, można się zapoznać na przykładzie opisanego Ostrowa, w którym kiedyś oddział Traugutta modlił się w małej kapliczce przed rozpoczęciem akcji powstańczej: „Mnóstwo dzieci na nas czekało. (...) Przy szkole dorośli powitali księdza biskupa chlebem i solą, a w szkole odbyły się przemówienia. Potem poszliśmy obejrzeć chatę, którą ma gospodarz odrestaurować (w niej część przeznaczona na mieszkanie dla siostr), i drugą, gdzie ma być urządzona kapliczka. Z kolei udaliśmy się do staruszki dziewięćdziesięcioletniej prawosławnej, która jednak dobrze pamięta czasy prześladowań i umie wszystkie modlitwy po polsku na pamięć – recytowała nam je bez końca. Potem do gospodarza katolika – tam nas ksiądz biskup fotografował. No, i wreszcie do kierowniczkę szkoły, gdzie na nas czekał obiad. Przez cały czas prawie cała wieś nam towarzyszyła. (...) Żał nam było opuszczać tych ludzi. (...) Ostrów zapisał mi się boleśnie w pamięci; ludzie tam tacy opuszczeni, pozbawieni pomocy. Ale ufam, że jeszcze w tym roku będę mogła siostry im posłać”.

Siostry urszulanki umiały zdobyć zaufanie i dotrzeć do serc ludzi. Nie nawracały prawosławnych na katolicyzm, ale pozyskiwały uznanie poprzez prawdziwą służbę, czynienie miłosierdzia względem chorych i najuboższych, przez udział w szerzeniu oświaty w okolicznych wsiach i miasteczkach.

Ksiądz Jan Zieja, którego św. Urszula opisywała jako „bardzo dobrego i świętego”, „idealnego” i wręcz „szaleńca Bożego”, pisał: „Gdy siostry objęły placówkę w Mołodowie, w okolicy, gdzie katolicy stanowili zaledwie 5 procent ludności, najniższy w całej diecezji pińskiej, matka Ledóchowska w rozmowie z miejscowym

księdzem wyraziła swoją wolę, by siostry nie uprawiały jakiegoś «nawracania» poszczególnych prawosławnych na religię katolicką. Zalecała siostronom pełnienie dzieł miłosierdzia (opieka nad chorymi, ubogimi i dziećmi), prowadzenie rzetelnej, bezinteresownej, nie tendencyjnej pracy oświatowej i wychowawczej wśród młodzieży, bez względu na wyznanie czy poczucie narodowe. Siostry miały dawać przykład życia w miłości do wszystkich ludzi. Matka była przekonana, że tylko ta droga prowadzi do zjednoczenia prawosławnych i katolików w jednej owczarni Chrystusowej”.

Mołodów, leżący jakieś 35 kilometrów od Pińska, był własnością Skirmuntów, którzy przekazali swój majątek siostronom urszulankom w celu szerzenia życia chrześcijańskiego na Polesiu. Siostry przejęły całe gospodarstwo wraz z ziemią uprawną. Zgromadzenie objęło w posiadanie ziemianką siedzibę, lecz siostry zamieszkały w odremontowanym kurniku, który był na podwórzu. Siostry urządziły w tym kurniku nawet kaplicę. Żeby przyjmować ludzi w różnych sprawach, jak też dla nauki dzieci, podzieliły pomieszczenie kaplicy zasłoną na dwie części. Niektóre siostry dziwiły się: „Jakże to, tam Najświętszy Sakrament, a tutaj interesanci?” Matka Ledóchowska odpowiedziała na to: „Nie bójcie się. Panu Jezusowi nie wadzą hałasujące dzieci”.

Kiedy siostry tylko sprowadziły się do Mołodowa, zgłosiło się do nich od razu kilka prawosławnych kobiet, które wyraziły chęć przyjęcia katolickiej wiary. Matka Ledóchowska odmówiła: „Zaczekajcie, przypatrzcie się, jak będziemy żyły. Potem, jeśli nadal będziecie chciały, to zostaniecie katoliczkami, a teraz jeszcze wstrzymajcie się”. Siostry we wszystkim kierowały się ideą: „Patrzmy tylko na ludzi i pomagamy im”. Papież wydał nawet specjalne zezwolenie dla sióstr, ponieważ przepisy kościelne nakazywały, aby w jednym domu przebywały przynajmniej trzy zakonnice, a na Polesiu zdarzało się, że jedną placówkę prowadziły tylko dwie siostry. **W Mołodowie ks. Zieja wraz z zakonnicami**

założył także Niedzielny Uniwersytet Ludowy, który stawiał sobie za cel szerzenie rzetelnej oświaty, budzenie samodzielnego myślenia i zapału do pracy społecznej, gdzie po każdym wykładzie toczyły się zacięte dyskusje.

Ksiądz Zieja tak opisuje stosunki narodowościowe **w Mołodowie**: „Robotnikami w majątku byli Polacy, nie miejscowi Poleszuccy, tylko przybysze z województw zachodnich. Natomiast cała wieś była prawosławna, cerkiew na miejscu, pop oczywiście także. Pod względem narodowym Mołodowo miało charakter białorusko-ukraiński, bo kolonizacja ukraińska była tam bardzo silna. (...) Tam działała silna agitacja ukraińska, bardzo antypolska. Młodzież była pod tym wpływem, więc nie chcieli nic związanego z polityką. (...) Polesie nie stanowiło jakiegś jednolitej społeczności. (...) Pod względem religijnym to byli prawosławni z przymieszką różnych sekt i Żydów. U władz polskich mieszkańcy tej okolicy mieli niedobłą opinię jako komuniści. Byli na «czarnej liście» u policji. (...) Będąc w wojsku usłyszałem od nauczyciela z tamtych stron, który był razem ze mną zmobilizowany: «Gdybyście Wy, to znaczy Ksiądz i siostry urszulanki, byli jeszcze przez parę lat w Mołodowie, to całe Polesie wkrótce byłoby katolickie». – To jest opinia białoruskiego nauczyciela, którego brat był prawosławnym popem”.

Mimo podeszłego wieku Urszula Ledóchowska snuła plany dotyczące otwarcia w Janowie Poleskim miejsca kultu św. Andrzeja Boboli. Pragnęła, by w miejscu śmierci Świętego, którego kanonizację przeżyła w Rzymie, razem z ukochanymi Poleszuckami, mógł powstać dom pielgrzyma i kościół, by cała Polska przychodziła tam modlić się o zjednoczenie chrześcijan. Już we wrześniu 1938 roku Zgromadzenie rozpoczęło pracę w Janowie, gdzie Matka zakupiła mały domek i plac, z myślą o szerzeniu kultu patrona Polesia - św. Andrzeja Boboli.

Pożoga września 1939 roku i kolejne lata wojny pokrzyżowały plany, i zatrzymały rozwój misji sióstr urszulanek na Polesiu. Matka Urszula Ledóchowska odeszła z tego świata w maju 1939 roku, niby przeczuwając nieszczęście i świadomie rezygnując z patrzenia na terror, krew i łzy niewinnych ludzi. Jednak pamięć o niej żyje na Polesiu, a jej dzieło zostało utrwalone w potomkach tych, którymi się opiekowała i których umiłowała całym sercem. Dnia **20 czerwca 1983 r.** w Poznaniu **Jan Paweł II** beatyfikował matkę Urszulę, a **18 maja 2003** w Rzymie została zaliczona do grona świętych. W Niebie z miłością zapewne wspomina rosę na poleskich łąkach, gdzie stapały jej święte niestrudzone nogi.

Wiktor Szukielowicz
Żuprany



GIMNAZJUM PAŃSTWOWE im. Marii Rodziewiczówny w Kobryniu (1915–1939)

Początek kobryńskiego gimnazjum sięgają czasów I wojny światowej. 13 listopada 1915 roku z inicjatywy miejscowych ziemian została otwarta pierwsza legalna polska szkoła. Niemieckie władze okupacyjne uznały szkołę, nie ingerowały w sprawę jej organizacji i programu poza jednym zakazem: nauczania języka rosyjskiego i posługiwanie się im.

Przyjmowały jedynie ustne sprawozdania. Na plebani pod kierownictwem ks. Chotkowskiego i p. Józefy Szadurskiej naukę rozpoczęło 60 dzieci; przeszło połowa nie umiała czytać i pisać. Mimo przychylności okupantów był to okres bardzo trudny – głodu, chorób zakaźnych, braku pieniędzy. Zakup pierwszych podręczników sfinansowali arcybiskupi. W kolejnych latach wzrastała liczba uczących się. Jedynie w roku szkolnym 1920/21 nastąpił spadek, ponieważ starsi uczniowie ochotniczo wstąpili do wojska. Brali oni udział w ciężkich walkach nad Bugiem. Już w drugim roku nauki otwarto 6 oddziałów, w następnym wprowadzony został program gimnazjalny, szkołę przemianowano na Gimnazjum Społeczne w Kobryniu, a Rada Opiekuńcza dopuściła do szkoły uczniów innych wyznań, gdyż dotychczas przyjmowano tylko młodzież katolicką. Odtąd uczyła się tu także młodzież wyznania prawosławnego, mojżeszowego, ewangelickiego i ma-

hometkańskiego. Powołane przez okupanta w 1918 r. władze ukraińskie zarządziły wprowadzenie obowiązkowego języka ukraińskiego, historii i geografii Ukrainy, następnie języka ukraińskiego jako wykładowego. Na krótko, po wkroczeniu 10 lutego 1919 r. wojsk polskich i powstaniu Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich szkoła przemianowana została na Polską Średnią Szkołę w Kobryniu.

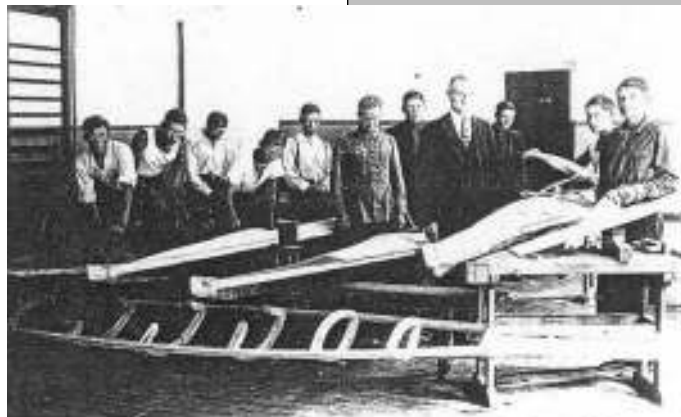
Jej pełne upaństwowienie w roku 1923 było wynikiem energicznych starań Komitetu Rodziców w Ministerstwie WRO, w Komisji Oświatowej w Sejmie oraz poparcia Ministra Spraw Zagranicznych. Komitet Rodziców zobowiązał się do przygotowania mieszkań dla nauczycieli odpowiedniego budynku szkolnego. Ze składek uczniowskich na Komitet Rodziców, przy wsparciu zapomogą przez

Wydział Sejmiku Powiatowego i Magistrat miasta Kobrynia w 1924 r. w budynku szkoły przy ulicy Brzeskiej (dziś Sowieckiej) dobudowano jedno piętro. Część środków finansowych ofiarowała również pisarka Maria Rodziewiczówna, której imieniem nazwano powstałe w tym budynku gimnazjum koedukacyjne.

Do gimnazjum uczęszczało ponad 250 uczniów, a nauka była płatna. Czesne wynosiło 220 złotych rocznie, niektórzy posiadali zniżkę 50%.



Płc. Kazimierz Miodoński w pracowni przyrodniczej, 1932



Dyrektor Michał Fajana w szkolnej pracowni szkoleniowej, Kobryń 1932

Pierwsza matura odbyła się w roku szkolnym 1925/1926.

Świadectwa dojrzałości otrzymały wówczas 23 osoby. Szczególnie uroczysty przebieg miało zakończenie roku 1926/1927. Odbyło się wówczas poświęcenie sztandaru szkolnego, a maturzyści złożyli przyrzeczenie na sztandar, „że chcą pozostać wiernymi ideałom Trauguta i Kościuszki”. W tym też roku minister nadał szkole nazwę: Gimnazjum Państwowe imienia Marii Rodziewiczówny.

We wczesnym okresie istnienia gimnazjum nauczyciele wywodzili się z miejscowej inteligencji. Uczyli tu prawnicy, inżynierowie, studenci, księża, wojskowi. Województwo poleskie nie miało wyższej uczelni, dlatego Ministerstwo kierowało na Polesie swoich stypendystów z Poznania, Krakowa, Warszawy - regionów, w których nie było raczej możliwości zatrudnienia. Absolwenci uczelni po trzech latach praktyki pedagogicznej pod kierunkiem metodyków potwierdzali swoje kwalifikacje przed Komisją Egzaminów Państwowych na Nauczycieli Szkół Średnich.

Grono pedagogiczne dbało o rozwój różnorodnych form pracy z młodzieżą. Powstały gabinety przedmiotowe i coraz lepiej wyposażano je w pomoce naukowe. Od 1918 roku działa organizacja harcerska, w 1922 powstała biblioteka szkolna. Nauczyciele prowadzili koła zainteresowań. Pracowało koło polonistyczne, historyczne, dramatyczne, krajoznawcze, pracownia introligatorsko-stolarska, koło sportowe z sekcją abstynencką i antynikotynową. W gimnazjum był chór i orkiestra prowa-

dzona przez kapelmistrza wojskowego, która uświetniała uroczystości szkolne, kościelne i państwowe. Uroczystości obchodzono wówczas rocznice powstań: listopadowego i styczniowego, wkroczenia wojsk polskich do Kobrynia, święto państwowe 11 Listopada, Konstytucji 3 Maja, Komisji Edukacji Narodowej.

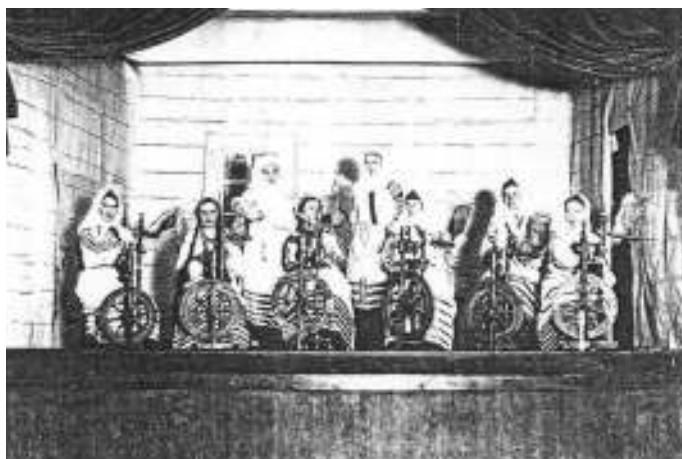
Na wycieczkach krajoznawczych i krajoznawczo-historycznych uczniowie poznawali najbliższą okolicę: Białowieżę, Siechnowice, miejsce urodzenia Tadeusza Kościuszki, Hruszowę, miejsce zamieszkania Marii Rodziewiczówny, Brześć, Pińsk, a także Warszawę, Kraków, Częstochowę, Wieliczkę i Tatry. Odbywały się corocznie pikniki w Polatyczach pod Kobryniem. Intensywnie uprawiano w tej szkole sport – w lecie: lekkoatletykę, piłkę nożną, pływanie i wioslarstwo, w zimie: narciarstwo i łyżwiarstwo. Była sala gimnastyczna – „gabinet gier ruchowych”. W Hufcu szkolnym (istniał od 1926 roku), pod kierunkiem oficerów z kobryńskiego garnizonu uczniowie przechodzili teoretyczne i praktyczne przeszkolenie wojskowe.

W gimnazjum pracowali świetni nauczyciele z dyrektorem Michałem Fąfara. Byli to m.in.:

Kazimierz Miedziński – biologia
Miedzińska – historia
Zygmunt Kubisa – język łaciński
Serafinowicz – język łaciński
Wojcieszuk – język francuski
Jasińska – język polski
Ostrowska – język polski
Rudolf von Haszke – język niemiecki
Krejwisówna – geografia



Matematyk prof. Marj Zwińgołowski z klasą na pikniku w Polatyczach, wiosna 1934



Przeglądki w poleskich strojach na szkolnej scenie, marzec 1935

Balbina Swityczówna – rysunki, robótki ręczne dla dziewcząt

Konopka – gimnastyka chłopców

Wojtalikówna – gimnastyka dziewcząt

Józef Zwinogrodzki – matematyka

Szczęsny – matematyka

Biochor – matematyka

Aleksander Szwarcewicz – matematyka

Rubinkowska – chemia.

Działalność gimnazjum na zawsze przerwała wojna 17 września 1939 roku, gdy do Kobrynia wkroczyła Armia Radziecka.

Wiele osób ukończyło gimnazjum w Kobryniu, później ukończyło studia, zostali lekarzami, inżynierami, prawnikami, profesorami, generałami, dziennikarzami. Byli wśród nich:

Władysław Jagiełło – generał wojsk lotniczych, zasłużony żołnierz WP

Stanisław Jagiełło – inżynier

Maria Rutkowska, (córką profesora gimnazjum Kazimierza Miedzińskiego) – dziennikarka

Władysław Bielowicz – dziennikarz

Helena Arciszewska ukończyła Politechnikę Warszawską

Michał Biesowski – kapitan

Roman Błocki – jeden z pierwszych w Polsce zajmował się dubbingowaniem filmów

Zbigniew Kabata – literat, poeta, biolog, badacz-odkrywca

Mieczysław Kitajczuk – pułkownik

Albert Kułakowski – podpułkownik

Kazimierz Lassota – autor wynalazku – aparatu do badania składu chemicznego odlewów w hutnictwie

Leon Lassota - profesor

Janusz Mańczak (Domisiewicz) – pułkownik

Halina Naumowicz – była pracowniczką Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu

Ludmiła Naumowicz – pracownik naukowy

Stefan Pietraszkiewicz - mgr farmacji

Halina Pietura – bibliotekarka

Eugeniusz Szutkowski – pracował w spółdzielczości, obecnie jest emerytem

Kazimierz Bodosz – pułkownik WP

Halina Krajewska – nauczycielka

Henryka Rak-Stępień – tłumaczka angielskiej literatury marynistycznej

Ryszard Zarzycki – w 1937 r. rozpoczął studia UW i Szkole Dziennikarskiej w Warszawie. 4 sierpnia 1944 roku zginął w Powstaniu na Mokotowie w stopniu ppor. Batalionu „Parasol”.

Wielu absolwentów i byłych uczniów gimnazjum w Kobryniu zginęło podczas II wojny światowej, inni rozproszeni po całym świecie powoli odchodzą od nas.

W budynku gimnazjum mieści się obecnie Szkoła Średnia Nr 1.

Helena Kaczan

Kobryń



Tablica ku czci żołnierzy „Wachlarza”



11 maja 2010 roku na ścianie kościoła pw Podwyższenia Krzyża Świętego w Janowie Poleskim odbyło się odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci żołnierzy „Wachlarza”, organizacji ZWZ - AK, którzy prowadząc w latach 1941 – 43 walkę przeciw Niemcom z baz dywersyjnych w Rydze, Mińsku, Daugavpilsie, Wilnie, Grodnie, Lidzie, Równem, Pińsku, Brześciu, Lwowie, Kijowie, Charkowie, oddali życie za Ojczyznę. Tabli-

ca upamiętnia także ludność polską, która zamieszkując te ziemie, wierna Bogu i Macierzy, była zapleczem oddziałów bojowych „Wachlarza” aż do ofiary ich życia.

Tablicę w 50-tą rocznicę działalności „Wachlarza” z prośbą o modlitwę ufundowali rodacy z Polski. Podobne tablice odsłonięte w Kongresie Polonii Amerykańskiej, w Stanach Zjednoczonych, w Muzeum generała Sikorskiego w Londynie, w Daugavpilsie na Łotwie. Tablica została odsłonięta dzięki wsparciu Konsulatu Generalnego RP w Brześciu.

Uroczystą Mszę Świętą za żołnierzy AK celebrował ks. Tadeusz Steczkowski, proboszcz miejscowej parafii. Obecni byli Konsul Generalny w Brześciu Jarosław Książek, Konsul Stanisław Żarczyński, przedstawiciele Okręgu Warszawskiego Światowego Związku Armii Krajowej na czele z członkiem zarządu Marcinem Krzysztofikiem, delegacja „Bractwa Kurkowego” z Białej Podlaskiej na czele z Lechem Orlińskim oraz delegacja Związku Polaków na Białorusi obwodu brzeskiego.

Hanna Paniszewa



Tablica ku czci Tadeusza Rejtana w Lachowiczach

15 kwietnia 2010 roku w bocznej nawie kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Lachowiczach została odsłonięta i poświęcona tablica upamiętniająca Tadeusza Rejtana, posła nowogródzkiego na sejm 1773 roku. Zostało to możliwe dzięki staraniom prezesa Polskiej Macierzy Szkolnej w Brześciu „Polesie” Marii Sulimy i pomocy Fundacji Pamięci Narodu Polskiego z Warszawy oraz Konsulatu Generalnego RP w Brześciu. Uroczystości odbyły się w dniach Żałoby Narodowej po zaginionych w katastrofie pod Smoleńskiem, więc w czasie Mszy św. wierni modlili się za duszę Tadeusza Rejtana i za dusze zaginionych. Na uroczystość przybyli Konsul Generalny RP w Brześciu dr Jarosław Książek, konsul dla spraw Polonii Aneta Sondaj, wiceprzewodniczący Lachowickiego Rejonowego Komitetu Wykonawczego Włodzimierz Kruk, delegacja PMS z Grodna i Brześcia, delegacja Polskiej Społecznej Szkoły im. Tadeusza Rejtana z Baranowicz, delegacja ZPB z Brześcia. Mszę świętą celebrował ks. Stanisław Małeński, a wspomagał jego alumn Władysław Mudry.

Tablica będzie służyła utrwaleniu pamięci o symbolu tragicznych rozbiorowych dziejów Polski z końca XVIII w., ale również bezkompromisowej postawy prawdziwego obywatela, jakim był poseł T. Rejtan.

Rozpacz bez siły

Tadeusz Rejtan (albo **Reytan**) (1742-1780). W roku 1773 – poseł ziemi nowogródzkiej na polski sejm. Sprzeciwiał się zawiązaniu na sejmie konfederacji pod przewodnictwem księcia Adama Ponińskiego, umożliwiającej zatwierdzenie traktatu rozbiorowego.

5 sierpnia 1772 roku trzy sąsiadujące z Polską państwa Austria, Prusy i Rosja podpisały traktat rozbiorowy rozdzielający na kawałki Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Chcąc zalegalizować w oczach

innych państw europejskich, tak zwane „zmiany terytorialne”, postanowiono zwołać sejm Rzeczypospolitej. Tadeusz Rejtan był przedstawicielem na sejm z powiatu nowogródzkiego, miał wtedy zaledwie 31 lat. Posiadał instrukcje sejmikowe, które wyraźnie nakazywały sprzeciwiać się decyzji podziału Rzeczypospolitej Polskiej. Można było w tym wypadku wykorzystać *liberum veto*. Okazało się jednak, że zaborcy oraz ich poplecznicy wśród szlachty i magnaterii zawiązali konfederację generalną, której marszałkiem został skorumpowany do cna Adam Poniński. Wszystko po to by nie obowiązywało *liberum veto*, bowiem zgodnie z prawem na sejmach skonfederowanych decyzje zapadały większością głosów. Oprócz tego większość posłów została przekupiona, co z góry stawiało na wygranej pozycji zaborców i wspomagających ich polskich zdrajców. Gdy 21 kwietnia 1773 roku na Zamku królewskim w Warszawie na polecenie marszałka sejmu Ponińskiego posłowie skierowali się ku wyjściu – legalizując tym I rozbiór Polski, Rejtan zagroził drogę wychodzącym i zawołał: **„Nie odchodźcie na miłość Boga i ojczyzny!”** Wszystko na próżno, wtedy to położył się w drzwiach i krzychał **„Depczcie tę krew, którą ja za was gotów wylać, depczcie te piersi, które się zastawiają za cześć i swobody wasze!”**



Niestety żadne apele i prośby nie pomogły – posłowie opuścili salę sejmową. Tylko dwóch posłów pozostało z Rejtanem, byli to Samuel Korsak i poseł ziemi mińskiej Stanisław Bohuszewicz. W końcu Tadeusz Rejtan został sam podejmując na znak protestu głodówkę opuszczając salę dopiero 24 kwietnia.

Po sejmie Tadeusz Rejtan zachorował, wycofał się z życia publicznego, osiadając w rodzinnej wsi Hruszówce, gdzie dnia 8 września 1780 zmarł śmiercią samobójczą w następstwie lękowego połknięcia przez niego potłuczonego szkła, pod wpływem chorobliwego przywidzenia, że idą po niego rosyjscy żołdacy...

Upamiętnienie osoby Rejtana

Legenda trzydniowego bohatera uwieczniona została w obrazie Jana Matejki „Rejtan - upadek Polski”. Czyn Rejtana był opiewany także przez Adama Mickiewicza w „Panu Tadeuszu” i przez Jacka Kaczmarskiego w piosence, „Rejtan, czyli raport ambasadora”.

W pełni udokumentowanych historycznie faktów, jak wiadomo, z życia bohatera

narodowego zachowało się niewiele. Pochowano go w ogrodzie w Hruszówce, a nie w kościele w Lachowiczach, ponieważ był uznany za samobójcę. W roku 1928 prawnuk Rejtana, Henryk Grabowski, wystawił w Hruszówce kaplicę i umieścił w niej odnalezione kilka lat wcześniej domniemane szczątki sławnego przodka. Ale w nadchodzących latach kaplica podzieliła los wielu pamiątek na tamtych terenach. We wrześniu 1939 roku była rozgrabiona i podpalona, a jej fundator został zamordowany przez skomunizowanych miejscowych chłopów. Losy Rejtana i jego rodziny przypominają losy wielu postaci i rodzin najbliższej okolicy...

Pamiątek po Rejtanie do dziś pozostało niewiele. W Lachowiczach usypano kopiec na jego cześć i wystawiono pomnik w pobliżu dworu w Hruszówce. W czasie powstania styczniowego w obawie przed zniszczeniem pomnik ukryto i kilkanaście lat przeleżał w skrzyniach. W 110. rocznicę śmierci bohatera, w 1890 roku, pomnik przekazano magistratowi Krakowa, gdzie ze względu na duże swobody narodowe mógł stanowić oficjalną pamiątkę z dziejów upadku Polski. Stał tam na skwerku przy ulicy Basztowej przez ponad 50 lat. Tak dotrwał aż do czasów okupacji hitlerowskiej i przetrwał zawieruchę wojenną, ale będąc zaniedbanym i nie konserwowanym, niszczał, a w roku 1946 zwałił się na skutek gwałtowanej burzy. Szczątki pomnika usunięto i pamiątka po „symbolu narodowym” przepadła bezpowrotnie.

Pamięć po trzydniowym bohaterze na Białorusi zachowała się w nazwie stacji kolejowej w rejonie lachowickim: Rejtanowo. Imię Tadeusza Rejtana nosi Polska Społeczna Szkoła w Baranowiczach.

Kaplica w Hruszówce w tym momencie jest ruiną. Jednak miejscowa władza ostatnio wystartowała z bardzo ambitnym projektem odnowienia kaplicy. Tylko koszt samego projektu wynosi około 60 mln białoruskich rubli. Realizacja tego projektu stanie się nowym krokiem (po odsłonięciu tablicy w kościele w Lachowiczach) miejscowego społeczeństwa na drodze ocalenia swojej zniszczonej historii i tradycji.

Hanna Paniszewa
Brześć

Uczniowie ze Społecznej Szkoły Polskiej im. T. Rejtana w Baranowiczach



Dni Polonii w Sokółce

W dniach 1-2 maja br. odbył się kolejny wyjazd Stowarzyszenia Twórców Ludowych do Sokółki (woj. podlaskie), zorganizowany przez Przedsiębiorstwo EKO projekt z okazji Dnia Polonii. W przedsięwzięciu tym wzięło udział 35 osób, wśród nich twórcy ludowi z obwodu brzeskiego oraz zespół młodzieżowy z Brześcia „Tacy młodzi”, pod kierownictwem Sabiny Karpowicz. Podczas wystawy-jarmarku mieszkańcy powiatu sokólskiego oraz województwa podlaskiego mieli wyjątkową okazję zapoznania się z twórczością polonijną i nabycia unikatowych wyrobów twórczości ludowej.

Stowarzyszenie Twórców Ludowych pod kierownictwem Stanisławy Karpol, działające przy ZPB oddziału brzeskiego, istnieje od pięciu lat. Obecnie Stowarzyszenie liczy ponad 50 osób. Działalność obejmuje różnorodne dziedziny twórczości: od tworzenia dekoracji zewnętrznych i wewnętrznych do kreacji strojów teatralnych i ludowych oraz dekoracji do spektakli. Celem działalności Stowarzyszenia jest pielęgnowanie dawnych tradycji twórczości ludowej oraz rozwój sztuki współczesnej w oparciu o tradycje przodków. Podczas wyjazdów członkowie Stowarzyszenia organizują pokazy i warsztaty.



Twórcy ludowi z obwodu brzeskiego serdecznie dziękują organizatorom Dnia Polonii w Sokółce za zaproszenie, ciepłe przyjęcie oraz opiekę podczas pobytu.

Stanisława Karpol
Brześć



STUDIUM W WROCŁAWIU!

Wybór kierunku, wybór uczelni, wybór miasta studiów. Te rzeczy mogą zmienić nasze życie. Na początku miałem też wątpliwości co do miasta swoich studiów. Ale tylko na początku, bo wszystkie wątpliwości znikły od razu po tym, jak po raz pierwszy przyjechałem do Wrocławia.

To był maj roku 2008. Jak do dziś pamiętam, siedziałem na lekcji chemii. Dostałem SMS od kolegi z informacją o prezentacji projektu „Teraz Wrocław” w naszej Polskiej Szkole Społecznej. Szczerze mówiąc, na początku mnie to słabo zainteresowało, ale stwierdziłem, że pójdę. Wtedy nie mogłem sobie nawet przedstawić, na ile ta prezentacja zmieni moje życie. Prezentacja Wrocławia i wrocławskich uczelni zaciekała mnóstwo uczniów i studentów. Mnie osobiście zainteresowało to, że na każdej z promowanych uczelni jest kilka bezpłatnych miejsc, na które dostaną się, oczywiście, najlepsi kandydaci. A konkurencja wcale nie jest mała: projekt jest dla młodzieży ze wszystkich państw byłego ZSRR. Dalej nie byłem pewny, że to jest to, czego szukałem. Pomogła mi dokonać prawidłowego wyboru Polska Szkoła Społeczna im. Ignacego Domeyko przy Związku Polaków na Białorusi w Brześciu, szczególnie Pani Anna Paniszewa, która od razu powiedziała, że Wrocław jest najlepszym miastem dla studiowania w Polsce. I miała rację!

„The Meeting Place”. Takie hasło ma Wrocław. I to jest prawda. Miasto spotkań. Miasto ze swoim niepowtarzalnym klimatem i niepowtarzalną historią. Każdy, kto zwiedza Wrocław zakochuje się w nim. Bo inaczej być nie może. To, co przeżywasz będąc po raz pierwszy we Wrocławiu, nie da się opisać słowami. Chcesz tu zostać. Czas stoi w miejscu i Ty zapominasz o szarości, i codzienności, czujesz chęć, i smak życia. Może nie każdy to czuje, ale jeżeli ktoś odczuje, to może być pewny, że jeszcze tu wróci. Tak było i ze mną.

Po raz pierwszy przyjechałem do Wrocławia na początku czerwca 2008 roku, kiedy przywiozłem komplet dokumentów, niezbędnych do rekrutacji. Wtedy tak bardzo zachciało mi się studiować w tym mieście, że tego po prostu nie da się opisać słowami. Zrezygnowałem nawet ze składania dokumentów w innych miastach. Ryzykowałem, ale wiedziałem, czego chcę, wierzyłem, że dostanę się i tak się stało. Oczywiście było to wynikiem ciężkiej pracy. Wtedy chyba po raz pierwszy poczułem aż na tyle, że uczenie się naprawdę się opłaca! Bez tego nie byłbym teraz tu, nie byłbym tym, kim jestem, nie miałbym perspektyw.



Na „Teraz Wrocław” w 2008 roku dostało się 3 osoby z PSS. I już na kursie językowo-adaptacyjnym pokazaliśmy, że jesteśmy z naprawdę dobrej szkoły. Wyniki naszych testów cały czas były wśród najlepszych. Ja nawet usłyszałem, że mogę nie chodzić na zajęcia, bo i tak to wszystko znam. To było bardzo przyjemne i pokazało, jak dobrze pracowaliśmy w PSS z lektorką Panią Heleną Parszyną, a także Panią Danutą Winiarek i Panem Piotrem Boroniem. Do tej pory jestem bardzo wdzięczny tym osobom za wszystko co zrobiły i co robią dalej.

Dobry poziom nauczania w szkole pomógł mi dobrze zacząć studia. Nie mieliśmy „zerówki” i nikt z wykładowców nie zwracał uwagi na to, że jesteśmy obcokrajowcami. Jeżeli przyjechałeś studiować – rób to. I tyle. To jest dobre doświadczenie. Nikt nic nie robi za was, wszystko musicie robić sami. Trzeba pamiętać, że przyjechaliście studiować, to jest waszą pracą. Imprezy – ok, ale to nie powinno jednak zastępować nauki. Imprezy to dobry odpoczynek, i tu chodzi nie tylko o kluby, puby czy imprezy w akademikach, ale i o imprezy kulturalne, których we Wrocławiu jest naprawdę dużo. Każdy znajdzie coś dobrego dla siebie. Wrocław daje nowe możliwości rozwoju, możesz w pełni się realizować jako osoba.

Projekt „Teraz Wrocław” skierowany jest na promocję uczelni wrocławskich w Europie Środkowo – Wschodniej, w szczególności na Ukrainie, w Mołdawii i na Białorusi. Akcja ma na celu przyciągnięcie na wrocławskie uczelnie studentów, a do firm wrocławskich potencjalnych pracowników ze wschodu Europy. Przed podjęciem studiów młodzi ludzie biorą udział w specjalnie dla nich przygotowanym kursie adaptacyjno językowym, podczas którego nie tylko uczą się języka polskiego, doskonalą swoje umiejętności w praktyce, ale także poznają polską kulturę – szczególnie zaś Wrocław i jego mieszkańców.

A. Borodin

Brześć - Wrocław

NIE PIERWSZA TO RANA

Każdy naród miewa swoje ciężkie chwile. Od 10 kwietnia 2010 roku przeżywa je także Naród polski. W katastrofie samolotu pod Smoleńskiem zginął nie tylko Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński wraz z małżonką, ale także wiele osób z naczelnego dowództwa w Wojsku Polskim, a także wiele osób z kierowniczych stanowisk w instytucjach państwowych i społecznych, zginęło wielu duchownych, a także znaczna grupa parlamentarzystów o różnych orientacjach politycznych – razem 96 osób. Był to kwiat przywódczy Państwa Polskiego. Pogrzeb pary prezydenckiej w Krakowie w dniu 18 kwietnia rozpoczął długi korowód pogrzebów odbywających się z dnia na dzień. Słuchając dokonań, jakie mają za sobą polegli w katastrofie Polacy, ujrzelśmy w jasnym świetle jak cennych ludzi utraciła Polska.

Nie pierwszy to raz spada na nas wielka klęska i nie pierwszy raz tracimy tylu wartościowych ludzi. Od czasu rozbiórów Polski, których inicjatorem i głównym sprawcą była carska Rosja, rozpoczyna się męczeńska droga Narodu polskiego. Gdy po II rozbiorze, dla ratowania niepodległości wybuchło powstanie pod wodzą T. Kościuszki, to wojska rosyjskie pod wodzą Suworowa, tłumiąc to powstanie, ukarały nas dokonując rzezi na bezbronnej ludności cywilnej w Warszawie-Pradze. Wymordowano wówczas 22 tysiące ludzi.

Nie mogąc znieść niewoli, po 36 latach Polacy podjęli nowe powstanie, powstanie listopadowe, które też skończyło się klęską, a jego uczestnicy, kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi, w obawie przed represjami, wyemigrowali z ziemi ojczyściej do Zachodniej Europy. Do ziemi ojców już nigdy nie wrócili. Represje na terenach zaboru rosyjskiego objęły między innymi Kościoł katolicki.

Najbardziej krwawo Rosja carska rozprawiła się z uczestnikami powstania styczniowego. Zginęło w nim ponad 30 tysięcy młodych, aktywnych ludzi. Ginęli nie tylko w boju, ale także od kuli lub na szubienicy po poddaniu się do niewoli. Na jednym z miejsc straceń w Lublinie, ul. Langiewicza, stoi kamień i wyryte na nim nazwiska 36 powstańców wziętych do niewoli i zamordowanych przez Rosjan. Srodcie zostali ukarani za pragnienie posiadania wolnej ojczyzny tu, na własnej polskiej ziemi.

Drugą karą za chęć życia w wolnej Polsce była konfiskata majątków i zsyłka na Sybir do ciężkiej

pracy z kajdanami na nogach. Po powstaniu styczniowym spotkało to 150 tysięcy osób, mężczyzn, ale także kobiet. Na zesłanie został skazany także ks. arcybiskup warszawski Zygmunt Szczęsny Feliński, dziś ogłoszony świętym, skazany tylko za to, że w liście do cara Rosji prosił o mniejsze represje wobec osób wspierających powstanie.

Następny akt rosyjskiej, ale także tym razem i niemieckiej zbrodni, to zbrodnia na inteligencji polskiej w latach 1939-45. Dwaj dawni zaborcy, Niemcy i Rosja, umówili się i dokonali nowego rozbioru Polski w 1939 r. Obaj zaborcy, każdy na swój sposób, postanowili najpierw wymordować inteligencję polską, a w przyszłości zatrzeć ślady polskości w środkowej Europie. Choć Polska w 1939 r. nie była w stanie wojny z sowiecką Rosją, Rosjanie wyłapali wszystkich, w mundurach i cywilnych ubraniach, którzy mogli stanowić rezerwę kadry oficerskiej Wojska Polskiego, a więc nauczycieli, inżynierów, profesorów uczelni, lekarzy urzędników, policjantów i oczywiście zawodowych oficerów. Na nich wszystkich, ponad 25 tysięcy ludzi, wydano wyrok śmierci. Właśnie dla uczczenia ich pamięci, w 70 rocznicę śmierci, wybrała się do Katynia grupa przedstawicieli Narodu Polskiego wraz z Prezydentem Polski i krewnymi ofiar Katynia. Zginęli wszyscy w potwornej, niespotykanej ostatnio na świecie katastrofie.

Tak jak z poprzednich klęsk, tak i z tej klęski musimy wyjść obronną ręką. Dopóki organizm jest zdrowy, zbliznią się z czasem nawet najcięższe rany. Wprawdzie rana boli, zwłaszcza gdy zadana jest we wrażliwe miejsce, ale boleć musi.

O sile ducha naszego społeczeństwa świadczy konsolidacja w obliczu tragedii, świadczą odruchy społecznej solidarności i głęboki żal po stracie wartościowych ludzi.

Umocnieni wiarą w Boga i zjednoczeni dzięki tej wierze, trwajmy w prawdzie, trwajmy w tym co dobre i szlachetne, bo to jest zasadniczym spoiwem wiążącym naród w całość i urabiającym humanitarną postawę wobec innych narodów.

Niech Chrystus będzie Królem i Panem naszych dusz i serc, naszego myślenia, naszej woli i solidarnego działania. Bo wtedy i tylko wtedy z naszych klęsk narodowych, i z naszego cierpienia sam Bóg wyprowadzi nieprzewidywalne przez nas olbrzymie dobro.

Zbigniew Drela

25 kwietnia 2010 r.

Wielce Szanowna Pani Jaroszewicz!

Z radością otrzymałem dwa numery czasopisma „Echa Polesia”. Serdecznie dziękuję.

Wśród innych materiałów przeczytałem artykuł o „Bibliotekach w województwie Poleskim przed 17 września 1939 roku”. Zainteresowałem się bibliotekami na terenie dzisiejszego rejonu Kamienieckiego. Z tego wyszło, że moje materiały pozwoliły odnaleźć większą ilość bibliotek na tych terenach. Przesyłam Wam jeden egzemplarz, a drugi przestałem panu Jerzy Perdenii.

21.12.2009 r.

Z szacunkiem **Georgij Musiewicz**

Biblioteki w gminach, znajdujących się na terenie dzisiejszego rejonu Kamienieckiego przed 17 września 1939 r.

Lp.	Miejscowość	Nazwa biblioteki i adres	Właściciel	Rok założenia	Stan zbiorów	Losy księgozbiorów w czasie II wojny światowej; informacje dodatkowe
1.	Ogorodniki Pol.	Księgozbiór domowy	Elżbieta Leżogóbska, uczennica	1930	42	brak danych (bd)
2.	Dmitrowicze	Księgozbiór domowy	Julia Bielówna, kierow. szkoły	1930	59	bd
3.	Szyszowa	Księgozbiór domowy	Zofia Matuszewicz, kierow. szkoły	1930	60	bd
4.	Podbiela	Księgozbiór domowy	Zofia Popławska, kierow. szkoły	1930	45	bd
5.	Radość	Księgozbiór domowy	Leon Czubała, kierow. szkoły	1931	32	bd
6.	Szczerbowo	Księgozbiór domowy	Michał Wróblewski, kierow. szkoły	1930	57	bd
7.	Jamienka	Księgozbiór domowy	Michał Paluch, nauczyciel	1932	34	bd
8.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Apolinary Noworecki, nauczyciel	1930	78	bd
9.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Tadeusz Mazur	1931	72	bd
10.	Wołczyn	Księgozbiór domowy	Mieczysław Gromulski, kier. szkoły	1930		bd
11.	Stawy	Księgozbiór domowy	Zygmunt Michalski, kierow. szkoły	1926	58	bd
12.	Kalenkowicze	Księgozbiór domowy	Barbara Cyemicka, kierow. szkoły	1932	36	bd
13.	Wysokie Litewskie	Księgozbiór domowy	Stanisław Szuchniewicz, kier. szkoły	1930	65	bd
14.	Wysokie Litewskie	Księgozbiór domowy	Bazyli Kluka, nauczyciel	1930	90	bd
15.	Dołbizno	Księgozbiór domowy	Janina Stop, nauczycielka	1933	28	bd
16.	Wierchowicze	Księgozbiór domowy	Jan Kaczmarzski, kierow. szkoły	1932	37	bd
17.	Wierchowicze	Księgozbiór domowy	Józefa Rybołowicz, nauczycielka	1930	34	bd
18.	Krugiel	Księgozbiór domowy	Teodora Popkowska, kierow. szkoły	1933	44	bd
19.	Krugiel	Księgozbiór domowy	Stanisława Stczelecka, nauczycielka	1931	49	bd
20.	Tokary	Księgozbiór domowy	Hipolit Możejko, kierow. szkoły	1931	51	bd
21.	Podbiela	Księgozbiór domowy	Józef Popławski, ziemianin, muzyk	1925	110	Utracony w 1939 r. wskutek grabieży
22.	Chodosy Górne	Księgozbiór domowy	Michał Andriejew, carski urzędnik	1921	600	bd
23.	Chodosy Dolne	Księgozbiór domowy	Stanisław Mańkowski, ziemianin	1920	700	bd
24.	Griszycze	Księgozbiór domowy	Aleksander Buchowiecki, ziemianin	1922	450	bd
25.	Klepacze	Księgozbiór domowy	Jerzy Szmurło, ziemianin	1925	470	bd
26.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Ignacy Wierobiej, ksiądz	1927	Bogaty zbiór materiałów kraj-obraz.	Wywieziony do Hajnówki w 1946 r.
27.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Boruch Lebowicz, gaon, mędrzec	1926	450	Wywieziony do Wilna w 1939 r.
28.	Wołczyn	Księgozbiór domowy	Antoni Ciszewicz, ksiądz	1927	550	Wywieziony do Polski wieś Gnojno w 1945
29.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Włodzimierz Fiłosow, prawosławny ksiądz, poeta	1919	800	Zostały u wnuczki Niki
30.	Wysokie Litewskie	Księgozbiór domowy	Jakub Potocki, ziemianin	1922	950	Utracony w 1939 r. wskutek grabieży

31.	Gremcza	Księgozbiór domowy	Józef-Edward Cuzyna, ziemianin, poeta	1922	800	bd
32.	Wysokie Litewskie	Księgozbiór domowy	Sergiusz Diukow, prawosł. ksiądz, kandydat nauk prawnych	1924	780	bd
33.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Jan Perdenia, nauczyciel, doktor historii	bd	bd	bd
34.	Tokary	Księgozbiór domowy	Jan Antiporowicz, prawosł. ksiądz	1928	250	bd
35.	Dmitrowicze	Księgozbiór domowy	Maria Jelinecka, (Lewicka) żona prawosł. księdza	1901	5000	Spalony przez Węgrów w 1944 r.
36.	Kamieniec Litewski	Księgozbiór domowy	Konstanty Niedielko, emeryt, maszynista pociągu JWys. Imperat., nagrodz. Odznaką Honor. Legionu	1937	980	bd
37.	Wołczyn	Archiwum Klewański	Biblioteka Czartoryskich, bibliotekarz Szymon Ljuillier	I poł. XVIII w.	Kilka tysięcy	Utracony w 1939 r. wskutek grabieży
38.	Stawy	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1929	100	bd
39.	Griemiacza	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1930	80	bd
40.	Kriugel	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1929	64	bd
41.	Peliszcze	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1932	72	bd
42.	Kamieniec Litewski	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1924	700	bd
43.	Wysokie Litewskie	Żydowska Biblioteka 5 Ogólnokształcącej szkoły ul. Pocztowa, 24		1926	555	Utracony w 1942 r. wskutek grabieży
44.	Kamieniec Litewski	Biblioteka „Jesziwy Tałmud Knesset Bejt Ichak” ul. Brzeska, 21		1926	630	Utracony w 1939 r. wskutek grabieży
45.	Wysokie Litewskie	Biblioteka Wielkiej Nowej Synagogi, obok rzeki		1923	290	bd
46.	Łuskały	Biblioteka Towarzystwa „Proswita” Ukraiński kierownik Grygorij Omeljaniuk, nauczyciel		1928	70	bd
47.	Bordewka	Biblioteka Towarzystwa „Proswita”		1928	90	bd
48.	Wołkowycze	Biblioteka Towarzystwa „Proswita”		1928	58	bd
49.	Kamieniec Litewski	Żydowska Biblioteka dla Dzieci		1923	720	Utracony w 1942 r. wskutek grabieży
50.	Kamieniec Litewski	Biblioteka im. Szołoma Alejhema, ul. Kobryńska, 19 (ul. Czałowa)		1923	1248	Utracony w 1942 r. wskutek grabieży
51.	Kamieniec Litewski	Magistracka, Dom Ludowy kierownik Leona Juchnowicz		1923	800	Utracony w 1939 r. wskutek grabieży
52.	Wysokie Litewskie	Magistracka		1924	800	bd
53.	Uhlany	Biblioteka Towarzystwa „Proswita”		1926 (1927)	33 (60)	bd
54.	Wysokie Litewskie	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1938	1250	bd
55.	Kamieniec Litewski	Biblioteka im. L. Pierieca, ul. Polna (Dolina) 7 (ul. Proletarska)		1927	520 (1014)	Utracony w 1942 r. wskutek grabieży
56.	Baranki	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1934	62	bd
57.	Leszna	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1930	138	bd
58.	Uglany	Księgozbiór domowy	Kazimierz Ancuta, urzędnik	1939	100	Spalony przez Niemców w 1944 r.

59.	Kamieniec Litewski	Biblioteka Szkoły Żydowskiej „Mariah” Towarzystwa „Tarbut” ul. Kobryńska, 5 (ul. Czałowa)		1899	1300	Utracony w 1942 r. wskutek grabieży
60.	Wysokie Litewskie	Biblioteka im. B. Borochowa ul. Switicka, 7		1927	344	bd
61.	Wysokie Litewskie	Biblioteka Towarzystwa „Tarbut” ul. Pocztowa, 102 (ul. Kirowa)		1926	984	bd
62.	Wysokie Litewskie	Biblioteka im. Nomberga ul. Pocztowa, 53 (ul. Kirowa)		1923	630	bd
63.	Wysokie Litewskie	Księgozbiór domowy	Jan Studziński, urzędnik	1939	100	bd
64.	Jamienka	Biblioteka Szkoły Powszechnej		1932	103	bd

Biblioteki w województwie Poleskim

L.p.	Rejon	Biblioteki polskie	Biblioteki rosyjskie	Biblioteki żydowskie	Biblioteki ukraińskie	Biblioteki białoruskie
1.	Brześć	-	-	1	-	-
2.	Rej. Brzeski	15	1	-	10	-
3.	Pińsk	35	-	4	-	-
4.	Rej. Piński	17	-	-	1	1
5.	Berezowski	3	-	1	-	2
6.	Kamieniecki	43	6	11	4	-
7.	Żabinkowski	3	-	1	7	-
8.	Małorycki	4	2	1	1	-
9.	Iwacewiczewski	6	-	-	-	5
10.	Kobryński	9	-	1	5	-
11.	Drohiczyński	12	-	3	-	-
12.	Janowski	5	-	2	-	-
13.	Prużański	12	-	2	-	-
14.	Stoliński	-	-	5	-	-
15.	Łuniniecki	-	-	2	-	-
Suma		164	9	34	28	8

Razem 243

Kiedy przeczytałem w czasopiśmie „Echa Poliesia” artykuł „Biblioteki w województwie Brzeskim przed 17 września 1939 roku”, doszedłem do wniosku, jak i Jerzy Perdenia, że nie wszystkie biblioteki są zestawione w gminach na terenach dzisiejszego rejonu Kamienieckiego. Zacząłem szukać w swoich notatkach. Rzecz w tym, że mój ojciec Stefan Musiewicz od 1920 roku pracował jako sekretarz gminy w Ratajczycach, potem jako pomocnik sekretarza gmin w Kamieńcu Litewskim, Wielkim Lesie, Dmitrowiczach. Skorzystałem więc z jego notatek, notatek mego wujka i Jeronima Jelineckiego, świadectwami z różnych źródeł. Wszystko, co jest do pozycji 53 – mój dodatek.

W grudniu 2007 roku uczestniczyłem w jubileuszach 100-lecia Bibliotek Publicznych na Bielszczyźnie (Podlaska), gdzie wystąpiłem z wykładem w Bielsku Podlaskim i Dubiczach Cerkiewnych – „Schroniska Wiedzy” - „O bibliotekach na Kamieniecczyźnie”. W ten sposób mój dodatek będzie dopełnieniem do nazwanej pracy „Schroniska Wiedzy”, która znajduje się w Kamienieckiej Rejonowej Bibliotece im. Wsiewołoda Ignatowskiego.

Jednocześnie muszę zauważyć, że moje uzupełnienia nie mogą być wyczerpującymi, tak jak nie posiadam wszystkich świadectw o cerkiewnych, kościelnych, synagogałnych, szkolnych i prywatnych bibliotekach.

Georgij Musiewicz

11.12.2009 r. m. Kamieniec

Biblioteki polskie w województwie poleskim przed i po 17 września 1939 roku,

cz. 2

Agnieszka Grędzik-Radziak

Biblioteki w Brześciu n. Bugiem przed 17 września 1939 r.

Lp.	Miejscowość	Nazwa biblioteki i adres	Właściciel	Rok założenia	Stan zbiorów; data roczna informacji	Losy księgozbioru w czasie II wojny światowej; informacje dodatkowe
1.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Gimnazjum Żeńskiego Polskiej Macierzy Szkolnej, ul. Krzywa	Polska Macierz Szkolna	1926	1064, (1927)	Biblioteka nauczycielska-245, uczniowska-702, „Sodalicii Mariańskiej”- 85. Nadto: mapy, obrazy.
2.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka im. W. Medema, ul. Listowskiego 55	Stowarzyszenie „Kultur- Liga”	1927	364, (1929)	bd
3.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Koedukacyjnej Szkoły Handlowej	Poleskie Towarzystwo Oświaty Zawodowej w Brześciu n. Bugiem	bd	880, (1935)	Biblioteka uczniowska- 650 tomów, nauczycielska- 230 tomów
4.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Miejska, Miejska Biblioteka Powszechna, ul. Długa 32a	bd	1923	10000, (1936)	bd
5.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Objazdowa, Biblioteka Kolejowa Oddziału Brzeskiego Polskich Kolei Państwowych	Polskie Koleje Państwowe. Dyrekcja Wileńska	1923	5069, (1929)	bd
6.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Ogniska Kolejowego, ul. Sadowa	bd	1921	6260, (1929)	bd
7.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Państwowego Gimnazjum im. R. Traugutta, ul. Mickiewicza 28	bd	bd	6384, (1930)	Biblioteka nauczycielska i uczniowska
8.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Państwowego Monopolu Spirytusowego, ul. Dąbrowskiego 1/3/5	bd	bd	936, (1929)	bd
10.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Poleskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych	bd	bd	205, (1936)	Biblioteka instruktorska
11.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Policyjnego Klubu Sportowego, ul. Zygmuntowska 47	bd	1928	964, (1929)	bd
12.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Robotnicza Związków Zawodowych, ul. Kościuszki 5	bd	1922	2870, (1929)	bd
13.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka „Rodziny Wojskowej”	Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa”	bd	bd	M. in. 3 biblioteki dla dzieci.
14.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczyńności, ul. Dąbrowskiego 15	bd	1924	2273, (1929)	bd
15.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Stowarzyszenia Oświaty Robotniczej, ul. Długa 16	bd	1929	497, (1929)	bd
16.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych RP	bd	bd	1576, (1933)	bd
17.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Szkoły Rzemieślniczo- Przemysłowej	Poleskie Towarzystwo Oświaty Zawodowej w Brześciu n. Bugiem	bd	365, (1935)	bd

18.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Szpitala Kolejowego, ul. Mieszczańska 76	bd	bd	250 , (1936)	bd
19.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Szpitala Miejskiego św. Józefa, ul. Jagiellońska 80	bd	bd	480 , (1936)	bd
20.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Średniej Szkoły Technicznej im. marszałka J. Piłsudskiego	Poleskie Towarzystwo Oświaty Zawodowej w Brześciu n. Bugiem	bd	3236 , (1935)	bd
21.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa Kursów Wieczornych dla Robotników [1], ul. Kowelska 25	bd	1928	105 , (1929)	bd
22.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa Kursów Wieczornych dla Robotników [2], ul. Sienkiewicza 38	bd	1920	2200 , (1929)	bd
23.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa Popierania Szkolnictwa Żydowskiego i Kultury Żydowskiej	bd	bd	10000 , (1936)	Organizacja założona w 1926 r.
24.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa „Proswita”, ul. Bracki Zaulek 2	bd	1923	1020 , (1929)	bd
25.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa Wiedzy Wojskowej	bd	bd	3255 , (1938)	3255 tomów w dziale beletrystycznym. Ponadto był dział naukowy.
26.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Więzienna, Szkoła więzienna	Więzienie	bd	423 , (1929)	bd
27.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Wojskowa Dowództwa Okręgu Korpusu Nr IX	bd	1924	6000 , (1931)	M. in. kartografia.
28.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich	bd	bd	500 , (1938)	Biblioteki ruchome.
29.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka ZNP, ul. Sadowa 7a	Związek Nauczycielstwa Polskiego	1923	1158 , (1929)	bd
30.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Zrzeszenia Patronatów Młodzieży, ul. Sadowa 27	bd	1926	716 , (1929)	bd
31.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Związku Urzędników Kolejowych RP	bd	bd	bd	bd
32.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Związku Zawodowego Pracowników Kolejowych RP	bd	bd	831 , (1936)	Jedna biblioteka własna i biblioteka ruchoma.
33.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Żołnierska, Dom Żołnierza	Polski Biały Krzyż	1925	1011 , (1929)	bd
34.	Brześć n. Bugiem	Biblioteka Żydowskiego Towarzystwa „Tel-Chaj”	Żydowskie Stowarzyszenie Oświaty „Tel-Chaj”	bd	bd	bd
35.	Brześć n. Bugiem	Okręgowa Biblioteka Nauczycielska	Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego	bd	4000 , (1929)	Inne nazwy: „Biblioteka Nauczycielska Okr[ęgu] Szkol[nego] Poleskiego” [pieczęć w BPD], „Centralna Biblioteka Pedagogiczna Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego”.
36.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Antoni Czupryński, urzędnik	bd	75 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
37.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Zygmunt Daab, urzędnik	bd	75 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
38.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, Szpital Okręgowy Nr 9 (Twierdza)	Faustyn Derecki, wojskowy	bd	65 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.

39.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. Białostocka 46	Aleksander Dyżewski, inżynier	bd	300 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
40.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Witold Erhardt, wojskowy	bd	350 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
41.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Giedroyc	bd	120 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
42.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Józef Hryncyszyn, wojskowy	bd	160 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
43.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Kazimierz Hubert, rzemieślnik	bd	250 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w lipcu 1944 r.
44.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Julia Jarmolukowa, nauczycielka	bd	250 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w 1939 r.
45.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Jerzy Jurkowski, lekarz	bd	700 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
46.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Medard Juskiewicz, wojskowy	bd	200 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
47.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Maria Kindowa	bd	50 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
48.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Marian Kordzik, wojskowy	bd	62 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
49.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Anatol Korycki, urzędnik	bd	250 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
50.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Konstanty Krupowicz, urzędnik	bd	250 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
51.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Kazimierz J. Krzymuski, leśniczy	bd	50 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
52.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Edward Kubik, urzędnik	bd	60 , (1939)	Utracony wskutek bombardowania.
53.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Sergiusz Kudriawcow-Nolle, prawnik	bd	200 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
54.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Jan Luba, przemysłowiec	bd	158 , (1939)	Zniszczony w 1939 i 1944 r.
55.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Lucjan Łabentowicz, architekt	bd	400 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w 1939 r.
56.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Maria Łapicka	bd	200 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
57.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Maria Materko	bd	500 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
58.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Jan Misztkiewicz, wojskowy	bd	151 , (1939)	Zagrabiony przez Niemców w 1939 r.
59.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. S. Batorego 3	Roman Młyński, urzędnik	bd	1863 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
60.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Leokadia Nowakowska	bd	300 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
61.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Albin Ołdytowski, urzędnik	bd	120 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
62.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Wawrzyniec Pilichowski, urzędnik	bd	100 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w lipcu 1944 r.
63.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Kazimierz Płoński, lekarz	bd	512 , (1939)	Utracony w 1939 r.
64.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. Zygmuntowska 3	Mieczysław Pokorski, kolejarz	bd	150 , (1939)	Utracony w 1943 r.
65.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Adam Popowski	bd	100 , (1939)	Utracony wskutek działań wojennych w lipcu 1944 r.
66.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Julian J. Romanowski, nauczyciel	bd	1294 , (1939)	1230 tomy utracone w czasie II wojny światowej.
67.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Olgierd A. Romanowski, technik	bd	60 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.

68.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Władysława Rosińska	bd	600 , (1939)	Rozgrabiony we wrześniu 1944 r.
69.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Aleksander Rudziński, architekt	bd	850 , (1939)	M. in. 500 muzykaliów. Utracony wskutek bombardowania w 1944 r.
70.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Wojciech Sassyn, rzemieślnik	bd	150 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
71.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. Przemysłowa 6 m. 2	Jadwiga Skarżyńska, handlowiec	bd	320 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
72.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Joanna Sobkowska	bd	60 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
73.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. 11 Listopada 23 m. 2	Eugenia Sosnowska, nauczycielka	bd	500 , (1939)	Utracony w 1939 i 1940 r. wskutek bombardowania i wysiedlenia.
74.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, Pl. Wolności 15	Antoni Stankiewicz, urzędnik	bd	100 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
75.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Mieczysław Szadkowski, wojskowy	bd	80 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
76.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Kazimierz Szaniawski, urzędnik	bd	50 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
77.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Anna Szejnkowska, przemysłowiec	bd	150 , (1939)	Utracony wskutek bombardowania w 1939 r.
78.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Lucjan Świtaj, wojskowy	bd	140 , (1939)	Utracony w działaniach wojennych we wrześniu 1939 r.
79.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Janina Tarło- Nazińska	bd	100 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w lipcu 1944 r.
80.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. Unii Lubelskiej	Stanisława Tomczakowa, nauczycielka	bd	300 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia właścicielki przez Niemców [poprawnie winno być przez sowietów-AGR] 12 lipca 1944 r.
81.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Stanisław Trzeciak, urzędnik	bd	250 , (1939)	Utracony wskutek spalenia domu przez Niemców 14 września 1939 r.
82.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy, ul. Pierackiego 34	Konrad Ulikowski, handlowiec	bd	150 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w lipcu 1944 r.
83.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Józef Użel, wojskowy	bd	130 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
84.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Mikołaj Walentowski, inżynier	bd	217 , (1939)	Utracony wskutek wysiedlenia w lipcu 1944 r.
85.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Stanisław Wasowicz, wojskowy	bd	500 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
86.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Maria Wilochowa, handlowiec	bd	200 , (1939)	Utracony we wrześniu 1939 r.
87.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Stanisława J. Wołyńcewicz	bd	80 , (1939)	Utracony w 1939 r.
88.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Henryk Ziarkowski, urzędnik	bd	50 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
89.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Kazimierz Zieliński	bd	200 , (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.
90.	Brześć n. Bugiem	Księgozbiór domowy	Józef i Bronisława Zwierzowie, lekarze	bd	650 , (1939)	Utracony wskutek grabieży w 1939 r.

Źródło: *Biblioteki na Wschodnich Ziemiach II Rzeczypospolitej. Informator*, pod red. B. Bieńkowskiej, oprac. U. Paszkiewicz, H. Łaskarzewska, J. Szymański, S. Waligórski, Poznań 1998, s. 110-119.

Biblioteki w Kobryniu przed 17 września 1939 r.

Lp.	Miejscowość	Nazwa biblioteki i adres	Właściciel	Rok założenia	Stan zbiorów; data roczna informacji	Losy księgozbioru w czasie II wojny światowej; informacje dodatkowe
1.	Kobryń	Księgozbiór domowy, ul. 3 Maja	Kazimierz Bocewicz, urzędnik	bd	150, (1939)	Utracony w 1940 i 1944 r. (w Warszawie).
2.	Kobryń	Księgozbiór domowy	Jan Czeretowicz, artysta	bd	500, (1939)	Nuty utracone podczas bombardowania w 1941 r.
3.	Kobryń	Księgozbiór domowy	Maksymilian Eichler	bd	50, (1939)	Książki i znaczki pocztowe, utracone w czasie II wojny światowej.
4.	Kobryń	Księgozbiór domowy	Wacława Leszczak	bd	117, (1939)	Utracony w 1939 r. i 1944 r. (w Warszawie).
5.	Kobryń	Księgozbiór domowy	Tadeusz Schollenberger	bd	200, (1939)	Utracony w czasie II wojny światowej.
6.	Kobryń	Księgozbiór domowy	Stanisław Sienicki	bd	50, (1939)	Utracony w czasie II wojny światowej.

Źródło: *Biblioteki na Wschodnich Ziemiach II Rzeczypospolitej. Informator*, pod red. B. Bieńskowskiej, oprac. U. Paszkiewicz, H. Łaskarzewska, J. Szymański, S. Waligórski, Poznań 1998, s. 250.

Biblioteki w Łuniniec przed 17 września 1939 r.

Lp.	Miejscowość	Nazwa biblioteki i adres	Właściciel	Rok założenia	Stan zbiorów; data roczna informacji	Losy księgozbioru w czasie II wojny światowej; informacje dodatkowe
1.	Łuniniec	Biblioteka im. J. Ch. Brenera, ul. Niepodległości 49 a	Stowarzyszenie „Tarbut”	1921	1050, (1929)	bd
2.	Łuniniec	Biblioteka Jerzego Riabkowa, ul. Poniatowskiego 4	bd	1924	756, (1929)	Wypożyczalnia płatna.
3.	Łuniniec	Biblioteka Polskiej Macierzy Szkolnej [1], Szkoła Powszechna Żeńska	Polska Macierz Szkolna	1923	130, (1929)	bd
4.	Łuniniec	Biblioteka Polskiej Macierzy Szkolnej [2], ul. 29 Listopada 9	Polska Macierz Szkolna	1929	1869, (1938)	W 1938 r. była jedna biblioteka stała i dziewięć wędrownych.
5.	Łuniniec	Biblioteka Policyjnego Klubu Sportowego, ul. 3 Maja 1	bd	1922	1160, (1929)	bd
6.	Łuniniec	Biblioteka Polskiego Białego Krzyża	bd	bd	bd	bd
7.	Łuniniec	Biblioteka Polskiego Towarzystwa Opieki nad Kresami, Szkoła Powszechna Żeńska	bd	1925	94, (1929)	bd
8.	Łuniniec	Biblioteka Powszechna	Szkoła Powszechna Męska w Łuniniec	1922	370, (1929)	bd
9.	Łuniniec	Biblioteka Stowarzyszenia Kolejarzy „Ognisko”, Dom Kolejowy 56	bd	1921	906, (1929)	bd
10.	Łuniniec	Biblioteka Stowarzyszenia „Rodzina Policyjna”	bd	1929	260, (1929)	bd
11.	Łuniniec	Biblioteka Stowarzyszenia Urzędników Skarbowych RP	bd	bd	bd	bd
12.	Łuniniec	Biblioteka Szkoły Powszechnej	bd	1922	160, (1929)	bd
13.	Łuniniec	Biblioteka Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich	bd	bd	400, (1936)	Biblioteka ruchoma.
14.	Łuniniec	Biblioteka Związku Zawodowego Pracowników Kolejowych RP	bd	bd	311, (1936)	Biblioteka ruchoma.
15.	Łuniniec	Księgozbiór domowy	Jerzy Trombik	bd	60, (1939)	Utracony podczas II wojny światowej.

Źródło: *Biblioteki na Wschodnich Ziemiach II Rzeczypospolitej. Informator*, pod red. B. Bieńskowskiej, oprac. U. Paszkiewicz, H. Łaskarzewska, J. Szymański, S. Waligórski, Poznań 1998, s. 392-393.

Agnieszka Grędzik-Radziak
Kraków

Wspomnienia wojenne mojego dziadka

Mój dziadek, a ojciec mojego taty Mirosław Łazowski ma bardzo bogatą i interesującą historię swojego życia. Urodził się 4 lutego 1921 roku. Mieszkał w Pińsku i tam chodził do średniej szkoły. Wiosną 1939 r. była dla niego pełna wrażeń, nadziei i oczekiwań. Tak więc w maju czekała go matura. Duże wrażenie zrobiło na moim dziadku wypadki polityczne, agresywne stanowisko Niemiec hitlerowskich i przewidywane zagrożenie dla Polski. Po maturze, jesienią czekał mojego dziadka pobór do wojska, gdyż na komisji poborowej został przydzielony do Szkoły Podchorążych Rezerwy Broni Pancernej w Modlinie. Dnia 1 lipca dziadek otrzymał obowiązkowe stawienie się w ramach Junackich Hufców Pracy w Węgierskiej Górze. Został przewieziony do Jeleśni, gdzie na 3 zmiany budował fortyfikacje- początki linii obronnej. Wkrótce forty te w stanie surowym zostały zajęte przez Niemców. W sierpniu dziadek pojechał z rodzicami na ostatnie wspólne wakacje, do ich majątku ziemskiego „Rudawka”. Po powrocie miał dużo wolnego czasu spędzał go z przyjaciółmi w rodzinnym Pińsku.

1 września 1939 r. o godz. 7:00 dziadek włączył radio i usłyszał, że wojska niemieckie przekroczyły granice Polski, a samoloty bombardują nasze miasta. Dziadek 5 września został powołany do Pomocniczej służby Wojskowej i wraz z kolegami chronił lotnisko polowe pod Pińskiem. Dostał do obrony stare karabiny z I wojny światowej z długimi wąskimi bagnetami.

12 września wrócił do Pińska i został powołany do ochrony pieniędzy i dokumentów Banków Rolnych. 18 września do Pińska wkroczyły wojska sowieckie. Byli entuzjastycznie witani przez żydowską część społeczeństwa. Oddziały wojska robiły fatalne wrażenie- karabiny na Sznurkach, płaszcze nie obrębione z frędzlami, a na plecach przywiązane worki. Dziadek wraz z kolegami jeszcze w klasie maturalnej wstąpił do nielegalnej Organizacji Młodzieży Narodowej. W jej ramach na początku listopada pojechał do Lwowa gdzie z połączenia z innymi organizacjami powstały grupy oporu, które podjęły przygotowania do akcji zbrojnej wiosną 1940 r. Jednak w połowie listopada plany zmieniły się i dostał zadanie przekazać zaszyfrowaną wiadomość dla polskich władz w Budapeszcie. W czasie drogi w miejscowości Kołomyi dziadek wraz z kolegą został aresztowany przez NKWD. Byli przesłuchiwanii przez 14 godzin. Jednak mieli alibi w postaci fałszy-

wych zaświadczeń z PCK, jako mieszkańcy Warszawy poszukujący rodzin, które na tych terenach po ucieczce miały się tu znajdować. Nad ranem, po uwolnieniu, dziadek wraz z kolegą ruszyli dalej w drogę. Po drodze spotkali dwóch dawnych kolegów, którzy ostrzegli, żeby dalej nie iść, bo są częste aresztowania Polaków. Tak więc razem zdecydowali, że nie mają szans na przekroczenie granicy i wracają do Lwowa a stamtąd do Pińska. Był to już początek grudnia.

Parę dni po Nowym Roku 1940 dziadek wyruszył z kuzynem do Wilna. Jednak na jednym z przystanków kolejowych za Lidą, konduktor ostrzegł ludzi, że na następnym przystanku jest łapanka więc większość ludzi wyskoczyła z pociągu. Dziadek również i z kuzynem szli dalej przez las. Jedną noc spędzili w stogu siana a drugą w budce dróżnika kolejowego. Po trzech dniach dotarli do granicy litewskiej. Parę kilometrów za granicą zobaczyli pojedyncze zabudowania. Jak się okazało mieszkał tam Polak, osadnik wojskowy. Zostali serdecznie przez niego przyjęci i nakarmieni. Dziadek czasem wspomina jak bardzo smakowała mu babka gryczana z roztopioną słoniną. Następnego dnia bez trudu dostali się do Wilna, gdzie duże wrażenie na dziadku zrobiły bogato zaopatrzone sklepy spożywcze. Po paru dniach wyjechali razem do majątku rodziny kuzyna, gdzie przez jakiś czas pracowali w gospodarstwie. Latem dziadek zgłosił się do budowy drogi strategicznej z Wilna w kierunku granicy niemieckiej, gdzie wozili piach na nasypy. Budowa trwała do późnej jesieni. W okresie zimy 1940/41 dziadek podjął się pracy wywózki drewna z lasu wynajętym koniem z saniami. Na wiosnę 1941 dziadek wraz z kuzynem założył dwu-hektarową plantację ziół leczniczych. Później z pożyczonym aparatem fotograficznym za zarobione pieniądze dziadek wynajął lokal w Rudziczkach na zakład fotograficzny i robił zdjęcia do dowodów osobistych. Jednak po dwóch miesiącach, gdy Litwini zażądali podatku od działalności, szybko „zwinęli interes” i jeszcze przez jakiś czas robili zdjęcia okolicznościowe jeżdżąc po wioskach. W następnym etapie dziadek wraz z kuzynem pojechał do Kowna, aby wyrobić sobie paszport do Anglii, który bez problemu otrzymał. Sądził, że po załatwieniu dodatkowych formalności będzie mógł przez Szwecję wyjechać do Anglii. Zamiast tego w czerwcu 1941 roku NKWD aresztowało dziadka podczas rewizji jego mieszkania. Samochodem

przewieźli go na stację kolejową w Rudziczkach, gdzie stały zakratowane wagony kolejowe. W tym wagonie, w którym zamknięto dziadka było około 40 osób, w tym połowa Litwinów. Dziadek dostał na drogę od kuzyna torbę z cukrem, bochen chleba i srebrny zegarek „Omega”. Tak rozpoczęła się podróż na Syberię zamiast do Anglii. W czasie drogi można było otrzymywać wrzątek i chleb z cukrem, co pozwalało zrobić coś w rodzaju zupy. Ruszyli poprzez Wilno do Nowowilejki, gdzie nastąpiła segregacja i połączenie transportów. Do wagonów wchodził oficerowie NKWD z listami więźniów i wybierali młodych i silnych mężczyzn. Gdy dziadek zorientował się o co chodzi, położył się na podłodze wagonu, przykrył się piernatem, na którym siedła młoda Litwinka karmiąca dziecko. Powiększony do kilkudziesięciu wagonów transport ruszył w dalszą drogę. Po około tygodniu drogi transport minął miasto Złotoust na Uralu, gdzie był słup z napisem Azja, a z drugiej strony Europa. Dziadek dalej jechał trasą transsyberyjską przez Omsk, Tomsk a na stacji Tatarskaja transport skierowano na południe do Ałtajskiego Kraju. W sumie podróż trwała około trzech tygodni i ze stacji ciężarówkami zostali przewiezieni w step w Ałtajskim Kraju w rejonie Barnaula blisko granicy z Mongolią. Grupa dziadka, około 40 osób przydzielono do zakładu produkującego dachówki i cegły, położonego w „gołym” stepie z dala od siedzib ludzkich. Natychmiast zostali ostrzeżeni przez miejscowe NKWD, żeby nie próbować ucieczki, gdyż najbliżej jest Mongolia, do której i tak nikt nie dotrze. Kobiety zostały ulokowane w lepiankach, a mężczyźni w oborze z wołami śpiąc na piecach do wypalania cegieł lub w łaźni na podłodze. Wszystkich ogarnęło wielkie przygnębienie i brak wiary w możliwość wydostania się z tego miejsca. Pracować musieli wszyscy, a wyżywienie zależało od rodzaju pracy i wyrobienia normy. Wyżywienie składało się z zupy i kaszy na obiad oraz czarnego i gliniastego chleba. Przy braku normy otrzymywało się 400 gram tego chleba, za lekką pracę dawali 600 gram, za ciężką 1000 gram a za wyjątkowo ciężką pracę dawali 1200 gram chleba. Dziadek był wtedy młody i silny więc podjął się tej ostatniej pracy, aby pomóc znajomej rodzinie składającej się z dwójki małych dzieci 7 i 10 lat, ich matki i babci staruszki. W tej rodzinie pracować mogła tylko matka. Ta ciężka praca dziadka polegała na tym, że koń mieszał kieratem glinę z wodą, której bryły około 20- kilogramowe dostarczane były na niski bardzo mocny stół, przy którym dziadek obejmował taką bryłę rękoma, przyciskał do brzucha, podnosił do góry i rzucał na stół. Tworzyła się

plaszczyna i po sześciu takich rzutach powstawał szescian z gliny. Dziadek dalej drutem z rękojeścią kroił tę bryłę na plastry, które zabierane były do maszyny formującej z nich dachówki. Maszyna była napędzana przez 4 kobiety. Aby dziadek mógł otrzymać największy przydział chleba musiał dziennie ubijać około 120 takich brył. Po napełnieniu pieca surowymi dachówkami do obowiązku dziadka należało też ich wypalanie miałem węglowym oraz drewnem przywożonym z gór Ałtaju, co trwało 3 dni. Funkcjonariusze NKWD w ciągu tygodnia przyjeżdżali parę razy i sprawdzali obecność choć nie było żadnej możliwości ucieczki, gdyż step był bardzo słabo zaludniony, a miejscowi ludzie byli nagradzani za wydawanie uciekinierów. Praca dziadka w cegielni trwała do października 1941 roku. W połowie września pewien Polak przywiózł wiadomość, że została zawarta umowa między Stalinem a generałem Sikorskim, na mocy której nastąpiła amnestia i że można zgłaszać się do tworzącej się Armii Polskiej. Natychmiast dziadek z kolegą zgłosili się do miejscowej placówki NKWD po zaświadczenie, że są objęci amnestią a więc i wolni. Niestety nie chcieli dać zaświadczenia bo byli zbyt dobrymi pracownikami, dopiero gdy kolega dziadka wyjął zaszytą w ubraniu złotą dziesięciodolarówkę, zaświadczenie wydali. Dzięki temu jako ludzie wolni mogli przebywać i poruszać się po prawie całym terytorium Związku Radzieckiego. W nocy we dwójkę doszli do stacji Sławgorod i pociągiem dojechali do Semipałatyńska nad rzeką Irtysz w Kazachstanie, gdzie był polski punkt werbunkowy. Stamtąd na podstawie zaświadczenia, że są ochotnikami do Wojska Polskiego dojechali do stacji Tatarskaja na trasie Transsyberyjskiej kolei między Omskiem a Nowosybirskiem. Następnie pociągiem w kierunku Czelabińska dotarli do Orenburga na południowym Uralu. Podróż była ciężka w zatłoczonych uchodźcami wagonach i trwała około tygodnia. Wyżywienie składało się głównie z sucharów i dawanych na stacjach wrzątku do puszek po konserwach. Z Orenburga do wojska było już tylko około 200km, ale dziadek został błędnie poinformowany i skierowali ich na południe linią kolejową przez Gołodnyj Step i Taszkient do Samarkandy więc przejechali niepotrzebnie 2,5 tys. km. Z braku sucharów wymieniali cieplejsze rzeczy, które mieli na sobie na chleb w czasie tej niepotrzebnej podróży. W Samarkandzie spędzili kilka dni żywiąc się dwoma kilogramami marchwi pastewnej, którą zamienili za notes oprawiony w skórę, a porządne buty dziadek zamienili na stare wojskowe sapogi i dwa talony na obiady dla ewakuowanych. Po tym przymusowym po-

bycie w Samarkandzie ruszyli pociągiem z powrotem na północ w ciężką drogę z powodu coraz niższej temperatury oraz braku odzieży i żywienia. Aby przeżyć musieli na stacjach kraść z wagonów kolejowych makuch (suszone wytloki ze słonecznika) a z punktów żywienia armii sowieckiej parokrotnie udało im się ukraść trochę chleba, a nawet i zupy. Wysiedli na stacji Tockoje skąd do obozu Polskiego Wojska było tylko kilkanaście kilometrów marszu. Brnąc przez śnieg 11 listopada 1941 roku dziadek z kolegą dotarli w końcu do celu po przejechaniu około 14 tys. kilometrów w ciągu miesiąca. Po nakarmieniu i normalnym jedzeniu stanęli następnego dnia przed komisją poborową. Mimo wycieńczenia niedowagi dziadek otrzymał kategorię A i przydział do 1 Szwadronu Pierwszego Pułku Ułanów. Zostali zakwaterowani w namiocie z tzw. kozą w środku. Ponieważ na dworze temperatura dochodziła do -58 stopni Celsjusza, to w stopy od „kozy” było ciepło, natomiast czapka na głowie przymarzała do plandeki namiotu. Zajęcia odbywały się gdy temperatura była niższa od -30 stopni Celsjusza. Wyżywienie było bardzo marne, czarny zamrożony „na kość” chleb, czerwona ryba jedzona na surowo oraz krupnik, w którym czasem trafiał się kawałek mięsa. Stare mundury po wojskach estońskich i łotewskich słabo zabezpieczały przed mrozem. W takich warunkach przetrwali do marca 1942 roku a potem zostali przeniesieni na południe ZSRR. Poprzez Orenburg, Aralsk, Czimkent i Frunze po pokonaniu ok. 2,5 tys. kilometrów dotarli pod stolicę Kazachstanu Ałma-Ata. Namioty rozbito na równinie przed potężnymi górami tzw. Dachem

Świata ponad 5 tys. m. n.p.m. Parę dni później podczas wojskowego przeglądu oficer w angielskim mundurze wybrał 20 osób wśród nich i dziadka. Kazali zabrać ekwipunek, dali prowiant na drogę i pociągiem przewieźli do Taszkientu w Uzbekistanie skąd po pokonaniu jeszcze pieszo 25 km dotarli do Jangi-Julu nad rzeką górską Kurkulduk dopływem Syr-Darli



Kwiecień 1946 r.
Grottaglio - pld. Włochy

około 1000 km od Ałma-Aty. Tutaj zaczęło się dla dziadka nowe życie. Został wcielony do szwadronu przybocznego generała Władysława Andersa. Wówczas mieścił się tam Sztab Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Otrzymali nowe angielskie umundurowanie oraz angielską broń. Wszyscy mogli odżyć, gdyż wyżywienie było bardzo dobre a klimat ła-

godny. Do obowiązków należały warty przy sztabie i parady pełnym szwadronem podczas różnych uroczystości. W drugiej połowie 1942 roku na skutek pogorszenia się stosunków polsko-sowieckich, sztab i szwadron został ewakuowany do Iraku w drugiej połowie sierpnia 1942 roku. Wcześniej dziadek został skierowany do szkoły podoficerskiej, którą ukończył w stopniu starszego ułana. Ewakuacja prowadziła kolejną z Taszkientu przez Samarkandę, Aszchabad do Krasnowodska ponad 2500 km. Dalsza droga odbywała się radzieckim statkiem towarowym w ciężkich warunkach w lukach towarowych w ciasnocie i duchocie. Po dwóch dobach takiej podróży dotarli do portu Pahlevi w Iranie. Tutaj dostali tropikalne mundury, zajęć nie było, można było kąpać się w Morzu Kaspijskim, do jedzenia dużo południowych owoców, wyżywienie fantastyczne. Zupełnie inny świat. Po około dwóch tygodniach transportem samochodowym zostali przetransportowani do Quiziel Ribat w Iraku, gdzie mieściło się dowództwo II Korpusu. Tutaj dziadek został skierowany na kurs radiooperatorów, który ukończył 11 lutego 1943 z wynikiem bardzo dobrym. Warunki zakwaterowania na pustyni były ciężkie, gdyż temperatura w dniu dochodziła do 50 stopni Celsjusza w cieniu, więc szkolenia były przerywane w godzinach od 10:00 do 16:00 lub 17:00. Należało pić codziennie ok. 10 litrów płynów. Wodę z solą dla zachowania równowagi w organizmie po intensywnym poceniu się. Trzeba było uważać też na jadowite pająki tzw. czarne wdowy i liczne skorpiony. Dokuczliwe były też burze piaskowe. 16 marca 1943 roku dziadek został skierowany do Szkoły Podchorążych Rezerwy łączności w Khauaguimie w Iraku, którą już po przeniesieniu do Palestyny w rejonie Gazy



1942 r. Persja, Morze Kaspijskie,
starszy ułan Mirosław Łazowski,
szwadron przyboczny gen. Andersa

ukończył 8 stycznia 1944 roku również z wynikiem bardzo dobrym (siódme miejsce na 100 podchorążych) i awansował na kaprała podchorążego, co było zagwarantowane dla pierwszych dziesięciu lokat. Ok. 18 stycznia 1944 roku wojsko dziadka zostało przeniesione do Ismaili w Egipcie, gdzie do końca miesiąca szykowali się do dalszej drogi na front. 1 lutego 1944 roku zostali przewiezieni do portu Port-Said, gdzie zaokrętowano ich na wielki statek do transportu wojska przerbiony z dawnego statku pasażerskiego. W konwoju jako eskorta znajdowały się dwa polskie okręty: kontrtorpedowiec „Kujawiak” i transatlantyk „Batory”. Konwój wypłynął 3 lutego, a 7 lutego dopłynęli do włoskiego portu Taranto. Wszyscy cieszyli się czując twardy grunt pod nogami, gdyż zagrożenie dla wszystkich były próby ataków samolotów niemieckich z ich bazy



Angielska książeczka wojskowa

przydzielony do obsługi erkaemu. Zadanie zostało wykonane i wszyscy wrócili szczęśliwie po trzech dniach z czterema jeńcami, których przesłali do dowództwa pułku w Aguone. Od swoich pozycji w Ailano w linii prostej było ok. 40km do Monte Cassino, gdzie od dłuższego czasu trwały ciężkie walki. W nocy słychać było huk dział i widać było błyski na horyzoncie. Na tej pozycji byli do połowy kwietnia, a następnie wycofani, gdzie poinformowano ich, że będą zdobywać Monte Cassino. 1 Maja 1944 roku dziadek ze swoim szwadronem został skierowany przez dolinę rzeki Liri na wzgórze otaczające klasztor Monte Cassino, nad którym powiewała flaga hitlerowska. Do 11 maja byli pod stałym ostrzałem broni maszynowej i artylerii, dlatego poruszać się i zmieniać swoje pozycje można było tylko w nocy. Były to klasyczne walki patrolowe i pozycyjne. Właściwy atak na klasztor zajęty przez Niemców rozpoczął się 11 maja punktualnie o godzinie 23:00. Jednocześnie wystrzeliło ponad tysiąc dział różnego kalibru dająca początek nawały ognia II Korpusu. W pierwszych dniach walk ataki były krwawo odpierane przez wyborowe oddziały niemieckie. Zadaniem polskich żołnierzy było w tym pierwszym okresie utrzymanie kontrnatarć i utrzymanie linii obronnych. Natarcia Polaków stawały się coraz bardziej skuteczne i żołnierze posuwali się coraz wyżej i bliżej siedziby Niemców. 18 maja o 9:00 rano patrol z pułku dziadka wyruszył w kierunku klasztoru i bez specjalnego trudu dotarł na miejsce, gdyż Niemcy w nocy opuścili mury klasztoru, obawiając się okrążenia i zamknięcia w klasztorze. Patrol 12. Pułku Ułanów zawiesił na murach proporzec pułkowy, a następnie sztandar biało-czerwony i flagę angielską, gdyż II Korpus Polski wchodził w skład 8. Armii Brytyjskiej. Dziadek miał za zadanie przenieść się ze swoją radiostacją do strefy



Dziadek prowadzi oddział łączności podczas jednej z defilad. Grottaglie

na Krecie. Na szczęście udaremnione przez artylerię eskorty. Po kilkudniowym zakwaterowaniu w namiotach w gaju oliwnym pod miastem, 11 lutego zostali przetransportowani do Aguone, gdzie było dowództwo 12. Pułku Ułanów, który był zmechanizowanym pułkiem rozpoznawczym, a tylko nazwą nawiązywał do starej tradycji. 1 marca 1944 r. dziadek został oddelegowany na linię frontu do miejscowości Ailano k/Beneretno nad rzeką Salugrą. Była to mała wioska na szczycie wzgórza z dostępem do tylko jednej wąskiej drogi od południowej strony. Dziadek objął stanowisko dowódcy radiostacji! Od najbliższych stanowisk niemieckich w linii prostej było ok. 8 km. 12 marca dziadek jako jeden z dwunastu ochotników wraz z dwoma partyzantami włoskimi w charakterze przewodników dostali zadanie przejścia przez dolinę rzeki Sawagro w góry na stronę niemiecką celem wzięcia tzw. języka, czyli jeńca dla uzyskania informacji. Dziadek został

bezpośrednio stykającej się z pozycjami wroga, aby zdawać relacje. Przed wyruszeniem z miejsca postoju pułku dziadek golił się w starej izbie, gdzie był ulokowany pluton łączności. Koledzy czyścili broń i przypadkowo automat wypalił, pocisk przeszedł koło dziadka ucha i zniszczył lustro przy którym się golił. Wszyscy zamilkli i potraktowali to jako zły omen. Od godz. 12:00 rozpoczęła się ewakuacja oddziału na tyły. Dzięki temu, że następnego dnia 6. Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich” zdobył leżącą u podnóża Monte Cassino miejscowość Piedimonte, droga do Rzymu była już otwarta. Parę miesięcy później dziadek znalazł się na liście do odznaczeń i za walki pod Monte Cassino otrzymał Krzyż Walecznych, a za wcześniejszą wyprawę na tyły wroga nad rzeką Sangro został odznaczony Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po krótkim wypoczynku dziadka, pułk rozpoznawczy III Dywizji Strzelców Karpackich został przesunięty nad Adriatyk w pobliżu Pescary z zadaniem przesuwania się wzdłuż wybrzeża na północ burząc po drodze umocnienia i pozycje niemieckie. W tym czasie dziadek został dowódcą radiostacji pułkowej, której zadaniem było utrzymanie łączności z dowództwem 3 Dywizji oraz z poszczególnymi szwadronami pułku w czasie akcji. Posuwając się do przodu i zdobywając po drodze mniejsze miejscowości. Pułk w połowie lipca 1944 r. dotarł do Ancory o którego wyzwolenie walki trwały przez 2 tygodnie. W połowie kwietnia pułk został przeniesiony w pobliże Bolonii i wziął udział w wyzwoleniu tego miasta. W kwietniu 1945 r. nastąpiła ostateczna kapitulacja armii niemieckiej we Włoszech. We wrześniu pułk został przeniesiony do obozu przejściowego w Neapolu, gdzie pod koniec miesiąca zostali zaokrętowani na duży statek transportowy, który przetransportował wojsko do



Monte Cassino, 50. rocznica bitwy.
Przy sztandarze 12-ego Pułku Ułanów Podolskich

portu Liverpool w Anglii. Dalej pociągiem dziadek dotarł do miejsca zakwaterowania w Barry Saint Edmonds w hrabstwie Suffolk na zachód od Londynu. Dnia 12 lipca 1947 r. z portu Edynburg w Szkocji dziadek wraz z grupą żołnierzy statkiem transportowym udał się w podróż powrotną do Polski i 14 lipca 1947 r. o godz. 10 rano wpłynął do portu gdańskiego. Tak zakończyła się długa i daleka tułaczka wojenna dziadka, którą zakończył w stopniu podchorążego rezerwy. Dopiero wtedy spotkał się z rodzicami i rodzeństwem, których nie widział od rozpoczęcia wojny, a więc prawie 8 lat. Dziadek zmarł nagle 8 lutego 2008 roku w wieku 87 lat.

Aleksander Łazowski, wnuk
Toruń 2010



1946 r. Po bitwie pod Monte Cassino, przyjął nas Papież Pius XII

POLSKIE DZIECI na tułaczym szlaku



Łucjan Z. Królikowski, *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tułaczym szlaku 1939-1950*, Wydawnictwo OO Franciszkanów „Bratni Zew”, Kraków 2008, ss. 348, mapy i fotografie

dramatyczną ucieczkę do Kanady. Książka ta poświęcona jest pamięci „tułaczycy dzieci” i wszystkich ludzi dobrej woli na świecie, którzy przyczynili się do ich uratowania.

„Doświadczenie polskich dzieci, które trafiły w latach 1940-1941 na „niehumanitarną ziemię”, to fragment naszej wspólnej historii okresu II wojny światowej i pierwszych lat powojennych. Dziś możemy te doświadczenia częściowe: ludobójstwo i wygnania, deportacje i roboty przymusowe. Które dotknęły nasze rodziny, połączyć w jeden strumień narracji polskiej. Za sprawą tej książki dołączamy do znanych nam strumyków pamięci kolejny segment – stracone dzieciństwo naszych rodaków” (dr hab. Jan Żaryń, IPN)

Zamówienia na książkę można składać:

Wydawnictwo OO Franciszkanów „Bratni Zew”,
ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków,
www.bratnizew.pl, fax 12/428-3241.

Pozostaje to tajemnicą i tragedią historii że naród [Polacy] gotów do wielkiego heroicznego wysiłku, uzdolniony, waleczny, ujmujący powtarza zastarzałe błędy w każdym prawie przejawie swoich rządów. Wspaniały w buncie i nieszczęściu, haniebnym i bezwstydnym w triumfie. Najdzielniejszy spośród dzielnych, prowadzony przez najpodlejszych wśród podłych.

Winston Churchill

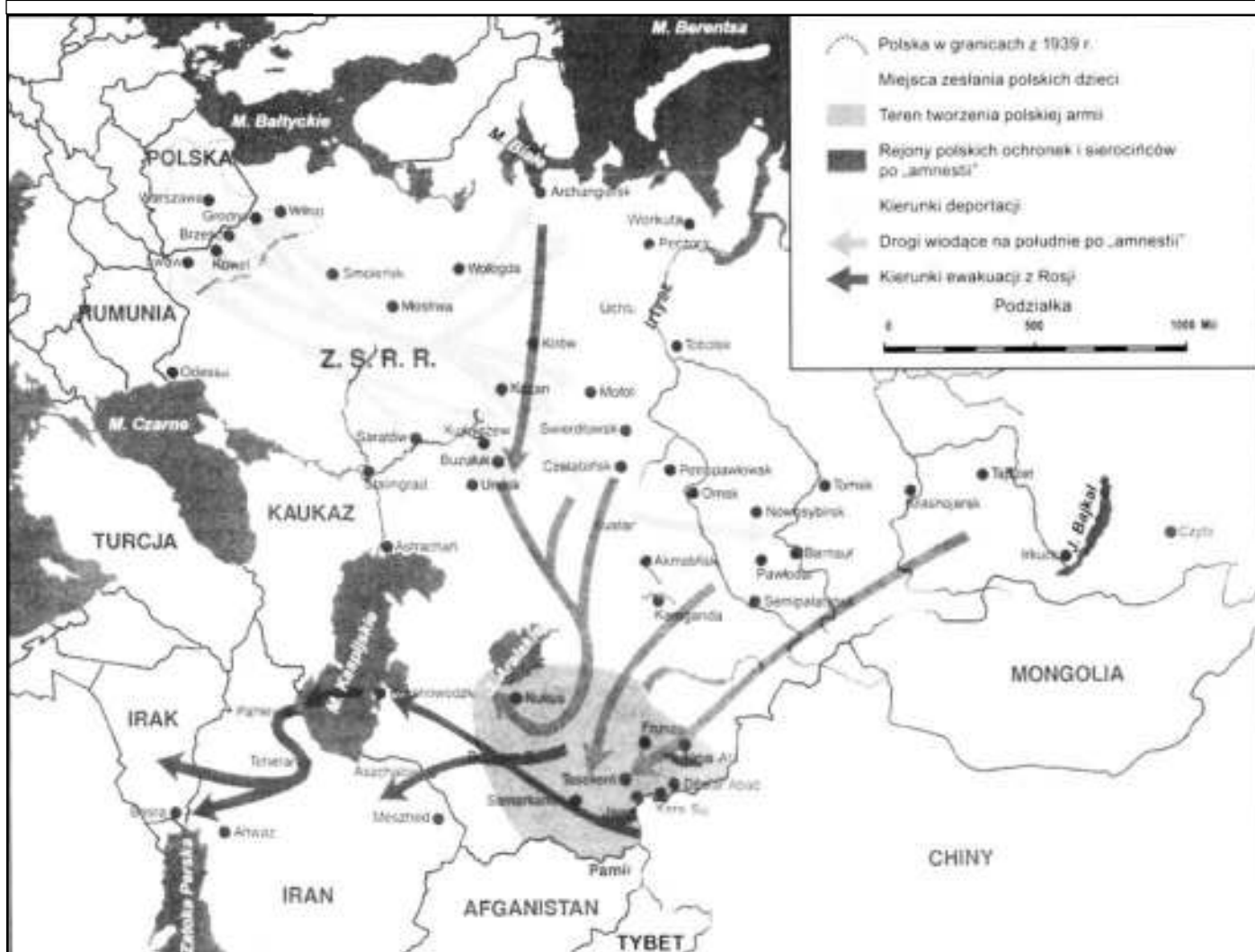
Polacy są najbardziej inteligentnym narodem ze wszystkich, z którymi spotkali się Niemcy podczas tej wojny w Europie... Polacy (!) są jedynym narodem w Europie, który łączy w sobie wysoką inteligencję z niesłychanym sprytem. Jest to najzdolniejszy naród w Europie, ponieważ żyją ciągle w niesłychanie trudnych warunkach politycznych, wyrobił w sobie wielki rozsądek życiowy, nigdzie niespotykany.

Adolf Hitler

Zostawcie to Polakom. Dla nich nie ma nic niemożliwego.

Napoleon Bonaparte

„Skradzione dzieciństwo” to książka – świadectwo niehumanitarnych czasów na „niehumanitarniej ziemi”, historia dzieci – zesłańców syberyjskich i ich dramatycznych losów i tułaczki z terenów byłego ZSRR do najodleglejszych zakątków świata w poszukiwaniu wolności i godności, spisana przez wyjątkową postać – o. Łucjana Królikowskiego, franciszkanina, który podobnie jak 380 tys. polskich dzieci dzielił zesłańczy i tułaczy los. O. Łucjan Królikowski, będąc opiekunem sierot wojennych w obozie Tangeru w Tanzanii uratował je przed repatriacją do kraju opanowanego przez komunistów i zorganizował



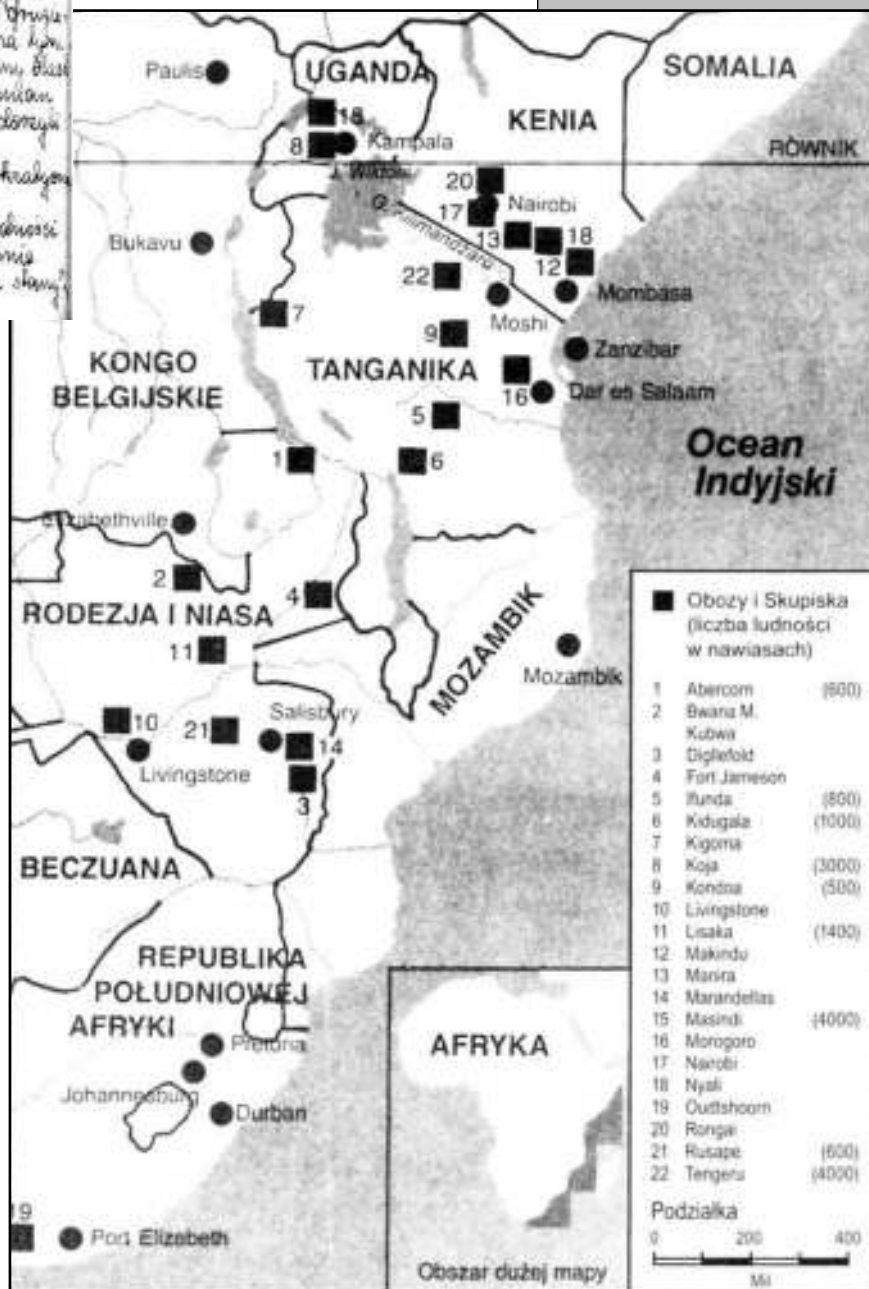
Szlaki deportowanych przez Rosjan polskich dzieci i rozmieszczenie ich na terytorium Z.S.R.R.



Ocalałe dzieci z „sowieckiego raj”. Pahlewi. Persja, 1942 r.
 Lucjan Z. Królikowski OFMConv.,
Pamiętnik Sybiraka i tułacza,
 Kraków, 2008, wklejka.



Fragment z pamiętnika Basi Bik
z d. Kociuba, ur. 28.IX.1928 r.
IPN, *Polskie dzieci na tułacznych szlakach*
1939-1950,
Warszawa 2008, str. 286.



Rozmieszczenie osiedli polskich
w Afryce 1942-1950

Umundurowani Samarytanie

Evakuacja Armii Polskiej do Uzbekistanu i Kirgizji odbywała się podczas ostrej zimy 1941/2 r. Została ona podyktowana bliskością angielskich baz zaopatrzenia, znajdujących się w Persji oraz względami zdrowotnymi. Żołnierze bowiem wiedli w stepach i lasach orenburskich niełatwy żywot pod namiotami. Dużo ich chorowało i przebywało na długoterminowej rekonwalescencji.

W drodze przez Kazachstan transporty spotykały gwałtowne śnieżyce. Lodowaty wiatr wciskał się z gwizdem do wnętrz towarowych wagonów przez szpary cienkich ścian. Żołnierze kurczyli się z zimna tuląc się do siebie. Woda w menażkach zamarzała. W czasie postojów na stacjach próbowano kraść nieco *kazionnego* węgla na opalenie wagonów. Z głodu niektórzy próbowali łapać psy, ale z wątpliwym wynikiem. Ci, którym szczęście dopisało, dzielili się psią pieczęcią tylko z najbliższymi kolegami. Szkole podchorążych skradziono w drodze wagon z prowiantem. Odczepiono go pod pozorem, że pękła oś.

Ledwie wojsko zdążyło się zakwaterować w przydzielonych rejonach, w garnizonach wybuchła epidemia tyfusu, rozszerzając się w sposób zatrważający. Każdego ranka żołnierze budząc się znajdowali między sobą trupy kolegów. Tysiące żołnierzy dotkniętych tyfusem walczyło ze śmiercią. Od lutego do lata 1942 r. przeszło przez szpitale 47 411 ludzi.

Choć Armię Polską wyniszczały zakaźne choroby, ludność cywilna, która przybyła do Turkiestanu znacznie wcześniej, była w jeszcze gorszym położeniu i płaciła większy haracz śmierci. Toteż, kiedy wiadomość o przybyciu wojska obiegła kołchozy, sowchozy i szpitale, przyjęto ją z nieopisaną radością, ulgą i nadzieją. Zaszło wtedy coś nieoczekiwanego. Matki mające chore dzieci albo same chore, zdobywały się na rozpaczliwy krok. Jak tonący chwyta się brzytwy, uczepiły się polskiego wojska jako jedyne go środka ratunku. Zdecydowały się odebrać najmłodsze dzieci swoje pod opiekę armii.

Jak sobie tę opiekę wyobrażały? Nie myślały o tym w ogóle. Pewne były tylko, że żołnierz nie opuści dziecka i że wszystko zrobi dla niego.

Cóż, kiedy samo wojsko znajdowało się w ciężkiej sytuacji aprowizacyjnej. Na ogólny stan 70–80 tysięcy ludzi, nie wliczając w to napływających ochotników, których kontyngent wynosił 1000–1500 osób dziennie, kierownictwo zaopatrzenia Czerwonej Armii nie tylko nie przydzielało pełnych racji żywnościowych polskiemu oddziałom, ale je zmniejszało do 26 tysięcy.

Głód dokuczał okropnie. A zaczęto już wtedy wyczerpujące ćwiczenia. Pamiętne są z tych czasów sceny rozdania chleba przez dyżurnego namiotu. Był to moment bodaj najważniejszy w skali budzących się zainteresowań i myśli. Sama czynność podziału nabierała obrzędowej wagi, kiedy wszyscy asystowali w milczeniu, pożerając oczyma przypadający każdemu ułamek chleba, margaryny, łyżeczkę cukru, ważone precyzyjnie, po aptekarsku przez dyżurnego, na improwizowanych szalkach, zawieszonych na cienkim szpagacie.

W głębi duszy żołnierz był rad, że nie nadchodziła ciężka broń. Forsowne ćwiczenia odebrałyby mu siły nie podtrzymywane dostateczną ilością kalorii, a konieczne do przetrwania, dopóki nie nastąpi zmiana warunków. W szermierce na bagnety posługiwano się lekkimi, z drzewa wystruganymi karabinami, a mimo to przy każdym pchnięciu czy uskoku nogi trzęsły się z osłabienia. Niemałym upokorzeniem dla każdego był horrendalny zanik pamięci z powodu awitaminozy. Zapominanie nazwisk najbliższych kolegów było na porządku dziennym. Nauka o organizacji armii, a więc o liczbie żołnierzy w różnych formacjach, rodzaju i sile ognia, składzie broni współdziałających szła jak po grudzie. Wieczorami obezwładniała ludzi kurza ślepotą. Z trudem trafiali do swych namiotów. Toteż służbę znoszono ciężko.

Napływ ludności cywilnej do rejonów wojskowych zbiegał się z napływem ochotników do armii i pogarszał już i tak ciężkie warunki aprowizacyjne. Generał Anders z trudem, po długich pertraktacjach ze Stalinem, uzyskał podniesienie liczby porcji żołnierskich do 44 tysięcy na ogólny stan dwa-kroć większy. Ludność cywilna nie była przez czynniki radzieckie brana w rachubę, choć Stalin twierdził, że ludność nie powinna zginąć z głodu.

Mimo ogólnego głodu wojsko nie zrzekło się opieki nad ludnością cywilną, zwłaszcza nad dziećmi. Władze sowieckie krzywo patrzyły na gromadzenie się polskich rodzin przy obozach wojskowych, a ich

irytacja wzrastała na widok ofiarności polskich żołnierzy, dzielących się swą szczupłą racją z kobietami i dziećmi. Zmniejszenie racji żywnościowych do minimum pozwalało przypuszczać, że rząd sowiecki chce głodem zmusić żołnierzy do zaniechania niesienia pomocy ludności cywilnej.

Zupełnie nieprzewidzianie otworzyła się dla Armii Polskiej karta dziejów, pisana złotymi zgłoskami samarytańskiej miłości.

Ruch polskich rodzin do rejonów wojskowych nie ustawał. NKWD nie potrafiło go powstrzymać. Matki zbierały resztki sił i ruszały z dziećmi w drogę ku obozom. Inne, ciężko chore, starały się dowiedzieć, gdzie są polskie ochronki, aby tam kierować dzieci pod opieką najstarszego syna lub córki. Przy pożegnaniu rozgrywały się tragiczne sceny, boleśniejsze od głodu i epidemii. Dzieci nie chciały opuszczać matek. A te wyganiały je, zaklinając na wszystko, żeby się ratowały. „Nam już zabrakło sił” – mówiły – „nie przeżyjemy! Idźcie, szukajcie polskiego wojska. Tylko tam mogą wam pomóc.” – I błogosławiły je, żegnając na zawsze.

Wynędzniałymi szkielecikami w tym ostatnim uścisku wstrząsał szloch. Dzieci czuły, że jest to rozstanie na zawsze i nie wierzyły pocieszeniom, że jeszcze się kiedyś zobaczą z rodzicami. Któż to opisz te niewysłowione żałości!

Matki dawały dzieciom na drogę to, co było wówczas najcenniejsze: lepioszkę lub woreczek zaoszczędzonych sucharów.

Napływ dzieci do ośrodków był tak liczny, a chęć ratowania ich tak wielka, ofiarna i budująca, że przy obozach zaczęły powstawać ochronki, sierocińce, przedszkola, formacje junaków i junaczek. Powstawały zupełnie samorzutnie, bez powziętego z góry planu.

Jedne dzieci przywlekały się pieszo, inne przybywały pociągami, na wpół ubrane, zawszone, wychudzone, z węzłkami w ręku. Większość nie posiadała żadnych dokumentów ani żadnego skierowania. Na widok ich nędzy i bezsilności sumienie żołnierskie mówiło: „ratować, ratować natychmiast, wyrwać te dzieci śmierci”. A trzeba było je wrywać każdej godziny.

Żołnierze ze wzruszeniem przyglądali się, jak dzieci wychodziły z wagonów. Niektóre szły o własnych siłach, inne raczej do widm niż do żywych istot podobne, pielęgniarki prowadziły pod ramiona, półniosąc. Dzieci starały się chociaż powłóczyć nogami, byle pokazać, że jeszcze nie jest z nimi tak źle. Wiele

z nich transportowano na noszach. W wyglądzie tych niewinnych, małych męczenników zatarły się nawet różnice płci. Dziewczeta o ostrzyżonych do skóry głowach z powodu epidemii tyfusu i z zapadłą klatką piersiową, trudno było odróżnić od chłopców. Chłopcy ubrani byli w strzępy ojcowskich spodni, nogi tonęły im w ogromnych buciorach bez koloru, bez sznurowadeł, często z dziurawą albo oderwaną podszewą. Dziewczeta szły w kusych, doszczętnie wyniszczonych sukienkach albo matczynych spódnicach.

Według zarządzenia każdy transport dzieci miał być natychmiast wykąpany, odwieszony, krótko ostrzyżony i poddany kwarantannie. Zarządzenie pozostało tylko na papierze, niemożliwe do wykonania z braku kwatery, mydła, a w niektórych okolicach i wody.

Dzieci rozmieszczano gdzie się dało: pod dachem namiotu, szopy, w nędznych, glinianych, uzbeckich lepiankach. Kwatery te najczęściej od razu zamieniały się w izby szpitalne, bowiem tak wiele dzieci było chorych. Wojskowe szpitale z powodu przepełnienia przyjmowały tylko najciężej chorych. Mali pacjenci leżeli na wypchanych słomą siennikach w izbach, w sieniach, a niektórzy w jakimś skąpym cieniu na piasku, bo brak było pomieszczeń. Unosiły się nad nimi roje much, roznosząc zarazę. Leżały cichutko, nie skarżąc się. Usta miały spieczone, popękane od gorączki i nie zaspokojonego pragnienia. Czepiały się ich przeróżne choroby, tyfus, malaria, pelagra, czerwotka, obrzęki – następstwa okresu głodowego i jedностajnego odżywiania *dżugarą* i prosem. Wśród kompletnie wycieńczonych organizmów czerwotka sprawiała największe spustoszenia, a połowa wypadków była śmiertelna. Pod prześcieradłami, którymi okrywano dzieci, uwydatniały się kontury piszczeli i chorobliwie wzdęte brzuszki. Głowy były usiane strupami, ciała pocięte przez insekty.

Setki tych biedactw nie dożyło lepszego jutra. Przyjechały pod opiekę wojska po to tylko, aby umrzeć wśród swoich. Konając, nie żałowały życia, które tak okrutnie się z nimi obeszło. Ciężko chore zazdrościły umierającym szybkiego końca. Dzieci, które miały przy sobie kogoś z rodziny, nie chciały jednak umierać i błagały, aby je ratowano.

Przez cały czas, dopóki Armia Polska pozostawała w Rosji, śmierć stale zbierała gęste żniwo wśród dzieci, ale w początkach postoju plon ten był po prostu przerażający. Obsługa szpitalna nie mogła podołać pracy. Często sami księża, z braku pomocy,

kopali groby i chowali zwłoki. Niekiedy grabarzami byli rówieśnicy zmarłych. Krysia Maziarz zapisała w swym pamiętniku:

„Do sierocińca w Zamitanie napływały szkielety dzieci ze wszystkich okolicznych kołchozów. Pamiętam Zosię N. z tego samego kołchozu, co i ja. Kiedy z wycieńczenia nie mogła nawet rozmawiać, przerywanym szeptem prosiła mnie o chleb i o to, abym ją zabrała do mamusi. Prośba ta była ogólnym wołaniem wszystkich dzieci. Chleb i mama. My, zdrowsi, nie mogliśmy im dać tego za żadną cenę. Niektórym już nawet i dobre odżywianie nie pomogło. Dyżenterya, tyfus i inne zakaźne choroby zbierały plon w całej pełni. Każdego dnia szereg naszych rówieśników żegnał nas na zawsze. Nie było grabarzy. Same wywoziłyśmy wynędzniałe ciała w pole, na małych taczkach, znacząc mogiły krzyżkami z patyków. Należałam do tych nieletnich grabarzy, za posługę otrzymując dwie porcje chleba i miseczkę zacierki. Zacierkę jadłam sama, a chleb zawsze chowałam za kaftanik dla brata, Fredzia. On był o rok młodszy ode mnie i ciągle płakał za domem i mamusią. Kilkakrotnie uciekał z sierocińca, a nie znał nawet kierunku w stronę kołchozu, w którym była nasza mama.

Pewnego razu, w dzień przeznaczony na wizyty w ochronce, przyjechała na osiołku nasza starsza siostra Hela i przywiozła kilka lepioszek i *uruku* (dzikich moreli). Zajadając się tymi smakołykami po odejściu siostry, zapomniałam na chwilę o Fredziu. Znikł niepostrzeżenie z pokoju gościnnego (szopy), a kiedy wybiegłam za bramę ochronki, był już daleko na polnej drodze, którą na ośle jechała siostra. Biegł do domu, do mamusi, nie zważając, że był bez spodni, które mu zdejmowano w tym celu, aby nie ważył się uciec.

Najsmutniejszym ze wszystkich wspomnień były dla mnie te właśnie pogrzeby koleżanek. Pamiętam dokładnie to pole w pustyni, zasłane krzyżkami i okropny widok czaszek ludzkich odsłoniętych przez wiatr i szakale. Nie miałyśmy łopat, aby zwłoki pochować głębiej. Nigdy po takim pogrzebie nie spałam. Noce wydawały mi się tak niezmiernie długie, a wycie szakali w walce o ciała zmarłych koleżanek mroziło krew w żyłach”.

Z braku drzewa na trumny, zwłoki chowano w białej bieliźnie składając je do wspólnego grobu. W pustynię wynoszono je na noszach lub w kocu.

Sceny śmierci szarpały nerwy, rozrywały serca, wyciskały łyzy pozostałym przy życiu.

W jednym szpitalu dogorywał Władek, chory na pelagrę, najmłodszy z kompanii i faworyt oddziału. 17-letni chłopiec, prawie dziecko jeszcze, przeszedł już więzienia i łagry za udział w walce podziemnej. Transfuzja krwi zaofiarowanej przez jakieś dziewczę okazała się bezskuteczna. Chłopiec zmarł. Według przepisów szpitalnych pielęgniarzka spisała pozostałe po zmarłym rzeczy, przechowywane w małym zawiniątku. Z podartej chustki wypadł na biurko krzyż harcerski, szary sznur i książeczka służbowa — to wszystko. Dowiedziano się, że zmarły był harcerzem, ale tajemnicą pozostało, jak poprzez wszystkie więzienia, rewizję, łagry — zdołał przemycić te drobne przedmioty, które pewno uważał za najcenniejszy swój skarb.

Najbardziej osławionym miejscem, gdzie procentowo wymarło najwięcej dzieci, była miejscowość o nazwie „Dolina Śmierci” (*Karkin Batasz*), koło Guzaru. Sama natura sprzysięgła się przeciw życiu. Już w maju rozpoczynały się nieprawdopodobne upały, temperatura sięgała w słońcu 183° Fahrenheita (83°C). Step zamieniał się w pustynię, krajobraz przysłaniały tumany gliniastego pyłu. Woda wysychała. Miejscowi Uzbegy na lato opuszczali Dolinę Śmierci, chroniąc się w pobliskie góry.

Sierociniec, szkoła junaków i junaczek zamieniały się w obóz śmierci. Zalegała w nim głucha cisza, nie przerywana ani piosenką, ani dziecięcym śmiechem. Nawet zdrowsze dzieci popadały w stan apatii, z czego usiłowano je wyrwać wprowadzając naukę. Walka była bezskuteczna. Nie pozostało nic innego, jak zmienić miejsce postoju, przenieść się w zdrowsze warunki klimatyczne. Przewieziono dzieci do Kitabu, oazy obfitującej w wielkie drzewa włoskich orzechów, winnice, strumienie o brzegach porośniętych kwieciami i bujnymi krzewami. Góry tchnęły orzeźwiającym chłodem.

Jak piękny, ale trujący kwiat, okolica kryła jednak w sobie inne niebezpieczeństwo: malarię, której ofiarą padło wiele dzieci.

Dzięki zmianie klimatu i żywności nadesłanej z Anglii, a nade wszystko dzięki troskliwej opiece kierownictwa zakładów oraz nadziei opuszczenia Rosji, dzieci, którym dane było przeżyć, stopniowo przychodziły do siebie. Ślady zagłodzenia i chorób miały jednak pozostać jeszcze na długie miesiące.

Ja, autor książki, miałem możliwość przyglądać się sierotkom z zakładu znajdującego się obok Szkoły

Podchorążych Artylerii w Kara-su, której wtedy byłem elewem. Zajęcia programowe i regulamin nie pozwalały uczniom na stykanie się z dziećmi. Widywali się najczęściej z okazji niedzielnych nabożeństw.

Pod rozłożystym drzewem stał ogromny ołtarz zbudowany przez ks. B. Zabłudowskiego. Dzieci przydreptywały na Mszę Św. parami, trzymając się za ręce. Nędznie były ubrane. Z dziurawych bucików przeglądały nagie, chude stopki. Z ostrzyżonymi głowami, wyglądającymi jak makówki na cienkich szyjach, z wyrazem lęku na bladych twarzach, stawały w bliskości ołtarza, podczas gdy baterie podchorążych świecące błyszczącymi butami i guzikami formowały się przed ołtarzem w zwartym szyku. We Mszy Św. oficjalnie uczestniczyli dwaj enkawudyści, z odkrytymi głowami, lecz z rękami w kieszeniach i z tępym wyrazem twarzy. Stawali lub siadali razem z wiernymi, niezmienni, sztywni jak manekiny. Za wojskiem mieściła się grupa polskiej ludności cywilnej, a wśród nich zdąrzali się także i miejscowi Rosjanie, którzy przestraszeni własną odwagą, kryli się trwożnie w tłumie.

W lipcu 1942 sierociniec w Kara-su przeżywał niezwykłą radość z okazji wizyty ks. biskupa polowego Gawliny, przybywającego z Anglii. Wszystkie dzieci przystąpiły wtedy do bierzmowania. Trudno się było oprzeć wzruszeniu, gdy po Mszy wymierowane szeregi dziecięce zaśpiewały powstałą na obczyźnie pieśń wygnańców, upraszających Boga o zmiłowanie dla swego kraju i możliwość powrotu do wolnej Polski: *O Boże, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń...*

Fala małych wędrowników szukających ratunku i oparcia pod opieką wojska rosła z dnia na dzień powodując konieczność tworzenia nowych sierocińców. Wciąż ich było za mało, a dzieci ciągnęły z najodleglejszych stron Rosji, obdarte, bose, zgłodniałe, lecz pełne nadziei. Bywało, że traciły odwagę dopiero, gdy znalazły się na miejscu. Tak się bały usłyszeć, że nie będzie już dla nich miejsca, że potrafiły po kilka dni koczować w pobliżu sierocińca, zanim ich ktoś tam nie wprowadził.

Co jakiś czas z głębi Rosji europejskiej lub z Dalekiego Wschodu nadchodziły rozpaczliwe listy od dzieci nie mogących się wyrwać z sowieckich *dieta-domów*. Były to najdziwniejsze w świecie listy, pisane na skrawkach kory brzoźowej, na okładkach sowieckich elementarzy, na zwitkach tapet, na portretach wodzów bolszewickich. Pisały jak umiały, wiedząc, że nikt im błędów liczyć nie będzie. Prosiły o ratunek.

Zgłaszali się spośród żołnierzy ochotnicy do pójścia małym więźniom z pomocą. W mundurze lub w ubraniu cywilnym podejmowali daleką, ryzykowną podróż, nie mogąc znieść myśli, że te błagalne wezwania mogą być pozostawione bez odpowiedzi.

Tak żołnierz polski utrwał się w sercach dzieci dozgonną pamięcią. W czasie tej opiekuńczej akcji Armii Polskiej powstała między dziećmi i żołnierzami trwała przyjaźń, oparta na zaufaniu i wdzięczności.

o. Lucjan Królikowski OFMConv

USA

Uratowane nieliczne dzieci polskie z Syberii na szlaku swej wędrówki do Afryki i dalszych miejsc zamieszkania przebywały także w Ziemi Świętej. 7 km od Jerozolimy znajduje się mała górską miejscowość Ain-Karem, w której jest kościół pw. Nawiedzenia NMP („Magnificat”) u swej ciotki Elżbiety, matki św. Jana Chrzciciela. Na frontonie tej świątyni opiekunowie dzieci polskich zesłanych na Syberię wmurowali tablicę pamiątkową, którą obok prezentujemy. W tym miejscu wyrażamy głęboki żal, że nie możemy wmurować na Polesiu podobnej tablicy ku czci dzieci polskich deportowanych z Polesia na Syberię, mimo usilnych kilkuletnich starań.

(Dop. i zdjęcie – J. Adamski)



Wojny nie kończą się nigdy

Wstęp

Według wyliczeń historyków i samych zesańców, na terenach ZSRR w 1940 i 1941 r. znalazło się ponad 1,2 mln zesańców, w tym 380 tys. dzieci.

Doświadczenia dzieci polskich, które trafiły w latach 1940-1941 na nieludzką ziemię, to najdramatyczniejszy fragment naszej historii, to nasza polska apokalipsa. Dziś możemy już mówić o ludobójstwie i wygnaniu, które dotknęły nasze rodziny, nasze dzieci. Żaden naród nie ma w swojej historii tak tragicznych stron, tak strasznych skutków, które odczuwamy do dziś, rzutujące na losy naszych Rodaków, rozsianych po całym świecie – pokolenia tułaczy...

Proponujemy naszym Drogim Czytelnikom fragmenty pamiętnika Henryki Paśnik. W 1940 roku miała 16 lat, tyle ile mają obecnie uczniowie naszej Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu.

Nauczyciele i Uczniowie, wszyscy wraz z nami, przeczytajmy historię Jej życia i życia Jej Rodziny. Będzie to bez wątpienia wielki catharsis dla naszych serc, po przeczytaniu i przemyśleniu będziemy już nieco inni, innymi oczami spójrzymy na nasz kraj, na nasze rodziny, na nas samych, na otaczający nas świat... A potem zaprosimy Panią Henrykę Paśnik do naszej Szkoły – będziemy tam mówili o rozdeptanym dzieciństwie naszych Rodaków, o prawdziwej Miłości, która wszystko zwycięża, o tym, czym jest, czym powinna być Rodzina, że każde cierpienie ma swój głęboki sens...

Zapraszamy Was i Wszystkich Drogich Czytelników do lektury.

Wgłębi duszy zawsze pragnęłam, by nie zapomniano o naszym cierpieniu. Nie szukam pocieszenia. Pragnę ofiarować moim najbliższym swoją historię, jaką mnie obdarowała Opatrzność. Życie jest cudem i warto żyć. Żyjąc, uczymy się człowieczeństwa, wytrwałości i przebaczenia. Żyjąc, pielgrzymujemy do domu Ojca.

Nigdy nie napisałam niczego oprócz listów i dziennika. Mam ukończone zaledwie siedem klas szkoły podstawowej. Dziennik pisałam w pociągu między Sybirem a Kazachstanem w roku 1941. mając niespełna 18 lat. Zachował się tylko jego fragment. To wspomnienie ofiaruję i zadaję najbliższym i wszystkim, którzy zechcą nad nim się zatrzymać, jeśli komuś ta historia w czymś pomoże, to jeszcze raz potwierdzi się prawda, że każde cierpienie ma sens.

Wojna dla mnie i wielu ludzi nie skończy się już nigdy, jej skutki są tak wielkie, że nieusuwalne. Choć przez wszystkie te lata leczyłam w sobie ból i wybaczałam, to nie mogę pozbyć się pamięci i strachu. Próbowalam zabijać wspomnienia, zamazywać twarze skutecznie. Wojna wciąż żyje we mnie.

Stacja - Dom

„Żył w ziemi Us człowiek imieniem Hiob. Był to mąż sprawiedliwy, prawy, bogobożny i unikający zła”. (Hi 1,1)

Kiedy siłą wyobraźni wracam do czasów swojego dzieciństwa, widzę dom, mamę, silnego tatę. Wiatr przeszłości niesie zapach łąki, na której bawiłam się jako mała dziewczynka. Moje pierwsze spotkania ze światem były proste i łagodne. Myślałam, że taki jest cały świat. Mój rodzinny dom o zapachu słomy i chleba, chował mnie w swoich ramionach, obdarzając poczuciem bezpieczeństwa. Z gliny dziecięcych lat delikatnie lecz zdecydowanie kształtował się obraz mojej osobowości. Nabierała formy wiara w Boga. Praca zaczynała jawić się jako siła tworzenia. Z tego klimatu rodzinnego gniazda wypływało poczucie własnej wartości. Jakże przydały się te tajemnicze światła wiedzy i wiary „tam” - w śniegach Sybiru i w piaskach Kazachstanu! Świat marzeń, w który uciekałam na zesłaniu, był jak głębokie oddechy. Marzenia „tam” przywoływałam

bez trudu, bo zamykały się do mojej przeszłości. Tęskniłam za utraconym rajem. Nie musiałam więc wysilać wyobraźni, lecz tylko wspominać przeszłość, mój dom, moje szczęście. Przez sześć lat moja wiara huśtała się między rozpaczą a nadzieją. Trzymałam się kurczowo modlitwy jak ręki Boga. Nie wypuściłam Jego dłoni, gdy przeprowadzał mnie przez piekło. Doświadczył mnie jak złoto w tyglu. Przychodził do mnie w łagodnym powiewie modlitwy, którą zostawił mi jako oręż. Dlatego nie poddałam się, nie ustałam w drodze. Wróciłam. Piekło, które dopuścił na mnie Bóg, trwało sześć koszmarnych lat.

Będąc na zesłaniu długo nie otwierałam po przebudzeniu oczu, karmiąc się siłą wyobraźni, zatrzymując przed oczami duszy dom rodzinny. Zamieniałam stęchłą stęchliznę starego koca w zapach pieczonego przez mamę chleba. Wciągałam nosem zapach tęsknoty, który potęgował mój ból. Pod kocem stworzyłam sobie inny, wolny świat. Świat marzeń. Nie wpuszczałam tam wojny, zła i głodu. Zbudowałam sobie namiot, w którym przechowywałam „Arkę Przymierza”, do której Bóg wiarą moich rodziców włożył dekalog - dziesięć prostych słów. Czasami, gdy byłam sama, płakałam w głos, ale nigdy pod kocem.

Mamę zapamiętałam śpiewającą godzinki. Ich melodia towarzyszy mi do dziś. Dom rodzinny tak naprawdę pokochałam dopiero wówczas, gdy go utraciłam. „Tam” często przypominałam sobie drogę do kościoła, przez pola jakieś 7km. Zbieraliśmy się z całej wsi i z butami w rękę, po łąkach pędziliśmy na Mszę świętą. Przed kościołem, kto miał, nakładał buty i tak odświętnie ubrani wchodziliśmy do Świątyni. Wszystko miało swój specyficzny zapach. Trudno to nazwać. Myślę, że był to zapach szczęścia. Wiosenny wiatr niesie w swoim zapachu tę tajemniczą moc, która przeradza się w nas w szczęście i chęć do życia. Po nabożeństwie piliśmy w sklepie lemoniadę. Często wracaliśmy bryczką do domu. Tata, aby wyróżnić niedzielę, zaprzęgał konie i uroczyście wioził mamę z młodszym rodzeństwem do kościoła. Jaka ja byłam dumna jadąc z rodzicami!

W takie Dni jak 3 maja czy 11 listopada szliśmy „całą szkołą” do kościoła. Na całe gardło śpiewaliśmy pieśni

patriotyczne, nie zawsze je rozumiejąc. Z naszych serc płynął jeden hymn miłości do Ojczyzny. W kościele dudniło. Już nigdy potem nie słyszałam, aby ludzie śpiewali tak mocno. Wówczas zaczynałam rozumieć, czym jest komunია myśli, pragnień, Narodu. Spożywaliśmy wolność. Bardzo dobrze pamiętam jej smak. Myślę, że gdy zbliża się niebezpieczeństwo takie, jak zagrożenie wolności, to Bóg udziela na ten trudny czas szczególnych łask. Wlewa w dusze wewnętrzną moc, przygotowuje. On zbawia nas przez Ojczyznę. Nigdy nie jest bez znaczenia, skąd pochodzimy i gdzie są nasze korzenie. Dla mnie Polska znaczy - droga do Boga. Ojczyzna jest w nas. Wszędzie ją zabieramy, a w sposób szczególny na zesłanie.

Ziemia przypomina mi zawsze o Bożej opatrności. Wiosna jest jak Zmartwychwstanie. Miłość do ziemi wsączyła się we mnie z mlekiem matki. Kocham każdą łąkę, pole, step. Ten dar pozwalał mi kochać ziemię „tam”. Przez ziemię, jak przez cudowne okulary widziałam Boga.

Na Sybirze zakopana w śniegach, śpiąca, jakby w rozpacz. Tuląca się w białe kołdry. Milcząca. Podeptana. Płacząca głosem zagubionego wiatru, ale zawsze kochająca moje stopy, dźwigająca mój ciężar. Matka.

W naszym domu istniał zwyczaj, wspólnego czytania książek. Przychodzili sąsiedzi. Tata mój dostojnym i niskim głosem czytał, a wszyscy słuchali. Wówczas to po raz pierwszy przeczytałam, a raczej wysłuchałam, takich książek jak: „Quo vadis”, „Krzyżacy”, „Chłopi”. Dobrze zapamiętałam te lektury również dlatego, że nam dzieciom, nie wolno było ich słuchać. Więc skoro nie wolno, to robiliśmy wszystko, aby nie uronić ani jednego słowa.

Zakradaliśmy się w tajemnicze miejsca naszego domu i w napięciu słuchaliśmy. Z drżącym sercem zatapiałam się w opowieści, bojąc się, że odkryją podsłuchiowniczkę. Lęk, jaki mi towarzyszył, czynił mnie odważniejszą i przenosił w czasy z czytanych opowieści. Wcielałam się w bohaterów tych książek. Czułam ich ból i radość. Przemierzałam z nimi pola bitew, zwyciężałam i ginęłam. Często śniłam to, co wcześniej wysłuchałam, kradnąc lektury nie dla mnie przeznaczone. Otaczała mnie aura tajemniczych rąk, jakby spowijało mnie światło matczynej i ojcowskiej miłości. Byłam bezpieczna, mogłam śnić, biegać po łąkach, a o zmro-

ku wracać do arki rodzinnego domu. Stanowiłam wówczas jedność z przyrodą, z wodą, z polami. Kochałam każdy kamień. Znosiłam do domu wszelkie Boże stworzenia.

Kobiety z naszej wioski nigdy nie próżnowały. Mamę widzę zawsze przy jakimś zajęciu. Gdy słuchały czytania książek, też nie siedziały z założonymi rękami. Znosiły rozmaite robótki ręczne, haftowały, darły pióra albo przędły. Mielśmy własny las. Zwoziliśmy drewno na opał. Towarzyszyła mi świadomość, że zarabiam na swoje utrzymanie, że nie jestem darmozjadem. Chyba nie spotkałam wtedy człowieka, który nim był. Nauczyłam się szacunku wobec ludzi ciężko pracujących. Nie wybierałam prac łatwiejszych, robiłam wszystko, co trzeba było zrobić. Wieczory po pracy miały klimat spełnionego obowiązku wobec Boga i bliźnich. Zmęczenie w jakiś sposób było nagrodą.

Gdy zbliżały się święta Zmartwychwstania Pańskiego, cały świat zakwitał dla mnie tysiącami barwnych świateł.

Z chat snuły się zapachy pieczonego chleba. Na płotach wietrzono wielobarwne kwiaty kap i poduch. Podwórko, do niedawna będące oazą spokoju, zamieniało się w jarmark. Sad, który był jak ogród klasztorny stworzony z ciszy, gdzie słychać głos Boga, odbijał echem nawoływania sąsiadów i na te chwile otrząsał

się z ekstazy. Cała okolica: domy, obejścia, pola i lasy wdziewały odświętne ubranie.

Pamiętam mamę nad rzeką i światło jej uśmiechu. Widzę promienie słońca mieszące się z wodą, jak połączenie tego, co materialne, z tym, co czysto duchowe, nieuchwytnie, ulotne. Widzę jej ręce zanurzone w tym tajemniczym świetle załamane światła, trzymające biel ciągniętych przez prąd rzeki prześcieradeł tańczących z wodą jak zwiewny szal na wietrze.

W naszej kolonii ludzie z pomocą państwa wybudowali piękną szkołę. Była piętrowa i kryta czerwoną dachówką. Miała siedem klas. To było duże osiągnięcie. Takich szkół było niewiele. Wszyscy byli dumni. Mielśmy własną bibliotekę. Była miejscem spotkań i zabaw. Do naszej szkoły chodziły dzieci z kilku wsi. Nie tylko dzieci polskie, ale także ukraińskie, czeskie i żydowskie. Nie przypominam sobie, by ta różnorodność rodziła konflikty, ale byliśmy dziećmi. To dużo upraszcza. Zazdrościłam dzieciom żydowskim, że nie chodziły do szkoły w soboty. Religii uczyli świeccy, a pod koniec roku szliśmy na egzamin do kościoła. Do dzieci ukraińskich, raz w tygodniu przychodził pop, bo cerkiew była blisko. Żydowskie dzieci uczyli rodzice. Należałam do chóru. Czasami wyjeżdżaliśmy do Łucka, by śpiewać. Pamiętam, że kiedyś zajęliśmy pierwsze miejsce. Nauczyciel nasz nazywał się Boleśław Majewski. Grał pięknie na skrzypcach. Założył

nawet małe kółko skrzypków do którego również należałam. Dawaliśmy koncerty, jednak największą atrakcją było boisko. Pamiętam, że wystawialiśmy jasełka i różne przedstawienia. Nie wiem dlaczego zapamiętałam tak dobrze, jak pewnego razu przyjechał do nas autem inspektor. Wszyscy chcieliśmy z bliska zobaczyć samochód, chcieliśmy go dotknąć. 15 sierpnia na Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny były dożynki. Z wieńcami i zieleń jechaliśmy do kościoła. Po Mszy świętej w szkole odbywały się różne imprezy. Śpiewał chór. Potem zabawa do białego rana. Tak wyglądał raj na ziemi. Nie był on jednak rajem wiecznym, zniknął jak



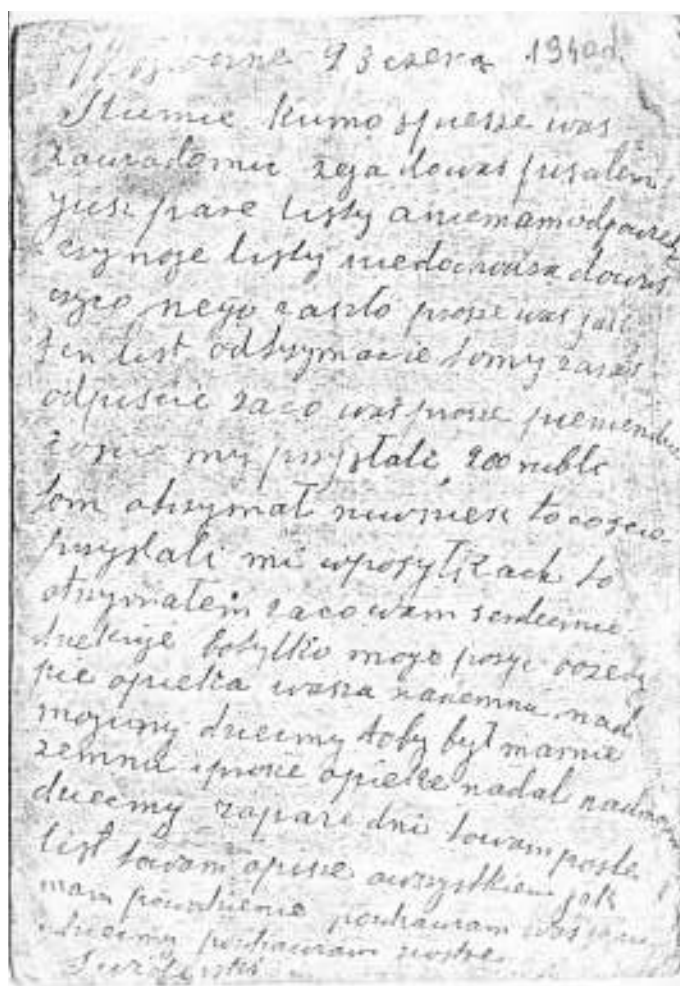
dym na wietrze 1 września 1939 roku. Dla moich dzieci i wnuków to tylko data wybuchu II wojny światowej. Dla mnie to szyld nad drzwiami do piekła.

Zbudziło mnie nagłe walenie do drzwi. Gdy otworzyłam nikogo nie było.

17 września 1939 r. nad ranem usłyszeliśmy straszny huk i warkot maszyn. Zerwaliśmy się z łóżek i nie wiedząc, czy to sen, czy jawa, wybiegliśmy na główną drogę. Ujrzelśmy Sowietów jadących na czołgach. Pierwszy raz widziałam tyle czołgów i tylu żołnierzy. Byli nędznie ubrani. Karabiny mieli na sznurkach, a buty z brezentu. Za mundur służył im liche szynel. Zdziwił nas widok takiego wojska, bo przywykliśmy do naszego pięknego wojska polskiego. Cały ten pochód Ukraińcy witali kwiatami, Polacy łzami. Ten przemarsz zrodził jeszcze większy lęk. Nikt nie wiedział, co z nami będzie. Ojciec zabrał nas wszystkich do domu zamknął drzwi i powiedział: „Ufajcie Bogu i Matce Najświętszej. Nigdy nie zapomnijcie, że jesteście Polakami”. Tego dnia widziałam, jak tato i mama płakali. Wieczorem usłyszałam szepty, nigdy nie mówiło się u nas szeptem - tym bardziej, że w domu była tylko najbliższa rodzina. Zaciekała mnie ta sytuacja, więc dyskretnie podeszłam do uchylonych drzwi, skąd dochodziły tajemnicze głosy. Zobaczyłam, jak tato z moim bratem, Bolekiem, chowali do skrzyni: szable, pistolety i mundur Krakusów. Tato i Bolek pocałowali Orzełka na czapce i poszli zakopać skrzynię, żeby jej Sowietci nie znaleźli. Wyobraziłam sobie wówczas, że tak właśnie wygląda teraz Polska. Zamknięta w skrzyni niewoli. Żywcem zakopana.

Pożegnanie

I rzekł Bóg do szatana: Skąd przychodzisz? Szatan odrzekł Panu: Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej. Mówi Pan do szatana: A zwróciłeś uwagę na sługę mego, Hioba. Bo nie ma na całej ziemi drugiego, kto by tak był prawy, sprawiedliwy, bogobożny i unikający grzechu jak on. Szatan na to do Pana: Czyż za darmo Hiob czci Boga? Czyż nie ogrodziłeś zewsząd jego samego, jego domu i całej majątności? Pracy jego rąk pobłogosławiłeś, jego dobytek na ziemi się mnoży. Wyciągnij proszę, rękę i dotknij jego majątku! Na pewno w twarz Ci będzie złorzeczył. Rzekł Pan do szatana: Oto cały majątek



jego w twojej mocy. Tylko na niego samego nie wyciągaj ręki. I odszedł szatan z przed oblicza Pańskiego” (Hi 1, 7b-12).

Sobota, 10 lutego 1940 r. Dzień, którego nie zapomnę nigdy. Dzień grozy. Dzień sądu. Świt był bardzo mroźny. Tato i brat Bolek wybierali się do lasu po drzewo na opał, bo o węglu można już było tylko marzyć. Chociaż było bardzo wcześnie nasz dom tętnił pracą. Ja również wstałam tego dnia nieco wcześniej, bo chciałam upiec chleb i bułki przed przyjazdem mamy. Odciażyć ją nieco i zrobić jej przyjemność. Najmłodsze rodzeństwo bawiło się jeszcze na łóżkach. Czułam niewytłumaczalny wewnętrzny niepokój. Jakiś głos mówił mi, że zbliża się niebezpieczeństwo. Czasami przeżywam takie stany lęku i obawy. Czuję się osaczona, obserwowana. Jakby za chwilę miało nastąpić coś nieuniknionego. Coś na co nie mam wpływu. Wszystko co wówczas mogę uczynić, to tylko czekać w tym wyprzedzającym wydarzenie lęku i oglądać niejasno nadciągające zło. To przeczucie uważam za łaskę, bo przygotowuje mnie na nieuchronny cios. Jest w tym coś z lęku jakiego doświadcza matka, kiedy jej dziec-

ko znajduje się w niebezpieczeństwie. Jeszcze nie wie o tym, a już to czuje. Staję wówczas zapatrzona w siebie i uporczywie szukam pytań i odpowiedzi. Chwytam niewidoczną nić intuicji, by rozszyfrować tajemnicę własnego bytu.

Tamtego poranka ogarniał mnie właśnie taki niepokój. Kiedy tato i Bolek wyszli z domu i pojechali w las, lęk w mojej duszy spotęgował się. Aby nie skupiać się na tym doświadczeniu, zabrałam się do pracy. Gdy gniotłam ciasto na chleb, spojrzałam przez okno na drogę. Zobaczyłam, że jadą do nas trzy pary sań. Na naszych saniach siedział Sowiet. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co to ma znaczyć. Moje serce wyrwało się z piersi. Nie mogłam zebrać myśli, nie mogłam się ruszyć. Po chwili weszło do domu trzech Sowietów i dwóch Ukraińców, wprowadzając tatę i Bolka skutych w kajdanki. Ja w dalszym ciągu stałam, jakby moje ciało było z kamienia. Płacz rodzeństwa wyrwał mnie z tego bezruchu i przywołał do świadomości. Podbiegłam do taty i pytałam: „Tatusiu co to znaczy? Co się stało? Czego chcą od nas ci ludzie?”. Sowiet jednym silnym ruchem odepchnął mnie i zaklął siarczyście. Mężczyzna stojący obok mnie odczytał nam wyrok, który brzmiał mniej więcej tak: „Przesiedlamy was na drugą „obłast”. Macie czterdzieści pięć minut na spakowanie się”. Nigdy potem nie słyszałam tak krótkiego i zwięzłego komunikatu, który zmieniałby tak wiele. Rozumiałam każde słowo, lecz przez moment nie potrafiłam ułożyć ich w sensowną całość. Dukałam je sparaliżowana łęką. W moim sercu i skroniach pulsowało tylko jedno: „Przesiedlamy, przesiedlamy, przesiedlamy”. Sens słów spłynął do mojej świadomości wraz z zimnym potem, który zalał moje dygoczące ciało.

Zrozumiałam treść łącznie z konsekwencjami. Uderzył we mnie piorun rzeczywistości, przesywając mnie na wskroś w łoskocie słów Sowiet, które rozdarły mi serce. To co przeczytał tamten człowiek, brzmiało nieodwołalnie, jednoznacznie, definitywnie. Wszystko co można było wówczas uczynić, to zacząć się pakować. Ci ludzie byli jak wyrocznia. To oni tworzyli historię, układali nasze losy. Decydowali, gdzie będzie odtąd nasz dom. W ich rękach było nasze życie. Mogli z nami zrobić, co chcieli. Czułam to bardzo dobrze. Najmądrzejszym zachowaniem z naszej strony było nie stawianie oporu. Wielka próba wiary i pokory.

Tato mówił do mnie bez słów, jakby przypominał mi gdzie co jest i co trzeba brać. Z jego oczu przelewała się we mnie jakaś moc. Okryłam dzieci pierzyną, żeby nie pomarzły. Nikt z nas nie wiedział dokąd nas wiozą i co z nami zrobią. Dopiero teraz zobaczyłam niebo. Dzień

był piękny, słoneczny i bardzo mroźny. Śniegu było tak dużo, że w tym chaosie mieszał się z niebem. Wszystko wirowało łącząc się w jedną wielobarwną masę, w której dominowały biel i błękitem. Zastanawiałam się jak w takiej chwili mogę zachwycać się niebem. Kiedy już siedzieliśmy w saniach tato zaczął strasznie płakać. Ja również nie mogłam powstrzymać się od łez. Płakaliśmy wszyscy, sanie ruszyły, jakby ktoś odciął nas od źródła życia. Pamiętam ten ból. Jakaś siła wyrwała mi serce. Czułam jak umiera mój dom. Przeraźliwie wyły nasze psy. Ich przyjacielski instynkt nie mylił ich. To na pożegnanie śpiewały nam pieśń rozpacz. Przypominało to psalmy żałobne. Widziałam jak zmniejsza się na horyzoncie nasz dom, jak kurczy się i znika nasze szczęście. Staralam się zapamiętać drogę do domu. Myślałam: ...wrócimy po śladach, ...mój Boże. Uświadomiłam sobie nagle, że wokoło panuje głęboka cisza. Wtulona w rodzeństwo umierałam z tęsknoty. Z duszy mojej wydobywał się niemy krzyk rozpacz. Za nami zamykał się raj, przed nami otwierało się piekło. Chciałam poukładać myśli. Dyskretnie wsunęłam się pod kołdrę w swój wolny i szczęśliwy świat do którego nie miała dostępu wojna i zło. Ratowałam się siłą wyobraźni skulona pod skrawkiem materiału jak bezradne szczenię.

Przywieźli nas najpierw do szkoły w Andrzejówce. Roilo się tam od Sowietów i Ukraińców. Wszyscy mieli broń. W większości byli to chłopcy, których znaliśmy, mieszkali wśród nas. Przeżyliśmy razem tyle lat, a oni udawali teraz, że nas nie znają. Wprowadzono nas do szkoły. Było już tam wielu ludzi. Pamiętam, że kiedy nas policzyli było 46 osób.

Wszystkich mężczyzn i młodych chłopców zamknięto w osobnym pomieszczeniu. Powstało zamieszanie i płacz. Płakałam, że nie ma mamy. Miałam wówczas 16 lat, Bolek 14, Tadzik 12, Marysia i Adolf (bliźnięta) po 10 lat i najmłodszy Zygmunt 7 lat. Pod szkołę zaczęli się schodzić bliscy, znajomi i znosili żywność. Nikogo jednak nie wpuścili. Gdy zaczęli dobijać się do nas, strażnicy otworzyli ogień. Wszyscy uciekli. Tak pożegnałam bliskich i przyjaciół. Niektórych nie zobaczyłam już nigdy.

Było około trzeciej po południu kiedy wszedł do nas Sowiet z całą swoją świtą i zakomunikował, że na dworze czekają na nas sanie. Jedziecie do stacji kolejowej Zwinjacze oddalonej o 14 km. Kto będzie stawiał opór, lub próbował uciekać temu kula w łeb. Wyprowadzali ostrożnie, po jednej rodzinie. Widziałam wiele oczu pełnych łez. Kiedy wszystko umilkło i dzieci z płaczu posnęły, otulone w kołdry, a tato patrzył nieprzytom-

nie w dal, ja uciekłam w inny świat przykrywając się kołdrą jak płytą nagrobną. Podałam się kołysance sań wyobrażając sobie, że jestem malutką dziewczynką w matczynych ramionach. Usnęłam. Trwało to kilka chwil. Śniło mi się, że mama pochyla się nad moją kołyską i mówi: „Nie bój się, wszystko będzie dobrze”, i zaczyna huścić mnie coraz mocniej i mocniej, tak że kołyska uderza o ścianę. Ja wołam: „Mamo, mamo”, lecz ona mnie nie słyszy i coraz mocniej mnie kołysze, a raczej uderza kołyską o ziemię. Przerazenie wyrwa mnie ze snu ostrym dźwiękiem uderzających o ziemię sań. Płozы bezlitośnie kroili śnieg jak nóż tęsknoty moje serce. W tym dźwięku było coś z rozpacz, coś co działo się równocześnie w mojej duszy. Teraz dopiero przypomniałam sobie sen o mamie. Zalał mnie zimny pot. Wzmogła się we mnie tęsknota, moje serce zachowywało się jak schwytany w klatkę ptak. Spojrzałam na śpiące rodzeństwo i uświadomiłam sobie, że teraz ja mam być dla nich matką.

Zamknęłam oczy, bo nie było już na co patrzeć. Mój dom rodzinny, którym jeszcze dzisiaj się cieszyłam był przeszłością. Ten transport skojarzył mi się z cielećmi wiezionymi do rzeźni. Gdy wychyliłam głowę spod kołdry ujrzałam coś co zadało mi ból największy, jakby w tym dniu zło skupiło się w sposób szczególny na mnie. Na dobrze mi znanym wzniesieniu, z miejsca, w którym w dzieciństwie się bawiłam, ujrzałam nasz rodzinny dom. Stąd był dobrze widoczny, mogłam więc jako mała dziewczynka kontrolować, co w moim gnieździe się dzieje. Stąd słyszałam mamę wołającą nas na posiłki, wtedy tato wracał z pola do domu. Często zabierał mnie na wóz, a ja kładłam się na plecy i tak bezpieczna patrzyłam w niebo zupełnie ufając mojemu kierowcy, który po ciężkiej pracy zmierzał do domu. Byłam wdzięczna Bogu, że dzieci śpią i nie widzą domu. Jednak od strony wioski ujrzałam biegnących ludzi. Gdy nieco się przybliżyli rozpoznawałam ich twarze, to byli nasi bliscy i przyjaciele. Mimo niebezpieczeństwa podbiegali do nas, żegnali się, rzucali nam tobołki z żywnością. Strażnicy bili ich kolbami. Powstało zamieszanie, dzieci wyrwane ze snu podniosły płacz. Zygmus mój najmłodszy braciszek rozpoznał nasz dom i krzyczał w niebogłoso: „Dom, nasz dom, ja chcę do domu”. Udawaliśmy, że nie słyszymy jego krzyku. Siłą swoich dziecięcych rąk odwracał mi głowę w stronę domu i wołał: „Patrz, no patrz”. Pękało mi serce. Wybawił mnie tato chwytając Zygmuś i stanowczym: „Uspokój się”, uciszył chłopca. Po raz drugi żegnałam nasze gniazdo, bo na nieszczęście właśnie wtedy wiodła droga na stację.

Stacja - Sybir

„Do kraju pełnego ciemności, do ziemi czarnej jak noc, do cienia chaosu i śmierci, gdzie świecą jedynie mroki”. (Hi 10, 22)

Gdy nas dowieźli do stacji, było już zupełnie ciemno. Czekano tam dużo wojska sowieckiego. Stał też kondukt wagonów towarowych. Ze wszystkich stron zwożono ludzi. Sanie podjeżdżały i jak zwierzęta przeładowywano ich wśród krzyków i przekleństw. To straszne zamieszanie miało także swoje plusy – głużyło przeraźliwy płacz dzieci i kobiet. Wagony były wysokie, trzeba się było nieźle gimnastykować, by wejść do środka. Dzieci wrzucano jak przedmioty. Wówczas zrozumiałam, że dla tych ludzi, którzy nas wywożą, jesteśmy rzeczami, które trzeba przewieźć z jednego końca świata na drugi. W wagonach było ciemno i bardzo zimno. Dzieci tuliły się do siebie i płakały. Do wagonu ładowano kilka rodzin. Deski były pokryte lodem. Każdy szukał jakiegoś kąta, by usadowić i ogrzać dzieci. Pamiętam, że ktoś wyjął kawałek świecy. Ta iskra światła ułatwiła nam rozlokowanie się w ciemnościach i tłoku. Uciekłam pod koc. Dostosowałam bicie mego serca do rytmu, jaki wystukiwały koła pociągu. Zjednoczyłam się z materią wagonu, tworząc niejasne obrazy moich marzeń w półśnie. Tak minęła pierwsza noc w niewoli. Kiedy zaczęło się rozwidniać, ujrzelśmy dwa małe zakratowane okienka, przez które wpadało poranne światło, odsłaniając w pełni prawdę o naszym nieszczęściu. Niestety, to nie był zły sen. Potrzeby fizjologiczne zmuszały nas do usilnej prośby, by otworzono wagon. Po jakimś czasie weszło do wagonu kilku Sowietów. Spisali wszystkie nazwiska, a potem jeden z nich wyjął siekierę i wyrąbał w podłodze otwór mówiąc: „To wasza ubikacja”. Wyszli i zamknęli nas. Ta dziura w podłodze powodowała przeciąg. Zrobiło się jeszcze zimniej. Zatkaliśmy ją, ale często trzeba było odykać, bo wewnątrz było ponad pięćdziesiąt osób. Najgorszy był wstyd, ale nie było innej rady. Pierwszy dzień niewoli był Dniem Pańskim: Niedziela. Wszyscy razem modliliśmy się. Ludzie podchodzili pod wagony, by podać jedzenie, ale Sowietów ich odganiaли. Najbardziej nieposłusznych wpychano do wagonów i zamykano. Nie dano nam wody. Dzieci z pragnienia lizały oblodzone deski. Było z nami pięciodniowe dziecko. Wojtalowa trzymała je wciąż na ręku okręcone w chustkę. Nie płakało.

Pociąg ruszył w poniedziałek nad ranem. Po chwili dowiedzieliśmy się, że wiozą nas na Wschód – do



Zesłańcy w Kazachstanie, grudzień 1942 r.

Od lewej: 1- Stanisław Młot, 2 – Andrzej Świdorski, 3 – Stanisław Reszko, 4 – Romuald Reszko, 5 – Stanisława Mendykowska, 6 – Bolesław Świdorski, 7 – Halina Świdorska (Paśnik – Autorka wspomnień), 8 – Terlecka, 9 – Władysław Wojtał, 10 i 11 – Zofia Reszko ze swoją córką Danusią, 12 – Wiktoria Młot, 13 – Stanisław Liburski, 14 – Katarzyna Liburska, 16 i 15 – Katarzyna Wojtał z córką.

Rosji. W jakiś tajemniczy i spontaniczny sposób prosto ze zbolących serc wydobywał się śpiew: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Był to raczej szloch, jęk przerażonych i bezbronnych ludzi. Późną nocą pociąg zatrzymał się na stacji Jagodzin. Przeładowano nas do rosyjskich wagonów, gdyż nasze mają węższy rozstaw kół. Powstało nowe zamieszanie, szukanie miejsca, ścisk, przepychanka. Mijały dni. Wstawili nam piecyki, ale opału nie dali. Trzeba było palić deskami z nar. Jak się napaliło, to woda płynęła po ścianach. Nad ranem jednak trzeba było ubrania i włosy odrywać od desek, bo przymarzały. Z każdym dniem było coraz zimniej, bo wieźli nas na północ. Kurczyła się żywność zabrana z domu. Pamiętam, że dano rano czarny chleb, ale był tak mokry, że kapiała z niego woda.

Tato załamał się od razu. Nie miałam w nim żadnego oparcia. Zazdrościłam swoim, rówieśnikom, że mają

dom i chleb. Modliłam się gorąco, żeby mi dzieci nie chorowały. Każdego ranka, kiedy jeszcze spaliśmy, przychodzili Sowietci, walili w drzwi i pytali: „Jeśli ktoś zdechł, to wyrzućcie”. Po czterech tygodniach dotarliśmy do stacji Kotłas. Tam nas wprowadzono do olbrzymich baraków. W końcu poczułam ciepło.

(...) Straszili nas kulą w łeb. Wyrzucili z wagonów żywność i ubrania na jedną kupę. Mężczyznom kazali zabrać co swoje. Niewiele już tego było, bo co lepsze to pozabierali. Pierwszy raz od wywiezienia z domu nocowaliśmy poza wagonem. Dali nam gorącą wodę i jakąś zupę. Rano wsadzili na sanie i w nieznane! Mróz był niesamowity. Ci, co nas wieźli, nic do nas nie mówili. Bez jedzenia i picia wieziono nas cały dzień. Wieczorem dotarliśmy do jakichś baraków. Na kolację dano nam gorącą wodę. Tam przyszły do mnie po raz pierwszy drapieżne bestie głodu. Pamiętam przeraźliwy płacz Wójtałowej. Umarło to małe dziecko. Śpiewała i płakała, tuląc je do siebie. Śpij, śpij małeńki, teraz jesteś bezpieczny, już nikt cię nie skrzywdzi, mamusia jest przy tobie”. Wciąż chodzi-

ła, nie przestając mówić do niego. Chciano jej odebrać dzieciątko, ale bezskutecznie. Zamknęła je kleszczami swoich ramion w nieludzkim skurczu rozpacz. Trzeba było kilku mężczyzn, aby oderwać je od niej. Nigdy nie zapomnę jej krzyku. Wołano Sowietów, by zabrali ciało, lecz nie śpieszyli się. jakiś mężczyzna położył je na siole. Trzeba było trzymać matkę, bo wrywała się do dziecka. Wszyscy na to patrzyli, także dzieci. Wreszcie ojciec dziecka, waląc przeraźliwie w drzwi, przywołał Sowietów. Jeden z nich wziął dziecko i skierował się do wyjścia. Ojciec błagał o to, aby sam mógł pochować synka. Wojtalowa rzuciła się na Sowiet, wrywając mu swój skarb. Powstało zamieszanie. Sowiet zaczął grozić bronią. Tobolek z dzieciątkiem upadł na podłogę. Poderwał go Sowiet, wyprzedzając zrozpaczoną Wojtalową. Chwycił tak, jak bierze się koszyk i trzymając w jednej ręce, wyszedł. Zamknięto drzwi. Zapanowała przeraźliwa cisza przerywana od czasu do czasu jękiem Wojtalowej. Rano załadowano nas na sanie i dalej w tajgę. Wieczorem dojechaliśmy do baraków, a Sowiet oznajmili nam: „To koniec waszej drogi, to wasz dom. Tu będziecie żyć i umierać, a przede wszystkim pracować w lesie”. Barak był drewniany, sklecony z całych sosen. Szpary były utkane

mchem, w którym żyło tysiące pluskw. Pluskwy wypijały z nas resztki polskiej krwi. Robiły nam się od nich wrzody. Rano zobaczyłam las, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Nie miał początku ani końca. Przygniótł mnie swym ogromem. Wszystkich baraków było osiem. Była stołówka, pusty sklep, studnia na dwa wiadra z dużym kołem, bardzo głęboka, żeby nie zamarzła. Był też barak, w którym mieszkała władza.

Rozdzielono nas do prac. W domu miały zostać tylko kobiety z małymi dziećmi. Ja, choć miałam małe rodzeństwo, też musiałam iść do lasu. Tato prosił, abym mogła zostać, ale oni powiedzieli: „Kto nie rabotajet, ten nie jest”.

O świcie następnego dnia pogonili nas do łaźni. Nie powiem, że to było niemiłe. Nie kąpałam się od miesiąca. Wprowadzono nas do baraku, same kobiety i małe dzieci. Kazano się rozebrać do naga, a ubrania związać w tobolek i podać przez okienko do „prażarki”. Jaki to wstyd stać nago wobec swojego rodzeństwa i przed małymi dziećmi! W łaźni na szczęście było dużo pary. Dano nam



po cebrzyku ciepłej wody a do ręki brzożową miotelkę. Nie wiedzieliśmy, do czego ona służy. Po takiej kąpieli przy wyjściu odbieraliśmy swoje gorące ubranie. Dezynfekcja polegała na umieszczeniu odzieży w gorącym pomieszczeniu. Następnego dnia wydano nam siekiery i piły i pognano do lasu. Był wielki mróz. Dużo śniegu. Pokazali nam co i jak mamy robić. Była ustalona dzienna norma, którą trzeba było wykonać. Niewykonanie normy równało się z nieotrzymaniem racji żywności.

Pracowaliśmy więc co sił, by nie umrzeć z głodu. Za wyrobioną normę dawali 60dkg chleba, a na nie pracujące dziecko 20dkg. Chleb był jak glina. Surowy, ale podtrzymywał przy życiu. Pamiętam jego smak. Od tamtego czasu nie zmarnowałam ani kromki chleba.

W lesie spalaliśmy obcięte gałęzie, by nie zamrznąć. Kawałki chleba, które braliśmy ze sobą do pracy, zamarzały na kość. Przygrzewaliśmy je przy ognisku, bo pracowało się bez posiłku od świtu do nocy. Wracając z lasu każdy mężczyzna włókł za sobą kawał drzewa do baraku, aby ogrzać najbliższych.

Z Bolkiem i tatą musiałam iść do lasu na cały dzień, a po powrocie zająć się czwórka młodszego rodzeństwa. Mieliśmy jeszcze trochę mąki, którą zabraliśmy z domu, ale była zalana naftą. I tak ją zjedliśmy. Gotowanie polegało na wstawianiu garnka do dużego pieca, z którego strzelały iskry i wpadały do zupy. Składnikami zupy były kluski z mąki zalanej naftą, trochę słoniny i węgle. Wszystko wyglądało jak woda w kałuży. Zapasy z każdym dniem się kurczyły. Nie było już soli, a o cukrze można było tylko marzyć. Co pewien czas przywozili do stołówki dwie beczki, w których były głowy i kręgosłupy ryb. Na tym gotowano nam zupę, zasypując to kaszą. Cała ta mieszanka tak śmierdziała, że nie dało się jeść. Często pływały w niej robaki. W lesie przy pracy bardzo niszczyły się ubrania. Po miesiącu były to same łaty. Przychodziliśmy przemoczeni. W nocy suszyliśmy odzież. Wciąż chodziliśmy w mokrych ubraniach. Jak ja marzyłam o suchej sukience! Poranki były najgorsze, bo trzeba było włożyć mokre ciuchy, buty i na cały dzień iść do pracy przy czterdziestostopniowym mrozie. Zaczęły się straszne choroby związane z odmrożeniami. Tak chyba wygląda piekło. Wówczas ciężko zachorował mój brat, Bolek. Było to zapalenie płuc. Lekarz co prawda był, ale nie miał żadnych lekarstw. Poszłam do żony jednego Sowietę, bo

dowiedziałam się, że ma kożę, aby mi sprzedała trochę mleka. Zgodziła się za spódnice i firanki. Dostawałam od niej przez kilka dni po szklance mleka. Tak zaczęłam uczyć się „handlu”. Wyleczyłam brata. Zygmunt jak zobaczył, że daję mleko starszemu bratu, bardzo płakał. Tłumaczyłam, ale nic nie pomagało. Chodziłam za barak. Tam ze śniegu sterczały suche pędy malin. Łamałam te patyczki, gotowałam i tą malinową herbatą wynagradzałam Zygmuntowi brak mleka. Mijały dni, stawaliśmy się coraz gorsi dla siebie. Bałam się zezwierzczenia. To najgorsza choroba wojny. Pocieszałam się powolnym powrotem do zdrowia Bolka. Przez cały czas jego choroby nie dostawaliśmy na niego racji żywności. „Nie pracuje to nie je. Odechce mu się chorować”- mówili Sowietę. Dużo ludzi ginęło w lesie przywalonych drzewem, bo nie było żadnych zabezpieczeń. Często chorobą stała się tzw. kurza ślepotą. Ludzie prowadzili się nawzajem. Pewnego dnia zorganizowaliśmy zebranie, na które, przyszli wszyscy Sowietę. Prosiłiśmy ich, by dali nam więcej chleba, to będziemy lepiej pracowali. Odpowiedzieli nam, śmiejąc się bezczelnie: „Myśmę was tutaj przywieźli po to, żebyście pozdychali, bo na was to i kuli żal. Niech wam już nie przyjdzie do głowy organizowanie takich spotkań, bo będzie z wami marzenie.” Wówczas wielu się załamało.

Wybuchła epidemia duru brzuszego. Wiele osób zabrano do szpitala, przynajmniej tak nam powiedziano. Sami też podtrzymywaliśmy to kłamstwo, żeby nie zwariować. Zachorowała Czesia Młotowa i po kilku dniach zmarła. Umierała na oczach dzieci i nas wszystkich. Byliśmy bezradni. Ta niemoc zabijała w nas nadzieję. Krzaliśmy się wokół swoich spraw, ocierając się o konającego człowieka. Współczuliśmy, ale i cieszyliśmy się, że to nie my umieramy. Pranie, łatanie ubrań, gotowanie. Wszystko przy konającej osobie. Wojna zobojętnia, przyzwyczają do pożegnań. Jakże mocno trzeba się przed tym bronić. Czesia była moją przyjaciółką.

Zaczęły się przymusowe, bardzo bolesne szczepienia przeciw durowi. Narastało załamanie i bezsens. Pewnego dnia w sam środek rozpaczę wpadł jasny promyk światła. Sowietę zwołali zebranie. Podali adres, gdzie jesteśmy. Pozwolili napisać listy do najbliższych. Radość była wielka. Zabronili jednak pisać jak tu jest, bo taki list nie doszedłby.

Adres był następujący:
ARCHANGIELSKAJA obłast
SOLWICZYGORSKI REJON
Poczta HARYTANOW
Poziółek WASTOCZNO

Po kilku tygodniach zaczęły przychodzić listy, a nawet ruble. Dostałam list od mamy. Przeczytałam go może tysiąc razy. Ile wylałam nad nim łez, tylko Bóg wie. Cieszyłam się, że mama żyje, że wie gdzie jesteśmy, ale ten list wzmógł we mnie tęsknotę za domem. Miałam siedemnaście lat, ale płakałam jak dziecko. List zaginął, ale nie w mojej pamięci. Oto jego treść:

„Kocham was. Kiedy my się zobaczymy? Bardzo tęsknię. Nie traćmy nadziei. Bóg nas nie opuści. Pilnuj dzieci, teraz ty jesteś matką. Do domu mnie nie puścili. Krów i koni nie było. Cały dobytek zagrabiony. U nas mieszkają Ukraińcy.”

Ja oczywiście ze względu na cenzurę odpisałam:

„Kochana mamusiu, czujemy się dobrze i dobrze nam tu jest. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Pisz do nas często. Napisz, jak inni.”

Myślę, że gdyby nie było cenzury, to napisałabym taki sam list. Z czasem oprócz listów zaczęły przychodzić paczki z żywnością: mąką, kaszą, makaronem i czasami tłuszczem. Mama też nam przysyłała paczki. Czekaliśmy z utęsknieniem na lato. Śnieg zaczął topnieć dopiero w czerwcu. Słońce nie dawało ciepła. Woda, roztopy, wszystko mokre, koszmar. Z głębokiej zimy i wielkich zasp śniegu w przeciągu kilku dni urodziła się zielona wiosna.

Zakwitł wokół cały świat, maliny i czarne jagody. Z wiosną obudziła się radość i nadzieja. Nareszcie będzie się można najeść. Był taki czas, że prawie nie było nocy. Świeciła zorza polarna. Zdawało się, że dzień nie ma końca, a pracować trzeba było. Zrzuciliśmy w końcu z siebie te przemoczone łachy. Zanim wpadliśmy w zachwyt, zaczęła się istna inwazja komarów i małych muszek. Od drapania powstawały groźne rany. W nocy gryzły nas pluskwy, a w dzień komary. Wybuchła epidemia malarii. Umierały przeważnie małe dzieci. Przeręzało mnie to, że zgony nie robią na nas już wrażenia. „Przyzwyczajenie czy znieczulica?” – pytałam samą siebie w duchu. Maliny, jagody i czarny chleb to całe nasze menu. Jeszcze pojawiły się grzyby, ale jakieś inne od naszych i wiele osób się potruło. Było ciepło. Były jagody, więc Bóg o nas na Sybirze nie zapomniał.

Pewnego dnia po powrocie z pracy nie zastaliśmy staruszki Chałaciny. Zaczęliśmy jej szukać, ale nie znaleźliśmy. Na drugi dzień ktoś znalazł ją w lesie nieżywą. Cała była pokryta komarami i muszkami. Przynieśliśmy ją do baraku. Bodach zrobił trumnę z nieheblowanych desek. Pochowaliśmy ją w lesie obok Czesi. Pomyślałam, że to nasz cmentarz, że wszyscy wcześniej czy później tu trafimy. Z każdym dniem grobów przybywało. Po kilku dniach mąż Chałaciny, Antoni, poszedł do lasu na miejsce, gdzie znaleźli jego żonę i powiesił się. Oboje byli już bardzo sędziwi. Nie mieli dzieci. Byli to bardzo zacni ludzie. Nie wytrzymali, nic już ich nie trzymało. Nie chcieli być ciężarem. Bóg wszystko widział. Na pewno ich nie opuści.

Pewnego dnia wybraliśmy się w głąb lasu na jagody, bo okolica blisko domu przypominała miejsce, przez które przeszła szarańcza. Blisko domu?! Zaczęłam się łapać na tym, że to miejsce nazywałam domem. W jakimś sensie to był dom. Byli tam moi najbliżsi, moja nadzieja.

Kiedy zapuściliśmy się w las, dokonaliśmy przerażającego odkrycia. W głębi lasu stało kilka opuszczonych baraków. W pierwszej chwili chcieliśmy je ze strachu ominąć, ale ciekawość zwyciężyła strach. Dyskretnie i w milczeniu zbliżyliśmy się do największego baraku. Weszliśmy do środka. Kiedy zobaczyłam to co tam było, wyskoczyłam na zewnątrz jak strzała i zaczęłam uciekać. Dogonili mnie nasi chłopcy. Tłumaczyli, że musimy teraz być razem i trzymać język za zębami, bo jak się Sowietci dowiedzą, że znaleźliśmy to miejsce, to kula w łeb. Wewnątrz baraku wykopany był duży dół, który niemal po brzegi był wypełniony ludzkimi szczątkami. Dół świecił białą czaszek i piszczeli. Bałam się, że odkryją naszą tajemnicę i zabiją. Kiedy któryś Ukraińiec patrzył na mnie, myślałam: „Już wie, to koniec”.

Był wśród nas taki stary Sowiet. Wołali na niego dziadzio Sasza. Zajmował się ostrzeniem pił. To ważne stanowisko, bo piła była podstawowym narzędziem pracy. Był to bardzo dobry człowiek. Szanował Polaków, rozumiał nasze położenie. Powiedział nam, że po rewolucji październikowej było tu dużo zesłańców z Ukrainy. Wybuchła wówczas epidemia cholery. Zwłoki wywożono do lasu i tam gdzieś grzebano. Skojarzyliśmy to opowiadanie z miejscem, które odkryliśmy w lesie. Gdy opowiedzieliśmy to Saszy, przestraszył się i kazał nam milczeć jak głąz.

Co pewien czas liczone nas, czy nikt nie uciekł, ale gdzie tu uciec? W las? Do najbliższej stacji wąskotorowej obwarowanej przez Sowietów było około trzydziestu kilometrów. To była matnia. Wokoło pustka. Jak okiem sięgnąć! wszędzie niebo łączyło się z ziemią. Dowiedzieliśmy się, że takich obozów jak nasz w okolicy było dużo, ale był zakaz odwiedzania się pod groźbą kuli w łeb.

Lato minęło bardzo szybko. Już we wrześniu zaczął padać śnieg. Wróciły mrozy i znów ta straszna zima. Nic było już żadnej odzieży, bo w lecie wszystko się zniszczyło. Nie było butów. Stare buty okręciliśmy łachmanami i wiązaliśmy sznurkiem, aby przetrwać zimę i nie odmrozić nóg. Starzeliliśmy się w galopującym tempie. Zaczęliśmy oswajać się z myślą, że zostaniemy tu na zawsze. To miejsce to nasz grób. Głód stawał się wszechobecny. Do pracy trzeba było chodzić, bo nie daliby chleba i tej cuchnącej zupy. Nie było się gdzie umyć i w co przebrać. Przywykłam. Straszne wszy. Po pracy siadałyśmy i jedna drugą iskała. Wymykałyśmy się po dwie do najbliższej stacji (pieszo około 30 km), aby zamienić poduszki na wiadro ziemniaków lub miską mąki. Szczęście polegało na udanej transakcji.

Przepis na zupę obozową: nie obrane ziemniaki starte na tarce i zalane gorącą wodą. Nawet taka zupa była pod wydział. Musiało starczyć na kilka dni. U dzieci zahamował się wzrost, wyglądały jak żywe szkielety. Oddałam swoje marzenia. Z koca, który był moim schronieniem, posyłam rodzeństwu ciapy. Nauczyłam się marzyć pod byle łachmanem. Kiedy wychodziłam o świcie do pracy prosiłam kobiety, które zostawały, by pilnowały moich dzieci. Cały dzień umierałam o nie ze strachu. Wieczorem, gdy wracałam wyczerpana, witały mnie cztery głodne twarze wpatrzone we mnie z nadzieją. Musiałam nieustannie kombinować skąd załatwić coś do jedzenia. Człowiek głodny nieustannie myśli o jedzeniu. Wszystko przez te lata kręciło się wokół jedzenia. Marzyłam, by choć raz najeść się do syta.

W nocy dzieci tuliły się do mnie. Szeptem pytały, dlaczego nie ma mamy. Zbliżały się pierwsze święta Bo-

żego Narodzenia, które trzeba było przeżyć w niewoli. Ktoś dostał w liście opłatek. Podzieliliśmy go między wszystkich ludzi z naszego baraku. To dopiero była komunia. Taką kruszyną obdzieliliśmy wszystkich. Nie było życzeń, nie było kołęd. Wprawdzie ktoś zaintonował: „Bóg się rodzi”, ale wzruszenie i łzy odebrały nam głos, który załamał się i zgasł. Stołu wigilijnego też nie było. Pamiętam, że w Boże Narodzenie musieliśmy iść do pracy, bo święto wypadło na tygodniu i nie chciano nam dać wolnego. Dobrze, że całe święta pracowałam, bo nie myślałam o mamie i świętach w domu. Ci, którzy nas pilnowali, byli ludźmi niewierzącymi, więc nic ich nie obchodziły nasze święta. Zima była nieśmiertelna i wszechobecna. Bez końca. Swoim śniegiem i mrozem zabijała nas w białych rękawiczkach. Gasła nadzieja.

W czerwcu znów zaczął topnieć śnieg. Byliśmy już mądrzejsi. Ubiegły rok wiele nas nauczył. Wiedzieliśmy, co i gdzie rośnie, co nadaje się do jedzenia, a co nie. Poznaliśmy ziemię, i nauczyliśmy się w niej żyć. Maliny, jagody, grzyby, komary i muszki - to najważniejsze wydarzenia lata. Tego lata doszła jeszcze jedna nowość - szkorbut. Zęby można było zbierać jak kamyki. Przestały przychodzić paczki i listy. Nie wiedzieliśmy, co dzieje się na świecie, czy wojna jeszcze trwa. Zaczęli zabierać od nas młodszych Sowietów, a przysyłali starszych lub ciężko rannych, takich, co się na front nie nadawali.

We wrześniu przyjechał do nas jakiś naczelnik. Zrobił zebranie i zakomunikował nam, że będą nas przesiedlać w inne miejsce. Zapanowała radość, której jednak towarzyszył strach. Kazali nam się pakować i barak wysprzątać tak, aby lśnić. Wszystkich spisali. Po kilku dniach przysłali po nas sanie na których zmieściły się tylko dzieci i starcy, którzy nie mogli iść. Pozostali podążali pieszo. Tak oto znaleźliśmy się na stacji „Harytanów” oddalonej od naszych baraków o około 30 km. Tutaj załadowali nas do kolejki wąskotorowej w odkrytych wagonach. W takich warunkach przywieźli nas do (Severodvinsk) Solwiczygorska, który był portem nad rzeką Dźwiną. Przeładowano nas na statek, a stąd rzeką spłynęliśmy do Kotłasu. Tutaj dopiero na dobre rozpoczęła się nasza gehenna. Ze wszystkich stron zwożono ludzi takich jak my: wygłodniałych, wycieńczonych i chorych. Dowiedzieliśmy się, że na miejsce, z którego nas tak szybko przesiedlono, przywieziono jeńców z Estonii, Łotwy i Litwy. W Kotłasie wyrzucono

nas na dworzec. Tam kazali nam czekać na wagony, które miały nas wieźć w nieznane. Ciągłe przerzucanie i poganianie. To wprowadziło mnie w stan, w którym czułam się jak rzecz, którą trzeba dostarczyć pod właściwy adres. Przestałam narzekać, bo czy może narzekać na niewygody w transporcie paczka? Odbijałam się od jednego brzegu rozpacz by uderzyć za chwilę o drugi brzeg. Najważniejsze było, aby nie wypaść za burtę. Przywiązałam się mocno do pokładu wygnania liną sprytu i przebiegłości. Tak dryfowałam do celu, który wyznaczył mi los. Zauważyłam, że coraz rzadziej uciekam pod koc. Szukałam przyczyny tej oziębłości. Może stałam się już dorosłą, a te ucieczki były tylko wymysłem małej, nie znającej życia dziewczynki, którą rodzice chronili ramionami miłości? Może stałam się zimna i obojętna, a może nauczyłam się tak żyć, uznając, że nie warto tracić czasu na marzenia?

Zaczął padać śnieg. Czekaliśmy na stacji przez trzy tygodnie. Dzisiaj, gdy spóźnia się pociąg o godzinę czy dwie, nie robię z tego problemu. Trzy długie tygodnie na dworze. Na noc pozwolono wchodzić do parterowej świetlicy. Spaliśmy tam na gołej podłodze, jednak to był luksus w porównaniu ze spaniem na dworze, gdzie śnieg i mróz. O świcie wyganiano nas na dwór. Po otwarciu oczu zaczynały się poszukiwania czegoś do jedzenia. Mężczyźni i młodzieńcy nocowali gdzie się dało, bo w świetlicy nie starczyło dla nich miejsca. Najczęściej kopali doły w ziemi i tam się chronili. Każdy dzień stawał się gorszy od poprzedniego. Aby dostać chleb, trzeba było stać w kolejce dwie doby. Staliśmy na zmianę, bo jak się wyszło z kolejki, to już nie wpuszczano. W tym samym czasie na stację przybyła duża grupa więźniów, bo była amnestia. Gromadziło się coraz więcej ludzi, gdyż tylko stąd można było odjechać. Więźniowie byli niehumanitarnie wycieńczeni, nawet na nas zrobili straszne wrażenie. Z każdym dniem na stacji przybywało głodnych. Więźniowie również kopali doły do spania i palili w nocy ogniska, żeby nie zamrznąć. Spali tak blisko ognia, że kilku żywcem się spaliło. Codziennie rano jeździła platforma i zbierała trupy. Ta platforma weszła w krajobraz tak, że przestaliśmy zwracać na nią uwagę. Przemykała zgrabnie jak człowiek rozwożący mleko. Jedliśmy wszystko, co się dało złapać, jadłam koty i psy. Wiem, że dzisiaj brzmi to koszmarnie, jednak tak żyłam. Kiedy moje rodzeństwo przyniosło z „polowania” taką zdobycz, to było święto. Czasami gotowało się i jadło po kryjomu, bo i tak nie

wystarczyłoby dla wszystkich. Trudno jest nawet w piekle jeść, gdy inni cierpiący głód patrzą ci na ręce.

...siły ich opuściły, wynędziali z biedy i głodu” (Hi 30,3).

Wreszcie podstawiono bydłące wagony. Ładowano nas aż ludzie zaczynali krzyczeć, że nie ma już czym oddychać. Były tam z desek pozbijane przegrody, kto się nie zmieścił, spał na podłodze. Wagonów było ponad sześćdziesiąt, ciągnęły je dwie lokomotywy. Nie wszyscy się zabrali. Reszta musiała czekać na następny transport. Na stacji w Kotłasie żegnałam tysiące ludzkich szkieletów. Cieszyłam się gdy pociąg ruszył i zostało w tyle to koszmarnie miejsce. Pociąg przypominał mi wówczas rzekę, która unosiła mnie swym rwącym nurtem z błotnego grzęzawiska. Podałam się prądom wody. Przede mną było nieznane. Myślałam, że nic gorszego mnie już spotkać nie może. Jak w malignie machałam na pożegnanie znajomym i nieznanym. Było mi wszystko jedno, gdzie nas wiozą.

„Gdy rzeka wezbrana, nieśpieszny, spokojny, choć prąd sięga paszczy” (Hi 40,23).

Teraz jechaliśmy już bez straży, był z nami tylko jakiś komisarz. Ważne było to, że wieźli nas na południe, tam było dużo cieplej. Uciekłam pod koc. Przejeżdżaliśmy wzdłuż gór Ural. Piękne góry, lecz my bardziej zachwycaliśmy się lepszymi warunkami i odsypialiśmy piekło Kotłasu. Rozprzestrzeniła się wszawica, której nie można się było pozbyć, ponieważ nie było wody. Nasze ciała i ubrania były ich gniazdem. Jak się tylko pociąg zatrzymał, to wszyscy rozbiegali się jak szczury, by zdobyć coś do jedzenia. Najczęściej polegało to na kradzieży. Na stacjach często stały wagony z żywością, bo dowożono żywność na front dla żołnierzy. Wagonów silnie strzeżono lecz głód był silniejszy niż strach. Pamiętam, jak ludzie dowiedzieli się, że w jednym wagonie jest mąka. Rzucili się w desperacji na ten wagon i dobrali się do skarbu. Gdy Sowiet to zauważył, zaczął krzyczeć, a potem strzelać. Schwytano kilku mężczyzn, w tym mojego tatę i brata Bolka. Tacie udało się podać mi worek z mąką. Zabrano ich do naczelnika. Strasznie ich zbity, po jakimś czasie wypuszczono, jednak warto było, bo zdobyliśmy mąkę. Każdy wagon był oznakowany tak, by szybko można było do niego trafić. Na naszym wagonie był koszyk, to był jego znak. Wagonów było wiele, więc nauczyliśmy dzieci jak rozpoznawać swój. Takich transportów jak nasz ciągnęło z północy

na południe bardzo wiele. Często staliśmy, po kilka dni na jakiejś stacji. Miało to swoje plusy, bo można się było dalej zapuścić w poszukiwaniu żywności. Byliśmy jak szarańcza. Biegliśmy do kołchozów za jedzeniem. Tam rosły kartofle, buraki i kapusta. Pamiętam, że na jednej stacji leżały duże przemy soli. Podbiegłam, aby nabrać do fartucha drogiego kruszcu. Tak byłam zajęta nagarnianiem soli, że nie zauważyłam strażnika, który podszedł do mnie z tyłu i uderzył tak mocno kitem, że pękła mi skóra na plecach, aż krew się połała. Sól jednak nie wypadła z moich rąk. Uciekłam, zostawiając za sobą krwawą smugę, jak ranne zwierze. Ból wynagrodziła mi radość zdobytej soli. Głód jest najgorszym wrogiem człowieka, bo ludzie stają się jak hieny.



Coraz częściej umierały dzieci. Widziałam wielu rannych, choć front był daleko. Zwożono ich tu z pola walk. Jechaliśmy wciąż na południe. Zmieniał się krajobraz i klimat. Na stepach naszym oczom ukazywały się bielutkie jak śnieg stada owiec. Widzieliśmy także osły i wielbłądy oraz ludzi dziwnie ubranych. Gdy zatrzymywał się pociąg, tubylcy wyrastali spod ziemi i handlowali arbuzami, rodzynekami, suszonymi jabłkami i małymi placuszkami, które nazywali „lepioszki.” Większość z nich nie mówiła po rosyjsku, trudno się było dogadać. Nie było za co kupować tych przysmaków. Coraz częściej zaczęli zostawać ludzie z naszego transportu, by szukać chleba. Potem doganiali nas innym transportem. Ja na początku się bałam, że zginę, ale głód przezwyciężył lęk. Tadzik, mój brat, zostawał aż siedem razy, miał wówczas trzynaście lat. Był bardzo sprytny i zaradny. To on najwięcej zdobywał jedze-

nia. Myślę, że był czas, kiedy wiele razy ratował nas przez śmiercią głodową. Kiedyś zginął na cały tydzień, myślałam, że go straciłam na zawsze. Bardzo płakałam. On jednak wrócił i to nie z pustymi rękami. Przyniósł nam chleba, suszonej ryby i trochę cukru. Dogonił nas z transportem wojska. Żołnierze dali mu ubrania i buty. Dobrze wyglądał, był najedzony. Moja radość nie miała końca. To bardzo zaradny człowiek, takim został przez całe życie. Po wojnie dostał się do Kanady. W Toronto kupił piękny dom, o którym marzył. Ożenił się i wychował troje dzieci. Zdarzały się wypadki, że ci, którzy zostawali, już nigdy nie dogonili swojego pociągu. Na stacji Czelabińsk była polska placówka. Dano nam tam chleba i zupy. Jaka była radość, gdy nam powiedziano, że Anders organizuje Armię Polską. Mówiono też, że wszystkich Polaków wywiozą do *Ira- nu Iraku*. Płakaliśmy z radości. Chłopców, którzy mieli po osiemnaście lat, zwerbowano do oddziałów Andersa. Po wagonach chodził polski doktor. Badał dzieci i starsze osoby. Dali nam jakieś odżywki, a dzieciom po dwie łyżki kakao i mleko w proszku. Te dary tylko wzmożyły nasz apetyt, a zapach mleka przypominał mi dom, mamę i świat bez wojny.

W naszym wagonie zmarła Danusia Wojtalowa. Miała zaledwie siedem lat. Rodzice musieli zanieść ją do punktu, gdzie znosiło się zmarłych. Gdy nie można pogrzebać swoich bliskich, gdy trzeba ich na zawsze zostawić na przypadkowej stacji, to nie ma słów wyrażających rozpacz i ból. Nie ma także słów pocieszenia. W jakiś sposób cały nasz wagon dźwigał to cierpienie. Trudno było cokolwiek powiedzieć rodzicom Danusi. Każde słowo rodzące się w umyśle wydawało się naiwne i nietaktowne. Wszystko, co można było dla nich zrobić, to milczeć i pozwolić im wypłakać ból.

„...cierpienie nie stłumię słowami” ...

Wszy stawały się wszechobecne. W wagonie był rozwieszony sznur do suszenia łachów cały oblepiony wszami. Na Sybirze pluskwy, a tu wszy. Ciągłe coś piło naszą krew, wysysając z nas życie. Każda kobieta miała w swojej „kuchni” dwie cegły, bo jak się pociąg zatrzymał, to biegło się po wodę, stawiało garnek na tych ceglach. Rozpalało się ogień i gotowało „obiad”. Wszystko trzeba było robić w pośpiechu, bo nie wiadomo jak długo miał stać pociąg: tydzień czy kilka minut. Często pociąg ruszał, gdy woda w garnku zaczynała wrzeć. Chwytało

się ten ukrop i goniło do pociągu. Kiedyś wylałam na siebie gorącą wodę i bardzo się poparzyłam. Podczas jazdy nie było mowy o gotowaniu, bo bardzo trzęsło. Wszystkie transporty jechały na południe do granicy Irańskiej. Mówili, że Stalin otworzył granicę, żeby mogli Polacy wyjechać. Kreślił się przed nami obraz nadziei. Jednak szybko rozwił się jak dym na wietrze, nie pozostawiając po sobie widocznego śladu.

Zapach ciężkiego powietrza niewoli dusił nas coraz bardziej. Zamknięto granicę i cofnięto nas. Płacz i rozpacz. Przywieziono nas z powrotem do Taszkientu. Stał się tam tydzień. Biegaliśmy jak głodne wilki, węsząc za pożywieniem. Była tam Polska placówka. Dano nam po bochenku chleba. Powiedzieli też, że Stalin nie chce puścić reszty Polaków za granicę, bo nie ma kto pracować w kołchozach. Tu, w Taszkencie, byli całkiem mili ludzie. Na bazarze sprzedawali mąkę na szklanki. Widziałam też wiele wielbłądów i owiec. Była tam fabryka. Przy niej płynęła ciepła woda, tam chodziliśmy się kąpać, praliśmy nasze łachy, a raczej moczyliśmy je w wodzie, bo mydła nie było, ale to już było dużo. Pewnego dnia przyszedł Sowiec i powiedział, żeby zwinąć kram, bo wieczorem odjeżdżamy do kołchozu. Na jednej stacji udało się nam ukraść kilka worków cukru i trochę mydła.

Stacja - Kazachstan

*„Czyi nie do bojowania podobny był człowieka?
Czyż nie pędzi on dni jak najemnik?
Jak niewolnik, co wzdycha do cienia, jak robotnik,
co czeka zapłaty.
Zsyłałem miesiące męczarni, przeznaczono mi noce udręki.
Położę się mówiąc do siebie:
Kiedy zaświta i wstanę?
Lecz noc wiecznością się staje i boleść mną targa do zmroku”
(HI 7, 1-4).*

Po trzech miesiącach przywieziono nas do stacji „Czu”. Tu się kończyły tory kolejowe. Zapamiętałam taki adres: Kazachstańska obłast Dżambulski rejon poczta Nowotrojsk Embeck - kołchoz. Ze stacji do kołchozu było około 30km. Wieziono nas wozami, które były zaprzężone w wielbłądy. Droga trwała cały dzień. Dojechalismy o zmroku. Był to malutki i biedny kołchoz. Żyli tu Tatarzy, Czeczeni i Kozacy. Rozlokowali nas w lepiankach. Na środku kibitki stał kocioł, który służył do prania, gotowania i mycia. Takich kołchozów w okolicy było dużo. Do naszego przydzielono dwanaście rodzin. W lepiance było malutkie okienko. Tylko jedna osoba mogła przez nie wyjrzeć na świat. Nie było na czym spać.

Rano zwołano zebranie. Przyszedł kierownik kołchozu i powiedział, że jutro wszyscy idą do pracy. Pracującym dawano pół kilograma pszenicy, a na dziecko 20dkg i nic więcej. Pracowaliśmy przy zbiorze buraków. W pracy nieustannie szukaliśmy okazji, aby coś ukraść. Kozacy mieli żarna. Były to dwa kamienie, które rozcierały naszą ciężko zapracowaną pszenicę na drogocenny pył. Z tej rozniesionej pszenicy i pokrojonych buraków gotowało się zupę. Jadło się raz dziennie. Przynieśliśmy sobie ze stepu wyschniętą trawę i to było nasze poślanie. Zrobiłam „meble” z gliny: stół, dwa taborety, prycze.

W naszym kołchozie rosło tylko jedno drzewo. Często chodziłam tam w tajemnicy i przez jego liście patrzyłam na niebo. Jako dziecko wyobrażałam sobie, że w gałęziach drzew mieszkają dobre duchy, które opiekują się nami. Szum liści był dla mnie ich mową, jakby tajemniczym szeptem, z którego sączyły się łagodne opowieści o miłości i szczęściu. Parasol drzewa był jak namiot Pana, jak ramiona Ojca. Panował tam nastrój pokoju, który emanował z kolumny drzewa jak ze świętego. Światło słońca migotało u moich stóp zakrywane i odsłaniane przez liście łagodnie tańczące na wietrze. Smugi światła pieściły moje dłonie i twarz. Wiązki promieni tworzyły tunele światła, po których pragnęłam wdrapać się do nieba. Przytulałam się do pnia drzewa i nasłuchiwałam, czy bije jego drewniane serce. Tak mocno obejmowałam drzewo, że moja dusza z nim się zespalała. Dzieliłam się z drzewem swoim życiem, stanowiłam z nim jedność. Często piękno przyrody przygniata mnie swoim ogromem. Czuję się taka mała, nie potrafię zmieścić w sobie nadmiaru piękna. Jego wielkość przytłacza mnie, rodząc w duszy smutek i budząc nienazwaną tęsknotę za Źródłem tego piękna. Wówczas płacę w skrytości, wylewając z siebie jak z przepełnionego kielicha drogocenny nektar słodyczy. Jest to stan, w którym spotyka się i przeplata radość z cierpieniem. Źródłem radości staje się cierpienie, które jest oczekiwaniem na pełne objawienie się Piękności nie stworzonej. Już i jeszcze nie. Widzę cień rzeczywistości w przyrodzie i zachwycam się tak, iż nie mam słów, by to opisać. Jak piękny musi być Ten, który rzuca cienie przez dzieło stworzenia. Cień jest garścią mroku. Zatrzymaniem światła. Zaciemnieniem tajemnicy. Cień domaga się poznania źródła. Cień jest smutkiem światła. Chłodem. Aniołem stróżem bytu. Owocem spotkania światła z materią. Dzieckiem nienarodzonym słońca. Gdyby nie było cienia, nie byłoby drogowskazów. Spaliłoby nas światło

i oślepił blask. Bóg pragnie być poznany przez swe dzieła. Przez harmonię świata, przez kolory i zapachy, pory roku, noce i dnie.

„Jak niewolnik, co wzdycha do cienia” (Hi 7,2).

Pewnej nocy burza piaskowa zabiła moje drzewo. Rano ujrzałam je złamane w pół, w pozycji, jaką przyjmuje poddany wobec swego pana. Ja też byłam takim drzewem ze złamanym sercem. Usunięto je bez większych ceremonii. To i lepiej, nie musiałam na nie patrzeć. Często omijałam potem to miejsce, by nie wspominać, nie myśleć, nie marzyć. Byłam zła na siebie, że zaprzyjaźniłam się z tym drzewem. Zostałam zraniona.

„Nadzieje mi podciął jak drzewo” (Hi 19,10).



Tu bardzo rzadko padały deszcze. Pola nawadniano z rzeki „Czu”. Kołchozy były oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów, a poza tym step i step jak okiem sięgnąć. Kozacy, którzy tu mieszkali, także byli bardzo biedni. Żyli jak pasterze, wypasali owce. Bogatsi mieli nawet krowę. Wszystko trzeba było ukrywać, bo „państwo” zabierało. Niektórzy Kozacy mieli po kilka żon. Najstarsza bawiła wszystkie dzieci, a pozostałe szły do pracy. Kobiety zajmowały się najcięższymi pracami, same męły ziarno na żarnach. To była bardzo ciężka praca. Mężowie pracowali przeważnie w kołchozach jako nadzorcy lub wypasali bydło. Jeździli na koniach i byli cenionymi ludźmi. Wierzyli w Allaha. Widziałam ich wiele razy na modlitwie. Rano, w południe, przed zachodem słońca bez względu na miejsce i okoliczności, gdzie ich pora modlitwy zastała, padali na twarz. Zsiadali z konia, kładli swoje odzienie na ziemi i modląc się, bili pokłony. Kozaczki tak się nie modliły i nie chodziły na pogrzeby, nawet do najbliższych. Dziwne mieli obyczaje.

Byli jednak ludźmi bardzo gościnnymi. Kiedy ktoś przyszedł do nich jak jedli, to zawsze poczęstowali. Nasze dzieci jak tylko zobaczyły, że Kozacy palą ogniska, to biegły co sił na poczęstunek. Z czasem każde polskie dziecko miało swoją Kozaczkę. Trzeba było przestrzegać tych wojennych praw i nie wchodzić na czyjś rejon. Gotowały one zupę, którą nazywały „łapsza”. Było to coś w rodzaju łazanek. Czekaliśmy z utęsknieniem na uroczystości kozackie, bo wtedy zabijali barana i gotowali ryż. Znow zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Cieszyliśmy się, że tu jest ciepło, bo już nikt nie miał całych butów ani ubrań. Nie mieliśmy też opłatka, bo z Polski listy już nie przychodziły. Przed świętami poszliśmy do sąsiedniego kołchozu oddalonego o dziesięć kilometrów. To był duży kołchoz, „bogatszy” od naszego. Byli tam Niemcy, Sowieci i Żydzi. Była tam szkoła, przedszkole. Dom Dziecka, kino, a nawet był fryzjer. Tam zebraliśmy o coś do jedzenia. Baliśmy się zimy. Wprawdzie nie było mrozu i śniegu, ale nic nie rosło.

Chodziliśmy od domu do domu. Dawali bardzo mało, sami zresztą niewiele mieli, ale łyżkę maki czy kaszy dali, a jak się miało szczęście, to i kartofla. Dwadzieścia kilometrów trzeba było przejść, aby ugotować „coś”, co nazywaliśmy zupą. Po powrocie byliśmy bardzo zmęczeni, ale i szczęśliwi, że coś się zje. Nie można było wrócić z pustymi rękami, bo dzieci jak jaskółki w gnieździe z utęsknieniem czekały na nasz powrót. W Wigilię wszyscy Polacy zeszli się do jednej lepianki, aby połamać się wyżebranym chlebem. To już trzecie święta poza domem. Płacz i tęsknota. Jednak śpiewaliśmy kolędy. Kozacy, kiedy usłyszeli nasz śpiew, przyszedli pod naszą lepiankę i pytali, co u nas się dzieje. Mówiliśmy im, że nasz Bóg się rodzi i o tym, że stał się człowiekiem dla naszego zbawienia. Modlimy się do Boga tak, jak wy do Allaha. Kozacy od tej pory stali się w stosunku do nas bardziej przychylni. Wcześniej uważali nas, nie wiem dlaczego, za komunistów. Mijały dni i miesiące. Czekaliśmy na wiosnę. Szerzyły się choroby, które atakowały i zabijały najpierw starszych i dzieci. Później brały się za wszystkich. Z naszych najbliższych nie żyli już: Danusia lat siedem i Karol lat trzynaście. Były to dzieci mojego ciotecznego brata, Stanisława Reszki. Pochówek wyglądał następująco. Drażyło się dół i podkopywało niszę z boku, ścieliło się zielsko, kładło, zmarłego i zakopywało. Rozprzestrzenił się tyfus plamisty. Chorowali nawet Kozacy. Ja także ciężko zachorowałam na tyfus. Leżałam ponad dwa miesiące w szpitalu. Dzieci

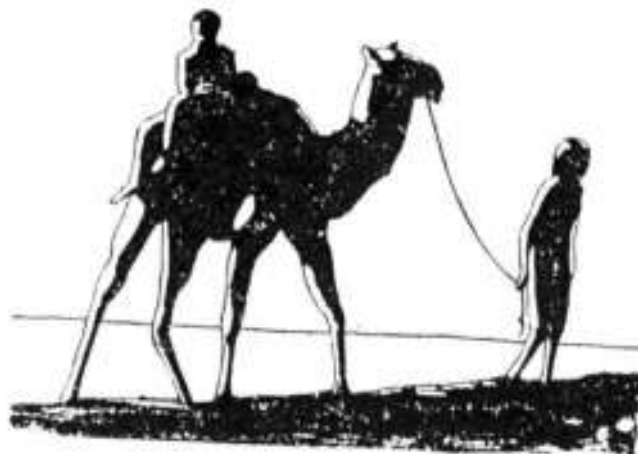
zostały wówczas z tatą. On jednak nie dawał sobie rady. Był coraz bardziej załamany. Trzeba było o niego dbać jak o małe dziecko. Tadzik zajął się młodszym rodzeństwem. Chodził na żebry i ratował dzieci od śmierci głodowej. Mój brat Bolek, gdy byłem w szpitalu, zaciągnął się do Armii Andersa. Po powrocie ze szpitala byłem tak słaba, że nie mogłam chodzić, jednak musiałam iść do pracy w kolchozie. Tylko tam mogłam dostać zbawienne 60 dkg chleba.

Przyszła wiosna. Na stepie było pięknie. Tańczył wiatr z bukietem zapachów. Chwytał w swoje niewidzialne ramiona śpiewające ptaki i unosił je do słońca. Jak okiem sięgnął, leżały kobierce kwitnących tulipanów. Głęboki oddech powodował lekki zawrót głowy. Obfitość kółców i zapachów wołała: „Bóg istnieje”. Wiosna to nadzieja i niewidzialna siła, to Zmartwychwstanie. Piękno świata wielu nie cieszyło, bo męczył nas głód. Zaczęto orać pola, na których przezimowały buraki. Nasze dzieci grzebały się w ziemi w poszukiwaniu życiodajnej bulwy. Większość buraków nadgniło, ale któż na to zwracał uwagę. Jedliśmy cebulki przekwitłych tulipanów, jedliśmy niemal wszystko. Wyglądaliśmy jak szkielety obleczone skórą. W kolchozie był chlew i dużo małych prosiaczków. Wiele prosiąt zdychało. Świniarka jednak musiała się z każdej sztuki rozliczyć. Zdechłe kładła na daszek chlewu. Nasze dzieci pilnowały, kiedy na daszku pojawiał się „przysmak”. Szybko gotowaliśmy i zjadaliśmy je, by nikt nas nie nakrył.

Nadeszły dni nie do zniesienia. Wojna wciąż trwała i nie zanosilo się na jej zakończenie. Przestali nam dawać tę skromną dawkę pszenicy. Wszystko szło na front. Ludzie umierali jak muchy, głód był wielki. Myślałam, że wszyscy o nas zapomnieli. Z Polski od dawna nie dochodziły listy. Ślad o nas zaginął. Byliśmy w paszczy strasznej bestii.

Przyszło lato, tutaj bardzo upalne. Już w maju step zamienił się w wyschniętą pustynię, po której błąkały się wielbłądy i owce, szukając coś do jedzenia. Roilo się od żmij, węży i skorpionów. Butów już nikt nie miał. Nieostrożni, często przyplacali to życiem. Piach był tak rozgrzany, że parzył w nogi. Tadzika ugryzła w nogę żmija. Bardzo chorował. Prosiłam Boga, aby nie umarł, bo bez

niego wszyscy byśmy zginęli. Noga mu spuchła tak, że aż mu skóra popękała. Z ran sączyła się woda. Do szpitala wiozłam go na wielbłądzie. Wielbłąd sam ledwie szedł. Na stepie rosły krzewy kolczaste. Tym żywiło się bydło. Były tu jeże i żółwie, które także jedliśmy. Nadzieja nasza wpatrzona była w pola, na których posiano buraki, arbuzy i kukurydzę. Pola nawadniano z rzeki „Czu”. Jak zaczęło wszystko dojrzewać, chodziliśmy nocami kraść. Pola były skrzętnie pilnowane, ale głód jest silniejszy niż strach. Tak mijał dzień po dniu. Marzyłam o tym, by raz przed śmiercią najeść się do syta. W południe była przerwa w pracy. Na polach stały daszki z trzciny, pod którymi się kryliśmy przed słońcem i odpoczywaliśmy. Trzeba było uważać, bo na daszkach wygrzewały się żmije i węże. Wodę piliśmy z rowów, którymi nawadniało się pola. Były straszne wszy. Kozaczki ściągały z siebie sukienki i w miejscu zszycia, zębami jak maszyną, przejeżdżały i gryzły wszy. Kozacy, mówili, że Polacy dobrze pracują, ale i dobrze kradną. Za złapanie na kradzieży, straszili więzieniem, ale my i tak byliśmy w więzieniu. Nie było żadnych wieści od Bolka czy jest już w Iraku i czy w ogóle żyje?



Przeżyliśmy straszną burzę piaskową, która trwała trzy dni. Wszędzie piasek, nie można było wyjść z lepianki. Do tego straszny głód. Jak Hiob trzymałam się strzępów mojej wiary, a szatan szeptał mi do ucha, abym złożyła Bogu i przeklinała dzień, w którym przyszłam na świat. Uchwyciłam się kurczowo strzępów koca, pod który wdierał się piasek i modliłam się płaczem, jakimś bezgłośnym jękiem duszy. Miałam świadomość, że jeśli utracę wiarę, stanę się zupełnie bezbronna. Rozgrzebywałam więc w pośpiechu wspomnienia, szukając Bożej Opatrzności. Przesuwałam ziarenka wspomnień, by znaleźć w sobie oblicze wiary, lecz suchy piasek teraźniejszości po każdym odgarnięciu

spływał na dno rozpacz. Sucha rzeka strugami głodu i bezradności zasypywała moją wiarę. Byłam w matni, modliłam się o skrzydła, bo zamykała się nade mną paszcza otchłani. Pan posyłał uskrzydłone duchy, które wynosiły mnie z otchłani piekła. Dotykały niewidzialną ręką mojej twarzy. Wówczas - zasypiałam. Sen, który zsyłał Pan, rodził we mnie nowe siły, był wytchnieniem, ucieczką. Same przebudzenia były przykre, bo wrzucały mnie na nowo do czeluści piekła. Spadając tam, byłam silniejsza o ten sen. Wracałam z domu Ojca, opatrzona niewidzialnym balsamem, który leczył moje rany.

„Nagły strach mnie ogarnął, jak burza porwał mi szczęście”

Po burzy odsłonił się naszym oczom straszny widok. Pola, gdzie często uciekała nasza nadzieja zaspokojenia głodu, ścieliły się pokryte grubą warstwą piasku. Nadzieję zasypał piach, jak zasypują niewierzący zmarłego. Groby naszych bliskich wchłonęła niekończąca się masa piasku. Z piachu sterczały pałki kukurydzy. Kiedy dojrzała, to ją kradliśmy. „Bóg, gdy zamyka drzwi, to otwiera okno”. Latem zbieraliśmy krowie łajno. Mieszaliśmy je z gliną i suszyliśmy. Służyło ono za opał na zimę.

Rok 1943, kwiecień. Przyjechało NKWD do naszego kołchozu i zwołano nas na zebranie. Wszystkim Polakom nakazali przyjąć obywatelstwo rosyjskie. „Taka jest wola Stalina”- mówili. Wyznaczyli nam dzień, w którym mieliśmy się zgłosić po paszporty. Nikt się nie stawiał w umówiony dzień. To rozzłościło władzę. Przyjechali raz jeszcze i dali nam dwa dni na zmianę poglądów. Grozili. Wieść szła od kołchozu do kołchozu. Wszyscy mocno twierdzili: „Jesteśmy Polakami i obywatelstwa nie zmienimy”. Zgoda na ich żądania równała się z zamknięciem sobie drogi powrotnej do domu. Przyjechali ponownie i usłyszeli stanowczą odmowę. Wyrzucili nas wszystkich na step pod gołe niebo. Ojciec mój zrobił Krzyż, uniósł go wysoko w górę. Ktoś zaintonował: „Kto się w opiekę odda Panu swemu. Ze śpiewem przezywany płaczem ruszyliśmy w stronę stepu. Wydano nakaz, aby nikt się nie ważył nas wpuścić z powrotem do kibitek, bo zostanie srodze ukarany. Spaliśmy na stepie. Trzeba było uważać na węże i żmije. Dobrze, że noce były już ciepłe. W dzień zbieraliśmy trawę, żeby w nocy palić ogniska, bo hieny podchodziły blisko naszego obozowiska i strasznie wyły. Baliśmy się ich, bo

były tak głodne jak my. W trzecim tygodniu życia na stepie głód zaczął zabijać.



Niedaleko naszego obozowiska pasły się krowy. Mężczyźni postanowili jedną złapać. Bardzo pilnowano stada. Pastuch jeździł na koniu i wciąż obserwował. Kilku mężczyzn poszło zagadać pastucha, a część ruszyła w stronę stada. Była to czysta desperacja, głód zwyciężył strach. Związali krowie pysk, żeby nie ryczała. Związali jej kopyta, wrzucili do rowu i nakryli trawą. Trwało to tak krótko, że pastuch się nie zorientował. Kiedy odjechał, zaraz zabili krowę. Podzielono sprawiedliwie i zaczęło się gotowanie. Jeszcze tej samej nocy zakopaliśmy kości i ślad po krowie zaginął. Rano wszyscy mieliśmy straszną biegunkę i ból brzucha. Dopiero po kilku dniach doliczono się, że brakuje jednej sztuki w stadzie. Przyjechało NKWD, ale nic nie znaleźli.

Ludzie z NKWD zrozumieli, że nikt nie przyjmie obywatelstwa, więc zaczęli aresztowania. Najpierw młodych, a potem wszystkich mężczyzn. Zostały tylko kobiety i dzieci na bezkresnym stepie. Mnie także aresztowali. Prosiłam, by mnie zostawili, bo mam małe rodzeństwo, lecz to nikogo nie obchodziło. Zabrano nas do więzienia w Nowotrojsku. Tam się zaczęły przesłuchania w dzień i w nocy. Pamiętam taką noc, kiedy przesłuchiowano mnie trzy razy. Bili mnie pięściami po twarzy. Wybili mi wiele zębów. Mówili, że skoro nie chcę przyjąć obywatelstwa, to jestem polskim szpiegiem. Okropnie mnie wyzywali. Bałam się, że nie wy-

trzymam bicia i podpiszę. Bałam się o dzieci, które zostały na stepie. Pewnego dnia przyszedł jakiś człowiek pod więzienie i dowiedzieliśmy się, że wszystkie dzieci zabrano do Domu Dziecka w Mojun - Kumie. Kamień spadł mi z serca, bo tam zawsze ten talerz zupy i kromka chleba się znajdują, no i będą pod czyjąś opieką. Po trzech tygodniach więzienia zebrano nas w sali i odczytano wyroki. Wszyscy dostali taką samą karę: dwa lata więzienia za odmowę przyjęcia sowieckiego paszportu. Mego tatę i wszystkich, którzy urodzili się po polskiej stronie Bugu, zwolniono. Nas przewieziono do więzienia w Dżambule. Byłam tam razem z Marysią Zwadzka, Jasią Gliwą, panią Kasprzycką i jej dwiema córkami, Romką i Lucyną. Pozostali znajomi dostali się do innych więzień. Tu było więzienie z prawdziwego zdarzenia. Cele były obskurne, z małym zakratowanym okienkiem pod sufitem. W celi było osiemdziesiąt kobiet. Stały tam łóżka piętrowe. Ciasnota i zaduch. W kącie beczka zwana „parasza”. To była nasza ubikacja. Raz w tygodniu gnano nas do łaźni. Dawali kubek wody, kazali rozbierać się do naga, bo ubrania wkładali do „prażarki”, aby wytepić wszy. Łaźnię obsługiwali mężczyźni. Co pewien czas wybierano nas po kilka do pracy w fabryce. Przędliśmy wełnę i szyliśmy ubrania dla wojska. Mogłyśmy choć połatać swoje łachy. Za pracę dawali 40 dkg czarnego chleba i trochę lepszą zupę. Na noc pod strażą przywożono nas do tej dusznej celi. Tak żyłam całą zimę. Żadnej wiadomości od rodzeństwa. Z nami siedziały różne kobiety. Niektóre z nich miały wyroki za zabójstwo. Pod koniec zimy przewieziono nas do Siemiopałatańska, do jeszcze gorszego więzienia. Nie było tu łóżek piętrowych. Spałyśmy na gołej podłodze. Było tak ciasno, że na komendę kładli nas spać i na komendę przekręcali na drugi bok. Tu spotkałam bardzo agresywne więźniarki.

Pewnego dnia wybrano dwadzieścia kobiet i pognało do przebierania kartofli i łuskania kukurydzy. Czulałam się jak w raj. Ziemniaki trzeba było jeść ukradkiem, aby strażnik nie zobaczył, bo za to strasznie bito. Pracowali z nami mężczyźni. My przebierałyśmy ziemniaki, a oni przenosili je w inne miejsce. Widziałam jak jeden z nich chwycił kukurydżę i zaczął ją łapczywie jeść. Zobaczył to strażnik, przewrócił go na ziemię i wykręcił mu rękę. Tę kolbę kukurydzy z całej siły wepchnął mu do gardła. Trysnęła mu z ust krew jak z fontanny. Ten strażnik nazywał się Sasza Bobaczow. Był postrachem całego więzienia.

Znów przyszła wiosna. Pewnego dnia wezwano nas do naczelnika więzienia. Oznajmił nam, że wywożą nas do pracy w więziennych ogrodach, ale musimy podpisać, że nie będziemy sprawiać żadnych trudności. Wzięto nas dwadzieścia pięć. Same Polki. Szłyśmy tam cały dzień w obstawie czterech strażników. Cały dzień boso przez step. Sypiałyśmy w ziemiance. Obok stała chatka strażników. Przynieśliśmy ze stepu trawy na posłanie. Na noc zamykano nas w tej ziemiance. Rano dawali po 40dkg chleba i łyżkę soli. Chleb był jak gлина. Szłyśmy do rowu po wodę i siadałyśmy rzędem tak, aby nas strażnicy widzieli. W milczeniu jadłyśmy nasze „śniadanie”. Jedyne wody nam nie wydzielano, można było pić do woli. Pracowałyśmy wciąż w słońcu. Skóra pękała i sączyła się ropa. Pracowałyśmy od świtu do nocy. Na obiad dawano miske zupy. Na kolację dawali 20dkg „gliny”. Trochę tu odżyłyśmy. Kiedy na ogrodzie wszystko zaczęło owocować, to był istny raj. Jednak nawet tam nie byłam nigdy najedzona. Tak minęła wiosna i lato. Późną jesienią wróciłyśmy do więzienia, ale już do innej celi. Tak samo ciasnej i zatłoczonej. Dowiedziałam się, że stąd jest już niedaleko do Chin. Często widziałam samoloty i spadochroniarzy. Nie wiedzieliśmy, co dzieje się na froncie. Czasami brali nas do przebierania kartofli. To była dla nas radość, bo można się było najeść surowych kartofli.

Na początku marca 1944r. wezwano mnie do naczelnika. Szłam z duszą na ramieniu. Myślałam, że znów mnie przeniosą do innego więzienia. Ten pan jednak był grzeczny. Wypytał mnie o rodzeństwo i o tatę. Byłam bardzo zdziwiona tą rozmową. Bałam się bardzo, nie wiedząc, co to ma znaczyć. Jednak po kilku dniach od tamtej rozmowy (dokładnie 8 marca 1944r.) zostałam zwolniona z więzienia. Wydano mi dokument, że mogę wrócić do miejsca dawnego zamieszkania bez opłaty za bilet. Kiedy stanęłam za bramą więzienia, nie wierzyłam, że to prawda. Co kilka kroków stawiałam i oglądałam się, czy nikt za mną nie idzie. Wszystko stało się tak nagle. Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Mówiłam sobie w duszy: „Jestem wolna, wolna”. Słowo to niepostrzeżenie pojawiło się na moich ustach. Już je szeptałam. Po chwili biegłam, śpiewając to jedno słowo: „wolna, wolna, wolna”.

„...tam służa jest wolny od pana” (Hi 3, 19).



W Siemiopałatyńsku królowała jeszcze zima. Ja, lichy odziana, szłam w nieznane. Zapadała noc. Gdy doszłam do dworca, poszłam do naczelnika stacji. Pokazałam mu ten papier. Odpowiedział mi: „Jak będą miejsca, to pojedziesz”. Ten pan widząc mnie w beznadziejnej sytuacji, dał mi adres polskiej placówki, bo tu już istniał Związek Patriotów Polskich. Po wielkich trudach, przedzierając się przez mroźną noc nieznajomego miasta, odnalazłam wskazaną ulicę. Dostałam tu buty, płaszcz i parę rubli na chleb. Chciało mi się bardzo płakać, bo potraktowano mnie tu jak człowieka. Już dawno nikt nie okazał mi zwykłej życzliwości. Po raz pierwszy od długiego już czasu, ktoś mnie wysłuchał i życzliwie przyjął. Gdy bląkamy się wśród nocy w obcym mieście, gdzie wokoło czyha wiele niebezpieczeństw, a do tego jest się młodą kobietą, dobrze jest znaleźć przyjaznych ludzi. Nie myślałam, co będzie później. Napawałam się radością rychłego spotkania z najbliższymi. Czekałam na dworcu trzy dni. Po wielkich trudach weszłam do pociągu. Nauczyłam się już żyć w tym świecie. Zająłam górną półkę. Daleko od przejścia, nie wadząc nikomu, ulokowałam się. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Nikomu nie byłam tu potrzebna. Gdybym umarła, nikt by tego nie zauważył. Czułam się jak zużyta rzecz, nikomu niepotrzebna. Wokoło panował gwar. Ktoś krzyczał, ktoś kogoś wołał. Ja miałam tylko nadzieję, że spotkam najbliższych. Otuiliłam się w darowany płaszcz i uciekłam w swój świat. Tak pragnęłam, aby ktoś mnie kochał, przytulił, powiedział dobre słowo. Nie miałam komu ofiarować swojej bezradności. Pociąg pędził, wyobrażałam sobie jak zmniejsza się odległość między mną a dziećmi. Słyszałam ich radosne głosy. Widziałam wyciągnięte ku mnie ręce. Nagle poczułam, jak chwyta mnie za ramię Sowiet i odciąga od dzieci. Wyjmuje pistolet i strzela do mojego rodzeństwa. Ja nie mogę się poruszyć. Słyszę ich przeraźliwy krzyk. Budzi mnie nagle szarpnięcie pociągu, zwalają się na mnie głosy ludzi jadących w wagonie. To

tylko sen. Zły sen. Moje serce dudni jak koła pociągu. Przytulałam się jeszcze mocniej do samej siebie. Skulona jak ludzki embrion, zupełnie bezbronna, mknę przez ziemię wygnania. Jechałam tak cztery dni. Przyjechałam do „Czu”. Jego nazwa brzmiała teraz w moich uszach jakos przyjaźniej. Pociąg wjechał na stację o zmroku. Do mojego kołchozu było stąd około 30km.

„Drogę mi zamknął - nie przejdę; na ścieżkach ciemności roztoczył” (Hi 19,3)

Chciałam iść pieszo. Przez noc, byle szybciej. Jednak opamiętałam się i zaczęłam szukać noclegu. Chodziłam od domu do domu. Przyjęła mnie staruszka, lecz całą noc nie spałam z radości, że jestem w domu. Z utęsknieniem czekałam na świt. Rano ta babcia dała mi kilka ugotowanych kartofli w łupinach, żebym nie ustała w drodze. Pamiętam, że czasami szłam, a czasami biegłam. Porywała mnie jakaś siła i wołała we mnie: „Szybciej, szybciej”. Lęk mieszał się z radością. Miałam ogromne serce. Kiedy doszłam, pobiegłam do kuzynki Zosi. Ona mi powiedziała, że dwa tygodnie temu zmarł mój tato i jest pochowany obok jej dzieci.

Pobiegłam na cmentarz. W mojej głowie zrodziła się straszna myśl, aby rozkopać grób i sprawdzić, czy to na pewno mój tato tu leży. Do sierocińca było 10km. Poszłam tam prosto z cmentarza. Brata Tadzika już nie było. Wysłano go do Dżambułu do pracy, bo skończył szesnaście lat. Dzieci bardzo się ucieszyły, że znów będziemy razem. Zaraz opowiedziały mi o śmierci taty: „Tato często przychodził do nas, do sierocińca. Zbieraliśmy dla niego kawałeczki chleba, bo u nich był straszny głód. Jak zawsze odprowadziliśmy tatę do jego kołchozu. Tego dnia długo stał na drodze i oglądał się za nami. Jakby żegnał nas na zawsze. Widocznie poczuł się źle i położył się przy rowie. Zasnął. Wówczas nadleciały wysłane od Pana anioły. Przez bramę snu przeprowadziły go na drugi brzeg. Tam gdzie nie ma już głodu i wojny. Rano znaleźli go pasterze i dali znać do kołchozu. Do nas dotarła wieść: Wasz ojciec leży w rowie, idźcie go pochować. Pobiegliśmy co tchu. Położyliśmy tatę na deskach i zanieśliśmy na cmentarz. Sami tak jak umieliśmy zmówiliśmy modlitwy za zmarłych. Sami wykopaliśmy dół. Sami włożyliśmy tam tatę. Jesionką i trawą nakryliśmy go i zakopaliśmy. Tata umarł z głodu i wycieńczenia”. Słuchałam tych słów, a każde z nich oplatało się cierniem na moim sercu. Wewnątrz wyłam z bólu. Jednak stałam jak kamień. Nie uroniłam też wówczas ani jednej łzy. Jak człowiek, który chce

okłamać siebie i innych, że to aż tak nie boli. Marzyłam aby choć na kilka sekund znaleźć się sama, by zrzucić z siebie maskę pozorów i krzyczeć w głos.

„Wiem, że mnie prowadzisz do śmierci, wspólnego miejsca żyjących” (Hi 30,23).



Najmłodszy Zygmunt był bardzo chory i bardzo chudy. Choroba pochylała go jak starca. Mówili, że wciąż leżał skulony i dlatego nie mógł się wyprostować. Dowiedziałam się, że jest chory na gruźlicę. Polska Żydówka, kierowniczką sierocińca, wystarała się, aby wszystkie chore na gruźlicę dzieci zabrano do sanatorium. Było ich dwanaścioro. Przebywały tam przez trzy miesiące. Wróciło tylko siedmioro. Na miejscu, zmarło jeszcze troje. Poszłam do kierowniczkę i błagałam ją, żeby mnie przyjęła do pracy w sierocińcu. Marysia i Adolf, błagali ją na kolanach. Zgodziła się i przyjęła mnie na nocną zmianę, abym budziła dzieci do ubikacji, bo prawie wszystkie się moczyły. Po pewnym czasie przeniosła mnie do kuchni. Gotowałam dla dzieci i piekłam chleb. Pracowała ze mną Weronika Rydz. Miała czteroletnią córeczkę Krysiekę. Mąż jej poszedł do Armii Andersa. Byłam szczęśliwa, że jesteśmy razem, że mamy co jeść. Wrócił także i Tadek, bo tam zachorował na malarię. Kierowniczką nazywała się Anna Markus. Była bardzo dobrym człowiekiem. Ciągłe jeździła za chlebem. Ratowała dzieci jak mogła. Dzieci było około stu. Były to sieroty polskie i żydowskie. Często przywoziła żywność z darów, które przysyłali Amerykanie. Część dostawała z kołchozu. Zupa była w zależności od pory roku. Wiosną - gotowana na łobodzie i pokrzywy, zasypała mąką albo kaszą, najczęściej niczym nie kraszona. Dzienny przydział chleba w sierocińcu wynosił: 20dkg rano i wieczorem. To nie była „głina”, tylko prawdziwy chleb. Sama go piekłam. Latem i jesienią zupę gotowało się z dyni, ale to był już luksus. Z kołchozu dostaliśmy dwie krowy. Zaczęliśmy więc mle-

kiem zaprawiać zupy. Mleko podawało się dzieciom jak lekarstwo. Uczyłam dzieci pacierza i opowiadałam im o Polsce. Małe niewiele pamiętały, ale pytały wciąż, kiedy do tej Polski pojedziemy. Dzieci nie wiedziały, co to są owoce. Starsze chodziły do szkoły. Uczyły się po rosyjsku i tylko o Leninie i Stalinie. Uczyły dwie Polki: Helena Stankiewicz i Jadwiga Marchel. Po kryjomu uczyły po polsku. Dzieci pisały na deseczkach, albo na gazecie między wierszami, bo nie było zeszytów. Chciały wiedzieć o Polsce jak najwięcej. Sierociniec to była szumna nazwa. Tak naprawdę była to zwykła lepianka. Nigdzie nie było podłogi tylko ubita glina. Dzieci spały na dechach wyścielonych trawą ze stepu. Do przykrycia były koce, ale z większości poszyliśmy spódnice i spodnie. Na chłopców, którzy nosili wodę do kuchni, wołano „wodowozy”. Za dźwiganie wody dostawali 10dkg chleba i o pół porcji więcej zupy. Po wodę chodziło się bardzo daleko. W kołchozie była tylko jedna studnia. Dzieci ciężko pracowały, aby zarobić na żywność. Kołchoz dawał na sierociniec, ale to trzeba było odpracować. Marysia, moja siostra, robiła swetry kobietom z kołchozu, za co dostawała po kilka rubli od sztuki. Teraz zbierała na uwolnienie z więzienia Marysi, naszej przyjaciółki. W taki sposób wiele osób opuściło więzienie. Starszych chłopców i dziewczęta wysyłano do miejscowości Dzaj San oddalonej o 200km, bo tam rosła pszenica. Trzeba ją było zebrać, jak się chciało jeść chleb. Na Dzaj San jeździło się na wielbłędach. Zajmowało to wiele dni. Ja też tam jeździłam. Czasami Kozacy upolowali jakieś stworzenie, np.: dziką kozę, sępa, orła. Dzieliли się tym mięsem z nami. W górach Pamir wciąż leżał śnieg. Rosło tu drzewo, na które mówiono saksan. Wyglądało tak, jakby rosło korzeniami do góry. Bardzo dobrze się paliło. Popiół służył do prania ubrań. Dotarły do nas wieści, że istnieją obozy koncentracyjne, gdzie mordują i palą ludzi. Sowieci mówili nam, że Niemcy wymordowali w Katyniu polskich oficerów. Dzisiaj znamy prawdę.

W 1945r. dostałam list od mamy. Byłam szczęśliwa, że żyje. Z Wołynia wróciła do Garbowa. Przyszła, także smutna wiadomość, że Niemcy rozstrzelali Stasia Szpatowicza, męża mojej siostry. Dowiedzieliśmy się, że skończyła się wojna, ale tu to niewiele zmieniało. Wciąż trzeba było pracować i szukać chleba. Pocieszałyśmy się tym, że nasza Ojczyzna jest wolna i ktoś się o nas upomni. Jesienią 1945r. przyjechało do kołchozu kilku Polaków, ze Związku Patriotów Polskich. Spisali



Spotkanie rodziny Henryki Paśnik w latach 60-tych XX wieku

nas wszystkich, mówiąc, że jest nadzieja na powrót do Polski. Kiedy, jeszcze nie wiadomo. Kołchoz w jakiś sposób stał się dla wielu rodziną. Przygarnął sieroty. Teraz, trzeba było wracać do Polski. Wielu nie miało do kogo wracać. Wojna zabiła im najbliższych, więc w jakiś sposób zabiła ich Ojczyznę.

Marysia, moja siostra, aby nie robić kłopotu ukrywała swoją chorobę. Pewnej nocy nie wytrzymała i zaczęła płakać w głos z bólu. Wówczas zobaczyłam, że gnęła jej noga. Na stację „Czu” zawieziono nas na wielbłądach. Do Dżambułu jechałyśmy koleją. Marysia całą drogę płakała z bólu. Od dworca do szpitala był kawał drogi, a ona nie mogła iść. Zaniósł ją na plecach do szpitala. Kiedy lekarz zobaczył jej nogę, kazał ją przyjąć bez kolejki. Leżała tam dwa tygodnie. Obcięli jej palec i rana się zagoiła. Dali jej tam jeść, trochę ubrań i buty.

Przyszła wiosna 1946 r. Wciąż przesuwano datę naszego powrotu. Wreszcie podano oficjalnie, że jutro wyjeżdżamy. Nadszedł oczekiwany dzień zbawienia, dzień powrotu do Polski. Zebrałam całe rodzeństwo i poszliśmy na grób taty. Do woreczka nagarnęłam ziemi z grobu, by zawieźć ją mamie. Tato tak bardzo pragnął wrócić do Polski. Do kołchozu wracaliśmy w milczeniu. Choć wokoło panował zgłęb przed podróżą, nas ogarniał smutek. Mówią, że ziemia, która przyjmuje naszych najbliższych, staje się naszą ziemią. Czułam to wówczas bardzo mocno. Do dziś to czuję. Wciąż myślę, czy to miejsce jest uszanowane. Często miewam koszmary z nim związane. Widzę, jak pędzą

przez cmentarz ciężkie maszyny i równają ziemię, niszcząc mogiły. W mgnieniu oka, budują na tym miejscu fabrykę lub miasto, bezczeszcząc szczątki naszych bliskich. Często też marzę, że dobrzy ludzie ogrodzili to miejsce, posadzili kwiaty. Dookoła widzę łąki i zielone drzewa. Słyszę, jak pięknie śpiewają ptaki. Gdy dzisiaj odwiedzam groby moich najbliższych, dyskretnie przenoszę się „tam”, przed mogiłę mojego ojca. Kłękam i całuję ziemię. Tak już zostanie do końca.

Dzieci z sierocińca odjechały pociągiem dla ludzi. Na drogę dostały trochę suchego prowiantu z darów. Ja nie pojechałam z nimi, bo musiałam zostać z moim chorym na tyfus bratem Tadzikiem. Marysia dałam adres do Garbowa, bo tam była mama. Kazałam dzieciom nauczyć się na pamięć tego adresu. Dzieci odjechały. Znow ogarnął mnie lęk, czy dojadą, czy trafią, czy nie zgubią pociągu, czy nikt ich nie skrzywdzi, czy pamiętają adres? Po kilku dniach kazali wszystkim Polakom, chorym czy zdrowym, zebrać się na stacji „Czu”. Ze wszystkich stron schodzili się Polacy i czekali na transport. Czekaliśmy ponad tydzień. Czasami myślałam, że już tu zostaniemy na zawsze. Spaliśmy pod gołym niebem. Wreszcie przyjechał pociąg towarowy. Gdy ruszył, poczułam, jakby ktoś uwolnił mi zakneblowane usta. Złapałam głęboki oddech wolności. Płakałam i płakałam. Wszyscy płakali, nikt nie krył łez. Z wolna oddalałam się od piekła. Zmywałam z siebie kurz tej ziemi, choć na dnie tobołka wiozłam jej garść do domu. Stała się ona relikwią rodzinną. Gdy zmarła moja mama, włożyłam ziemię do jej trumny z cichą modlitwą: „Ty Panie wszystko możesz, spraw, aby już na zawsze byli razem”. W tej skibie w jakiś sposób był obecny mój tato. Wracałam do domu, do Polski, z bagażem sześciu koszmarnych lat. Przypominałam sobie samą siebie z przed wojny. Tęskniłam do tamtej niewinności, jednak tamta delikatna dziewczyna była teraz doświadczoną kobietą, która dotykała swoich ran jak stygmatów, zalewając je oliwą modlitwy. Dziękowałam Bogu za łaskę wytrwania. Pełna pokoju patrzyłam w niebo, jak w oblicze Przyjaciela. On zawsze mi towarzyszył, dlatego tylko On mnie rozumiał. Już nic nie mówiłam. W ciszy bandażowałam krwawiące serce białą smugą modlitwy pędzącego pociągu, gdzieś między Kazachstanem a Polską...

Koniec słów Hioba (31,40b).

Henryka Paśnik

Lublin

Rys. **Sobiesław Sawa**, Lublin

Redakcja „Ech Polesia” przeprasza Autorkę za dokonane skróty.

Kontynuując polską tematykę Redakcja „Ech Polesia” proponuje chórom polskim na Białorusi utwory patriotyczne w układzie 4-głosowym.

Pragniemy w tym miejscu serdecznie podziękować Panu Tomaszowi Orkiszewskiemu, który przekazał nieodpłatnie naszemu kwartalnikowi utwory według własnego opracowania muzycznego.

MARSZ SYBIRAKÓW

sł. Marian Jonkajtys

muz. Czesław Majewski

Balladowo

3



Z miast kre - so - wych, wscho-dnich o - sad i wsi, Z re - zy -
 Z miast kre - so - wych, wscho-dnich o - sad i wsi, Szkół u -

den - cji, bia - łych dwor - ków i chat. Myś - my do Nie - pod leg - łej szli, szli z u -
 rzę - dów i ka - mie - nic i chat. Myś - my do Nie - pod leg - łej szli, jak z za

7



po rem, po - nad dwieście lat! Wydłu - ży - li dro - gę car - scy ka - ci, przez Sy
 bo - ru, sprzed dwu - dzie - stu lat! Bo od -

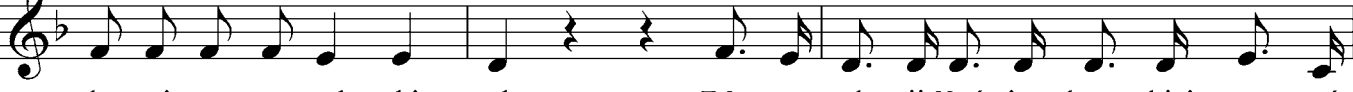
11



be - rię wiódł naj - krót - szy szlak I w kaj - da - nach szli Kon - fe - de - ra - ci mo gi -

Marszowo

15



ła - mi zna - cząc pol - ski trakt... Z In - su - rek - cji Koś - ciusz kow - skiej, z pows tań

18



dwóch, szkół, ba - ry - kad War - sza - wy i Ło - dzi; Kon - ra - dow - ski u - no - sił się

22



duch i nam mar - szu do Pol - ski prze - wo - dził. A myś - my

26



szli i szli dzie - siąt ko - wa - ni! Przez taj - gę, ste - py, płą - ta - ni - ną dróg! A myś my

30 da capo al Φ poi coda

szli i szli nie-po-ko - na - ni! Aż "Cud nad Wis-łą" da - ro - wał nam

33 **CODA**

wrześ-nia, od sie-dem-nas - te - go, Dłu-ższa dro-ga znów wszedł każ dy z nas: Przez

37

lód spod bie-gu-na pół-noc - ne - go, Przez Łu-bian-kę i Ka-tyń - ski Las! Na nie

41

ludz-kiej zie-mi zno w pol-ski trakt Wy-zna - czy ły bez - i - mien - ne krzy że... Nie za

45

trzy - mał nas czer - wo - ny kat, Bo przed na-mi Pol-ska co-raz bli-żej!

49

I myś-my szli i szli dzie-siąt-ko - wa - ni! Choć zdra-dą prag-nął po-dzie-lić nas

53

wróg... I przez Lu - do - wą przesz-liś-my nie-po-ko - na - ni, Aż nie - pod

56

leg-łość da-ro-wał nam Bóg! I myś my szli i szli i szli nie-po ko - na - ni, Choć

60

zdra - dą prag-nął roz-dzie-lić nas wróg... I przez Lu - do - wą przesz-liś-my nie-po-ko-

63

na - ni Aż Wol - ną Pol - skę ra - czył wró - cić Bóg!

OJCZYZNO MA

(Pieśń ks. Jerzego Popiełuszki)

M.: Soban

Opr. Tomasz Orkiszewski

S. A.

1.2. Oj - czy - zno ma, ty - le ra - zy we krwi ską pa - na! Ach jak
3. O Mat - ko ma, Tyś Kró lo - wą pol - skie - go na ro - du! Tyś wol -

T. B.

6

S. A.

wiel - ka dziś Two - ja ra - na, jak - że dłu - go cier - pie - nie Two trwa! 1. Ty - le
noś - ci w cza - sie nie wo - li i na dzie - jo, gdy w ser cach jej brak. 2. Bia - ty
3. O Kró -

T. B.

wiel - ka dziś Two - ja ra - na
wol - noś - cią w cza - sie nie - wo - li

10

S. A.

ra - zy pra - gnę - łaś wol - no - ci ty - le ra - zy tłu - mił ją kat. a - le
O - rzeł znów skre - po wa - ny krwa - wy łań - cuch zwi - sa u szpon, lecz już
lo - wo pol - skiej ko ro - ny, wol - ność, po - kój i mi - łość racz dać, by ten

T. B.

14

S. A.

zaw - sze czy - nił to ob - cy a dziś bra - ta za - bi - ja brat.
wkrót - ce zo - sta - nie zer wa - ny bo wol noś - ci u - de - rzył dzwon.
na - ród bo - leś - nie drę czo - ny od - tąd wier - nie przy To - bie mógł trwać.

T. B.

3x

ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

(1976)

tekst: Jan Pietrzak

muz. Włodzimierz Korcz
opr. Tomasz Orkiszewski

S. A.

T. B.

O - o, o - o...

Z głę-bi dzie-jów, z kra-in

7

S. A.

T. B.

mro- cznych, puszcz od-wie- cznych, pól i ste-pów, nasz ro- do-wód, nasz po-

11

S. A.

T. B.

czą-tek hen, od Pia- sta, Kra- ka, Le- cha. Dłu- gi łań- cuch ludz- kich is- tnień po- łą-

o - o, Pia - sta, Kra - ka, Le- cha.

16

S. A.

T. B.

czo- nych my- ślą pro- stą że - by Pol- ska, że- by Pol- ska, że- by Pol- ska by - ła

21

1. 2.

S. A. Pol - ska, że - by Pol - ska. Wte - dy, kie - dy los nie - zna - ny

T. B. Wte - dy, kie - dy los nie - zna - ny

25

S. A. roz - sy - py - wał nas po ką - tach, kie - dy ob - ce wia - try wia - ły, ob - ce

T. B. roz - sy - py - wał nas po ką - tach, kie - dy ob - ce wia - try wia - ły, ob - ce

29

S. A. or - ły na pro - por - cach. Przy o - gni - skach wy bu - cha - ła nie - zmo - żo - na nu - ta

T. B. or - ły na pro - por - cach.

34

S. A. swoj - ska że - by Pol - ska, że - by Pol - ska, że - by Pol - ska by - ła

T. B. swoj - ska że - by Pol - ska, że - by Pol - ska, że - by Pol - ska by - ła

38

1. 2.

S. A. Pol - ska, że - by Pol - ska, że - by Pol - ska by - ła Pol - ska. Zrzu - cał

T. B. Pol - ska, że - by Pol - ska, że - by Pol - ska by - ła Pol - ska. Zrzu - cał

42

S. A. u - czeń por - tret ca - ra, ksiądz Ście - gien - ny wzno - sił mo - dły, o - pa -
 żo - ny w mro - cznych iz - bach wy - szy - wa - ły na sztan - da - rach ha - sło:

T. B.

44

S. A. try - wał wóz Drzy - ma - ła, du - mne wier - sze pi - sał Nor - wid. I kto sza - blę mógł u -
 Ho - nor i Oj - czy - zna i ru - sza - ła w po - le wia - ra. i ru - sza - ła w po - le

T. B.

48

S. A. trzy mać, ten for - mo - wał le - gion, woj - sko że - by Pol - ska, że - by
 wia - ra, od Chi - ca - go do To - bol - ska

T. B.

52

S. A. Pol - ska, że - by Pol - ska by - ła Pol - ska, że - by

T. B.

Da capo al Φ

55

S. A. Pol - ska. 4. Ma - tki Pol - ska. Że - by Pol - ska by - ła Pol - ska.

T. B.

Obraz Matki Bożej Katyńskiej



więc usłyszeliśmy straszną wiadomość o katastrofie prezydenckiego samolotu byliśmy przekonani, że obraz został bezpowrotnie zniszczony. To był dla nas straszny cios nie tylko zginęło tylu wspaniałych ludzi, w tym tak bliska nam Teresa ale też wizerunek Matki Bożej, który otaczany był tak wielką czcią” - dodaje.

Znak Opatrzności

Okazało się jednak, że obraz wcale nie został zniszczony w katastrofie. „Kiedy przyszliśmy do siedziby fundacji okazało się, że obraz znajduje się na swoim stałym miejscu przygotowany do podróży. Nie wiem dlaczego ostatecznie Teresa nie zabrała ze sobą wizerunku Matki Boskiej Katyńskiej. Może nie zdążyła albo w ostatniej chwili się rozmyśliła. Wierzę, że jest to jakiś znak od Bożej Opatrzności. Dzięki temu obraz będzie mógł dalej pielgrzymować po świecie by przypominać o wszystkich, którzy zginęli w Katyniu” - mówi Anna Pietraszek.

Obraz Matki Bożej Katyńskiej został zniszczony w katastrofie prezydenckiego samolotu - taka informacja pojawiła się w mediach krótko po katastrofie.

Wizerunek, który jak żaden inny kojarzy się z mordem na polskich oficerach w Katyniu. Przestrzelona naga czaszka, którą tuli Matka Boska, w sposób niezwykły nawiązuje do mordu katyńskiego. O to, by Matka Boska Katyńska „uczestniczyła” we wszystkich uroczystościach upamiętniających śmierć 20 tys. oficerów, dbał zmarły przed trzema laty ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski. Wieloletni kapelan Rodzin Katyńskich cudem przeżył pobyt w obozie w Kozielsku. Jak wielokrotnie opowiadał, to właśnie modlitwa do Matki Boskiej dodawała mu otuchy i pozwoliła uniknąć śmierci w Katyniu

Na tegoroczne uroczystości obraz i stulę księdza Peszkowskiego miała zawieść Teresa Walewska-Przyjałkowska - wiceprezes Fundacji „Głgota Wschodu”. To właśnie fundacja opiekowała się obrazem po śmierci księdza. „Pani Teresa praktycznie nie rozstawiała się z obrazem. Zabierała go na wszystkie uroczystości związane z Katyniem” - opowiada Anna Pietraszek z zarządu fundacji. „Tym razem też miała zabrać go na uroczystości do Katynia. A była zaproszona na pokład prezydenckiego samolotu. Kiedy

Historia obrazu

Skąd się w ogóle wziął ten wizerunek? Obraz, który miał dotrzeć do Katynia, powstał 20 lat temu. Jego dokładną i - jak się okazało - jedyną ikonografię, wykonał Tomasz Płatek. „Obraz powstał na wyraźne życzenie księdza prałata Peszkowskiego, który pragnął by powstał taki wizerunek. Za wzór posłużyła grafika przedstawiająca Matkę Bożą tulącą w swoich ramionach przestrzeloną czaszkę” - opowiada Anna



Rastawicka z Instytutu Prymasa Wyszyńskiego. Obraz został poświęcony w 1996 roku przez Jana Pawła II kiedy przyjechała do niego Pielgrzymka Rodzin Katyńskich. „Od tej chwili obraz cały czas podróżował z księdzem prałatem Peszkowskim. Odwiedził wiele zakątków na całym świecie i w Polsce. Wiele osób zaczęło się do niego modlić”

- opowiada Rastawicka. Teraz jego zdjęcie wykorzystane zostało m.in. na okładce biuletynu Instytutu Pamięi Narodowej. Obraz zdobył tak dużą sławę, iż doszło nawet do tego, że zaczęto błędnie podawać informacje jakoby był to wizerunek, który został namalowany przez polskich więźniów w Kozielsku i później został cudownie ocalony.

„To jest zupełnie niemożliwe biorąc pod uwagę choćby fakt, że na obrazie Matka Boska trzyma przestrzeloną czaszkę. A przecież właśnie w ten sposób zostali zamordowani polscy oficerowie. O tym, że tak się stanie nie mogli wiedzieć jednak więźniowie obozów. To pokazuje, że obraz musiał powstać później” - mówi dr Witold Wasilewski z warszawskiego IPN.



Dwa obrazy więźniów

W rzeczywistości więźniowie obozu w Kozielsku stworzyli nawet dwa obrazy. Często one również są określane jako Matka Boska Katyńska. Ich historia jest zresztą niesamowita. Wykonanie obrazu było o tyle utrudnione, że Sowieci zgodnie ze swym regulaminem obozowym nie dawali jeńcom dostępu ani do farb, ani do ołówków kolorowych. Podczas nakazanych przez władze obozowe porządków na strychu poklasztornym jeńcy znaleźli kilka suchych desek z dawnego prawosławnego ikonostasu. Deska została oheblowana przez gen. W. Przeździeckiego. Na rozciętej na pół lipowej desce powstały dwa bliźniacze obrazy Matki Bożej Kozielskiej: obraz olejny namalowany przez porucznika Michała Siemiradzkiego (bratanka znanego malarza polskiego Henryka Siemiradzkiego) oraz płaskorzeźba w drewnie dłuta porucznika Tadeusza Zielińskiego. Obydwa bliźniacze obrazy zostały następnie konspiracyjnie (z obawy przed konfiskatą przez administrację sowiecką) poświęcone przez księdza kapelana Nikodema Dubrów-

kę w jego celi w Wielką Sobotę 1941 roku. Płaskorzeźba por. Zielińskiego została nazwana obrazem Matki Bożej Kozielskiej. Na drugiej połowie deski por. Michał Siemiradzki namalował obraz Najświętszej Maryi Zwycięskiej Różańcowej. Oba obrazy odbyły długą wędrówkę, towarzyszyły polskim żołnierzom w ich tułaczce, na polu bitwy, na emigracji.

Płaskorzeźba dłuta por. T. Zielińskiego została wywieziona z obozu w Kozielsku, ukryta za podwójnym dnem walizki pułkownika Adama Kosiby. Pierwszy raz oficjalnie, uroczystie w ołtarzu polowym ukazała swe oblicze Matka Boska Kozielska podczas Mszy św. odprawionej przez ks. płk. Franciszka

Tyczkowskiego 25 sierpnia 1941 r. w Gрязовцу koło Wołogdy. W tym dniu przybył tam z Moskwy, z więzienia, gen. Władysław Anders. Obraz przeszedł cały szlak bitewny wraz z armią gen. Andersa. Przed tym wizerunkiem były odprawiane Msze św. podczas bitwy o Monte Cassino. Po demobilizacji 2. Korpusu obraz znalazł się w Anglii, nazywanej wtedy przez Polaków Wyspą Utraconej Nadziei. W londyńskim kościele św. Andrzeja Boboli wysłuchiwał modlitw polskich emigrantów”. Znajduje się zresztą w tym kościele po dziś dzień. 8 czerwca 1997 r. na krakowskich Błoniach Jan Paweł II ukoronował wizerunek Zwycięskiej Matki Bożej Kozielskiej. Po nałożeniu koron powiedział: „Ta płaskorzeźba, wykonana w obozie jeńców, z którego prawie wszyscy zginęli w Katyniu, przypomina tragiczne wydarzenia ostatniej wojny (...). Niech cześć oddawana w tym Kozielskim Wizerunku nie tylko przypomina przeszłość, ale umacnia wiarę współczesnej Polonii i emigracji”. Obraz olejny Matki Bożej Różańcowej wydostał się szczęśliwie z obozu i przez półwysep Kola na północy Rosji już po amnestii dla Polaków ogłoszonej na mocy układu pomiędzy premierem gen. Sikorskim a ambasadorem ZSRR w Wielkiej Brytanii Majskim trafił do formowanej w Tatiszczewie 5. Dywizji Kresowej. Wraz z żołnierzami tej dywizji również trafił w końcu do Anglii. W 2002 roku wrócił do Polski i znajduje się obecnie w kościele św. Andrzeja Boboli w Warszawie.

Źródło: *Przewodnik Katolicki* 18/2010 «Wiara i Kościół»